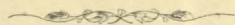


PAMIĘTNIKI.

Jenerał Dezydery Chłapowski.



# PAMIĘTNIKI.

CZEŚĆ I.

WOJNY NAPOLEOŃSKIE

1806—1813



Z PORTRETEM AUTORA.

☛ Dochód na Tow. Naukowej Pomocy. ☛



POZNAŃ.

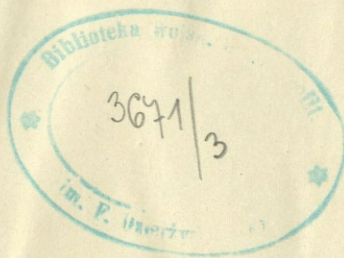
NAKŁADEM SYNÓW.

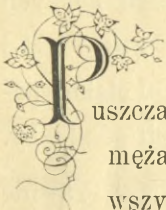
Czcionkami i na głównym składzie Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.

1899.

92 : 93(438)9

Prawa autora zastrzeżone.



 uszczamy niniejszem w świat księgę, napisaną przez meża, który przez całe życie służył ojczyźnie, służył jej wszystkimi zdolnościami swej duszy, hartem swej woli, całą pełnią swojej miłości. Służył tem, czem nam już służyć nie dano, mieczem i odwagą na polu walki, a dalej tem, czem i nam walczyć należy w życia boju bezkrwawym a jednak krwawym, żelazną pracą, żelaznem pojowaniem i wykonywaniem obowiązku. Nauczył on swem życiem kilka już pokoleń, a karmił je swemi czynami i swoim przykładem. Do tych czynów przychodzi teraz słów wiązka, zwięzłe i treściwe sprawozdanie z orężnych za ojczyznę zapasów.

Ktokolwiek w życiu spotkał generała Chłapowskiego, temu nigdy ta postać szlachetna nie wyjdzie z pamięci i ta twarz przepiękna, porzeźbiona wiekiem, pracą i nieszczęściem narodu. Zdobila ją powaga sędziwości i pełnego, górnego życia, a urok jej przywoływał na pamięć wiosnę napoleońską naszego stulecia i wiosnę naszych nadziei i marzeń. Te wszystkie marzenia, ułudy i zawody z napoleońskiej epoki skreślił generał w pierwszej części swych zapisków. Choć jako ulubiony towarzysz wielkiego cesarza przypuszczanym bywał do ścisłego

## VI

z nim obcowania, nie stracił on ani na chwilę myśli przewodniej i drogowskazu, a ten drogowskaz wskazywał zawsze w najodleglejszych od ojczyzny zakątkach, ku Polsce, ku sprawie, która wypełniała całe jego serce i kierowała wszystkimi jego myślami. Przychodziły ciężkie chwile często, zwątpienia i rozwiania nadziei, ale młody oficer trwał na posterunku, bo uczył się i pracował, bo wspominał słowa wyrzeczone doń przez Kościuszkę: Ucz się pod najpierwszym wodzem naszych czasów. Kiedy jednak wśród kampanii saskiej z r. 1813 przekonał się dowodnie, że cesarz gotów zupełnie Polskę poświęcić, podał się natychmiast do dymisji i wystąpił ze służby.

Zaczęła się niebawem inna, równie ciężka i równie wytrwała służba na polskim zagonie, walka z zaborcą czyhającym na ziemię, mowę i ducha narodu. Obwarował się żołnierz napoleoński na roli pracą, oszczędnością i miłością. A przy budowaniu tego dzieła, które się stało jednym z najpiękniejszych czynów jego życia, na wzór Izraelitów, wznoszących mury Jerozolimy, jedną ręką imał się roli, a w drugiej miecz dzierżył, zawsze gotów do apelu... *una manu sua faciebat opus et altera tenebat gladium.*

To też skoro wybuchło powstanie listopadowe, udał się Chłapowski na pierwsze zawołanie do Warszawy; przynosił tam ze sobą gorącą miłość ojczyzny, a przytem wielkie wykształcenie wojskowe, którego nabrał pod największym wojny mistrzem i w jego szkole.

W drugiej części pamiętnika przedstawił on nam cały przebieg tej walki świętej swym celem, uświęconej tyłoma czynami odwagi, wdzięcznością pokoleń, którym ona ozłociła klęskę narodu. Jenerał ocenia koleje wojny z nadzwyczajną sprawie-

dliwością, z taką miłością sprawy, że jej nawet starczyło dla ludzi, którzy pobładzili; jeżeli dla kogo był niesprawiedliwym, to dla siebie. Bo o swojej osobie i dzielności tylko z największą wspomina powściągliwością; gdybyśmy zkądinąd świadectwa nie mieli, to z tego prostego, pełnego miary opisu czasem odgadnąć by trudno, ile ognia, odwagi, zasługi pokrywają te słowa.

Pisała je prawda, prawda szczerą, niezabarwioną żadnymi ubocznymi względami życzliwości lub goryczy. Prostota opowiadania wypłynęła z tego wysokiego poczucia obowiązku, które nawet czyny niezwyklej wiary i cnoty w świetle prostej powinności przedstawia. Bo u wysoko nastrojonych dusz granica obowiązku idzie przez wyżyny, które przeciętne umysły za dziedzinę bohaterstwa uważają. Okazuje nam się tu generał w pełnym świetle rzymskiego hartu dla siebie i chrześcijańskiego dla innych wyrozumienia, a księga jego jest podręcznikiem o powinnościach żołnierza i obywatela. Ile razy o tę nutę powinności autor potrąca, zawsze przemawia ciepłej, wymowniej; wyraźnie było to rdzeniem tej duszy na wskroś żołnierskiej, karnej w obec ojczyzny i ludzi, kornej w obec Boga. Gdy wreszcie mówi o nieszczęsnym końcu litewskiej wyprawy, kiedy to po świetnych początkach jego przedsięwzięcia innych wina i nieudolność rozluźniły ustrój i ład całego wojska i przyparowały oddział jego wyborowy o klęskę, boleje nad nieszczęściem ojczyzny, ale nie dopuszcza do głosu osobistej goryczy; a przecie była w tem boleść i żałoba, które na całe życie odbiły się smutkiem i cieniem na jego czole. Tu występuje w całym blasku jego rzymska postać i cnota; potępia on nieudolne rady i niepowołanych radców w obozie, jak Aemilius

## VIII

Paullus przed zwycięstwem pod Pydną piętnował próżne gadania, *loquacitas*, która się narzuca nie w porę. I do końca wykonywa obowiązki pod Gielgudem, bo to jego przełożony, zupełnie znów jak ten rzymski konsul pod Kannami, który mimo czarnych przewidzeń, nie szemrał przeciw rozkazom towarzysza *quia magis non probare quam non adiuvare consilium poterat*. Niejednego planu generał nie chwalił, nie uznawał, ale uważał posłuszeństwo i karność za pierwszy obowiązek w obozie, wyższy ponad wszystko, nawet ponad własne przeświadczenie i zdanie, za najwyższą ofiarę, którą ojczyźnie, co przez niekarność zginęła, przynieść należy.

Wszystko spisane z ogromną prostotą, mało ozdobnemi słowami, bez retoryki, której podniosłość czynów i tragika faktów nie potrzebuje. Styl wojskowy znany z pamiętników Cezara i z zapisków innego wielkiego wodza naszych czasów; opowiadanie generała Chłapowskiego równie jest zwarte, rzeczowe, wstrzemięzliwe, ale znać, że natchnione innego nastroju sprawą i innej podniosłości uczuciem, jak pamiętniki tych, co byli pogromcami narodów.

Stanie też ta księga godnie obok księgi jego żywota, która tyle nauk, przykładu i zbudowania przyniosła tym, co w niej czytali i czytać w niej umieli.

K r a k ó w, 26 października 1898.

Kazimierz Morawski.

## WOJNA W 1807 ROKU.

Gdyby młodzi wiedzieli, a starzy moc mieli.

Ta myśl mnie powoduje do pisania pamiętników: może coś z tego młodym się przyda, i choć w małej części zastąpi im doświadczenie. — Dla tego zamyslałam opisać więcej zdarzenia, których w obfitym w wypadki czasie byłem świadkiem, niż moje osobiste przygody; a te o tyle tylko, o ile ogólne rzeczy wyjaśniają.

I tak zaczynam, nie od mego urodzenia i wychowania, ale od okoliczności mających ogólną ważność i znaczenie.

W Listopadzie roku 1806-go przemaszerowały wojska francuzkie do Poznania.<sup>1)</sup> — Pierwszy regiment strzelców konnych pod dowództwem pułkownika Exelmans wsławionego później generała, nasamprzód wszedł pod wieczór do miasta. — Szwadron pierwszy pospieszył klusem przez całe miasto, z dobytymi pałaszami, zaraz za Wartą rozstawić placówki na drodze warszawskiej i toruńskiej, drugie spokojnie stanęły na rynku, gdzie część ludności się zbiegła i wiwatami ich witała; dla tego mówię, że część ludności, ponieważ i wtedy połowa była złożona z obcych. — Przodkowie nasi podczas prześladowań religijnych w Niemczech przyjmowali ze zwykłą tolerancją naszą przybyszów z tamtąd, a po rozbiórce kraju napłynęło ich jeszcze daleko więcej. — Po utworzeniu księstwa warszawskiego wyniosło ich się znów dużo, zwłaszcza urzędników,

<sup>1)</sup> Z Berlina wyjechał autor pamiętników zaraz po wejściu Francuzów konno do Poznania i przywiózł najświeższe wiadomości. Platz major pruski kazał go zawołać do siebie i chciał go strofować o rozsiewanie fałszywych wiadomości, a gdy mu powiedział, że widział Francuzów w Berlinie, zapytał: „Was? Wirkliche Franzosen?“ Na drugi dzień już wszyscy wojskowi pruscy z Poznania znikli.



ale w roku 1806 stanowili oni wraz z żydami, jak i teraz prawie połowę ludności Poznania.

Szwadrony francuzkie na rynku zsiadły z koni, i po rozmowach z mieszkańcami, cisnącymi się do nich, pomiarkowały, że są w przyjaznym kraju, o czem już po kilkudniowym marszu po Wielkopolsce, przekonali się byli; rozkwaterowali się tedy spokojnie. — Jenerał Dąbrowski przybył w dwa dni potem, zastał w mieście już wielu obywateli przybyłych ze wsi, uformował zaraz gwardyą honorową dla przyjęcia cesarza Napoleona, złożoną ze stu koni, i oddał komendę nad nią Umińskiemu, którego znał z wojny Kościuszkowskiej, był on bowiem, mając 15-cie lat, adjutantem przy jenerale Madalińskim.

Przed przybyciem cesarza gwardya honorowa mustrowała się codziennie na polu, od strony Buku za wiatrakami, ćwiczyła się w obrotach plutonowych i szwadronowych. Umiński zrobił mnie adjutantem szwadronu i instruktorem, wiedział bowiem, że cztery lata służyłem był w dragonach, którzy na ówczas pełnili służbę jazdy i piechoty. — Była to formacya pierwiastkowa dragonów, zkąd też ich nazwa, później zmieniono ich w Prusach na lekką jazdę.

Będąc w służbie pruskiej, tylko sześć tygodni na rok, podczas manewrów jesiennych, bywałem przy regimencie, resztę czasu odbywałem nauki w Berlinie w szkole wojennej<sup>1)</sup> udzielane wtedy przez oficerów artyleryi i inżynieryi, z których kilku później się wślawiło, jako to jenerał Scharnhorst, wówczas kapitan i nasz profesor, a później twórca obrony krajowej (Landwehr), moim zaś nauczycielem czyli raczej korepetytorem był porucznik Perlitz — z nim powtarzałem to, co na kursie było wykładanem. — Służyłem od roku 1801 do 1805-go. W tym ostatnim roku, gdy ów regiment dostał rozkaz marszu nad Ren, ojciec mój, nie chcąc, żebym przerywał nauki, wyrobił u komenderującego nim jenerała Brüsewitz, wymazanie moje z kontroli i pozostałem w Berlinie aż do wejścia tam Francuzów 1806 r.

Ztąd to Umiński użył mnie najmłodszego może z gwardyi honorowej do uczenia mustry, której sam wtedy nie umiał, ponieważ chociaż był adjutantem przy Madalińskim, w linio-

<sup>1)</sup> Nazywała się Artillerieacademie.

wym pułku żadnym nie służył, nauczył jej się dopiero później. — Piesza służba bardzo dobrze poszła z tak chętnymi obywatelami, z jakich była złożona gwardya honorowa, ale konna była bardzo trudna, gdyż wszyscy mieli konie za żywe do szeregu, i równania się zawsze psuły.

Do szeregu należy unikać za żywych koni, zawsze one się dosyć ożywią połączone razem. — Przyjemne to wspomnienie, że w tej gwardyi służyli: Suchorzewski, Morawski, Tomicki, Ziemecki, późniejsi jenerałowie. Zjeżdżali się także jeden po drugim z Włoch, nasi legioniści, Jenerał Kosiński, Sokolnicki, Downarowicz, Sierawski, Muchowski, Hauke, Cedrowski etc., etc. Serdeczne były ich powitania z nami.

Pierwsza dywizya piechoty francuzkiej z korpusu Davousta, która przymaszerowała, dziwne na mnie zrobiła wrażenie. Wyjechało nas naprzeciw niej kilkunastu, spostrzegliśmy o milę od miasta całe pola pokryte pojedynczymi żołnierzami, w surdutach różnej barwy, nieśli wszyscy broń kolbą do góry i szukali suchych przepraw po polach, na drodze bowiem było błoto po kolana.

Przed samem miastem, obok wiatraków, uderzano w bębny, zbiegli się wszyscy i stanęli w kolumnie szeregami, w mgnieniu oka pozwijali płaszcze, popoprawiali kapelusze na głowie (cała liniowa piechota jeszcze wtedy nosiła kapelusze trójrogate) wojsko jak najregularniejsze się zjawilo, maszerując z muzyką na czele, krokiem żywym podwójnym do miasta. — Stanęli około rynku, broń w kozły złożyli, dobyli szczoteczek, trzewiki pochedżyli z błota i żwawo bawić się pomiędzy sobą zaczęli, jak gdyby zamiast 150-ciu mil, jedną tylko milę marszu byli odbyli.

Przypatrywałem się ze zdumieniem tej piechocie złożonej z tak ochoczych ludzi, dotąd niezwyceżonych. Wszyscy jakby do tańca gotowi. Nie taką kilka tygodni temu widziałem wychodzącą piechotę z garnizonu, w tej każdy żołnierz wyższy o głowę od tamtych, barczysty, daleko silniejszym być się wydawał, ale sztywny, nie ruchawy, uszedłszy pół mili, skoro kolumna stawała, pokładał się do spoczynku. — Z historii wojen wiedziałem, że piechota bitwy wygrywa, a najczęściej ona je rozstrzyga, a lubo niekiedy jazda je także decyduje, to zazwyczaj, po wygranej dopiero, korzyści odnosi.

— Przypatrując się tej dzielnej i tak lekkiej francuzkiej piechocie, zrozumiałem to lepiej, i utwierdziłem się w myśli zaczczenia służby mojej na wojnie w piechocie.

Przyszła nareszcie wiadomość, że cesarz Napoleon przybywa do Poznania. Wymaszerowała zaraz cała nasza gwardya honorowa i miała stanąć za Międzyrzeczem, aby przyjąć go na granicy polskiej, ale pod Bytyniem, gdzieśmy pod wieczór stanęli, cesarz nadjechał w nocy i kazano nam go eskortować, przed i za kareta; strzelcom konnym gwardyi, to jest pikiecie z 25 ludzi i jednego oficera złożonej, która go dotąd eskortowała, kazano maszerować za nami, zapewne ażeby okazać nam zaufanie.

Ciemna noc była i tylko turban biały na głowie mamełuka Rustana, który siedział na koźle karety cesarskiej, widać było. — Z jenerałem Dąbrowskim rozmawiał cesarz z karety podczas przepręgu i po kilka razy w drodze, ponieważ po wielkiem błocie wolno tak ciężkim powozem jechać musiano.

Stanąwszy w Poznaniu w gmachu pojezuickim, kazano nam 25-ciu gwardzistów zostawić na służbie, i pokój dobry na dole nam przeznaczono.

Nazajutrz około 10 z rana, cesarz siadł na konia, cała gwardya nasza już czekała na podwórzcu, kazano czterem ruszyć naprzód przed cesarzem a reszcie za nim. — Cesarz prosto przez most, drogą ku Warszawie, po największem błocie galopem dojechał do Swarzędza, za miasteczkiem skręcił w prawo w pole, wyszukiwał pagórków, na których zatrzymując się, przypatrywał się na około otwartym polom, jakby armią przed sobą i w około siebie widział. — Ponieważ byłem najczęściej przy czterech naszych na przodzie, mogłem mu się dobrze przypatrzeć, kiedy się zatrzymywał i zdawało mi się, że go już dawno był widział, tak portrety jego były podobne, zwłaszcza te, które go wystawiały na koniu. — Trudno było jednak kolor oczu rozpoznać, tak były ciągle w ruchu, że niepodobno było im się przypatrzeć, zdawały mi się naówczas ciemne, a to zapewne dla tego, że były głęboko osadzone. Później będąc bliżej i często z nim rozmawiając widziałem, że były bardzo jasne. Mówiąc nie patrzył w oczy temu, z kim mówił ale na dół lub na bok, czasem tylko spojrział prosto w twarz.

Powróciliśmy do miasta około 5-tej wieczorem.

Drugiego dnia wyjechał znów konno około południa, i kazał się prowadzić tak, żeby zobaczyć pałac polski. — Ruszył zaraz za miastem drogą ku Stęszewu galopem i nie stanął aż w Konarzewie.

Trzeciego dnia 13 grudnia kazał jechać w przeciwną stronę. — Najprzód około Winiar, tam stawał kilka razy i okolicę przepatrywał, potem polami i przez błoto, w którym ledwo, że z koniem nie uwiązł, a eskorta za nim przejechać już nie mogła, bo nasze konie, koń cesarza i kilku generałów, którzy przejechać nie mogli, rozrobiły błoto do nieprzebycia.<sup>1)</sup> Tak z nami i z dwoma szaserami francuzkimi, zjechał do Radojewa, przewiózł się na promie do Owińsk i tam klasztor próżny oglądał. — Pytał się, jakim sposobem te dobra teraz do Treskowa należą? Mógłbym zaspokoić jego ciekawość, bo przypadkiem znałem tę rodzinę. Ciotka moja, pani Engestromowa, Chłapowska z domu, w ich domu w Berlinie mieszkała, a ja zawsze w niedziele u niej na obiedzie bywałem. — Ciotka moja w 1804-tym roku bardzo grzecznie w Berlinie przyjęła marszałka Duroc, który przybywszy tam w nadzwyczajnem poselstwie, z oznajmieniem koronacyi cesarza, znalazł wszędzie, oprócz domu mojej ciotki, zimne przyjęcie, bo Francuzów w Berlinie nie lubiono, a jeszcze ich się nie bano. — Marszałek Duroc przypomniał sobie moją ciotkę i jej grzeczne przyjęcie, zapewne o tem cesarzowi powiedział i może być, że dla tego, jakeśmy przybyli z Owińsk do Poznania, cesarz kazał mnie zawołać i siąść do obiadu obok siebie.<sup>2)</sup> — Oprócz mnie był tylko Berthier, szef sztabu całej armii, i zajmował miejsce naprzeciw cesarza. Stolik był tak mały, że tylko jeszcze jedna osoba mogłaby się była naprzeciw mnie zmieścić; jeden tylko służący stawiał na stole potrawy i co potrzeba było.

---

<sup>1)</sup> Przytaczamy tu zdarzenie które miało wpływ na służbę późniejszą autora. Gdy oficerom francuzkim nie udało się przejechać przez błotnisty rów na łące, autor dopadł rowu z okrzykiem: „*Un Polonais passe partout*” a cesarz jego śladem przejechał. Po pokoju Tylżyckim cesarz zażądał, aby mu przysłano tego młodego Polaka *qui passe partout* i nominował go swoim oficerem ordonansu.

<sup>2)</sup> „Gazeta Poznańska“ z 7-go stycznia 1807 donosi, że 13-go grudnia cesarz Napoleon kazał w Poznaniu zaprosić na obiad syna bywszego (sic) starosty Kościańskiego.

Obiad nie trwał dłużej, jak mi się wydało, jak pół godziny. — Przez te pół godziny, cesarz pytał mnie się jednak o bardzo wiele rzeczy. — Szybko mi najprzód zadawał pytania, jak gdybym mu zdawał egzamin. Wiedział już, bo po drodze był mi się pytał, że służyłem w wojsku pruskim, więc dowiadywał się o nauki, i o profesorów artyleryi, o jej składzie i ogółem o całą armią pruską, nareszcie zapytał się, ile może być Polaków w korpusie, stojącym jeszcze w Prusach Książęcych za Wisłą pod jenerałem L'Estocq. Na to zapytanie odpowiedzi dać nie mogłem, alem mu wspomniał, że w tym korpusie musi być Litwinów najwięcej, ponieważ się w Litwie pruskiej rekrutował, a do Prus należało wtedy po ostatnim zaborze całe Augustowskie. — Również nadmienilem, że na Litwie tylko dziedzice Polacy a lud litewski. O Litwie nie wiedział, ani tego nawet, jakim sposobem się z Polską połączyła. Musiałem mu to opowiadać. — W ogóle naszą historią mało znał, a pruską jak mi się wydawało, tylko od Fryderyka drugiego. — Więc go zdziwiło, kiedy mu powiedziałem, że w korpusie pruskim, stojącym około Królewca, służą nie Polacy lecz Litwini i Żmudzini, ale że ci choć po polsku mało mówią, jednak są, jak i cała moskiewska Litwa, do Polski przywiązani. O stanie chłopów także się pytał. Wiedziałem od ojca mego, że za polskich czasów chłopci nie byli tak obciążeni pańszczyzną. Rólnictwo było prostsze, nie tyle, prócz żniw, rąk wymagało. Ale gdy rząd pruski kraj zabrał, rozdał wszystkie dobra duchowne, koronne i starostwa swoim Niemcom. Ci ludzie bardzo zaradni, powiększyli pańszczyznę, więcej dni roboczych i wiele różnych posług nowych żądając. — Nasi obywatele obarczeni długami, po ostatnich wojnach, zapatrując się na nowoprzybyłych poczęli ich po części przynajmniej naśladować.

Słuchał cesarz bardzo cierpliwie tych wszystkich szczegółów, nareszcie się o żydów zapytał. — Myślał, że oni z Azji do nas przybyli. Odrzekłem, że przeciwnie od zachodu, wtedy kiedy ich niemal z całej wypędzono Europy, bo przodkowie nasi zawsze największą mieli dla wszystkich wyznań tolerancją.

Opowiadać sobie obszernie kazał, jak Prusy królewieckie czyli książęce Elektorom Brandenburskim się dostały. — Nie znałem jeszcze Francyi, więc nie wiedziałem, jak mało ich

interesują rzeczy obce, i dla tego anegdoty dworów francuzkich wszystkie na pamięć wiedzą, a z historyi obcych krajów bardzo mało znają.

Także łaskawie się zapytał o rodziców moich, a dowiedziawszy się, że matka moja była z krakowskiego, pytał się o ten kraj i uniwersytet, o którego stanie ówczesnym mało co wiedziałem, tylko o założeniu, o dawnym wpływie jego i o sporze między Jezuitami a akademią Krakowską opowiedziałem.

Wstał od stołu po kawie, pochwalił mnie, że nie pił wina, pokazał na butelkę, że on zawsze pół butelki tego samego Chambertin pije, ale dodał, że to złe przyzwyczajenie. — Potem przechadzając się po pokoju, jeszcze raz o organizacji wojska pruskiego mówił, znał ją dobrze, tylko się jeszcze pytał o szkoły wojskowe, jak daleko w matematyce dochodzą, dziwił się, że na przecięciach krążkowych kończą. — A o geometrii wykresłej czy wiedzą? Ja sam naówczas nie wiedziałem, dopiero w Paryżu później ją przeszedłem.

Tegoż samego wieczora, w sali obok pokoju gdzie był obiad, zebrało się wiele dam, które ze wsi były poprzyjeżdżały, dla przedstawienia się cesarzowi. — Dziwne im czasem zadawał zapytania i sposób mówienia miał urywkowy, znać, że w tej samej chwili, gdzieśindziej myśli jego wędrowały. — Do mężczyzn, których zastał całą gromadę, wystrojonych w pończochach i trzewikach, powiedział, że należy im wiaść buty z ostrogami.

Dano dla niego bal w teatrze, cała sala była tak przepełniona aż na galerye, że tylko małe miejsce do tańca pozostało, chodził i rozmawiał z wielu obecnymi, jednak nic nie słyszałem, bom się tam nie cisnął i więcej byłem na ulicy, ażeby nasi gwardziści, nie wszyscy razem na salę wchodzili, a koni swym masztalerzom nie oddawali, aby byli gotowi do eskorty, skoro cesarz bal opuści. — Bawił jednak kilka godzin, aż do północy.

W parę dni przybył adjutant od księcia Murata z wiadomością, że Warszawa zajęta. Cesarz nazajutrz wyjechał; gwardya honorowa eskortowała go trzy mile. Tam ją pożegnał i kazał generałowi Dąbrowskiemu wydać wszystkim patenta na podporuczników, Umińskiemu na podpułkownika, Suchorzewskiemu na majora, Górzeńskiemu, porucznikowi z pruskich kirasyerów i mnie na poruczników.

Jenerał Dąbrowski zaczął już był formować cztery regimenta piechoty liniowej i dwa kawaleryi regularnej, a przy tem powstania wojewódzkie. Cesarz sam mianował księcia Sułkowskiego pułkownikiem, bo imiennik jego był przy nim adjutantem w Egipcie i tamże zginął w bitwie pod piramidami. — Potem zostali pułkownikami majątni obywatele, którzy się przyłożyli swemi funduszami do ubrania regimentów, Mielżyński, Łącki, Poniński, Garczyński. Ale do każdego regimentu przeznaczył jenerał Dąbrowski podpułkownika czyli grosmajora z pomiędzy legionistów, albo dawnych sztabsoficera do organizacyi i rzeczywistego dowództwa. Dowódcy batalionów, kompanii, szwadronów nawet, byli prawie wszyscy starzy oficerowie, tylko porucznicy i podporucznicy młodzi.

Za życzeniem ojca mego, wstąpiłem jako porucznik do pułku księcia Sułkowskiego<sup>1)</sup> i przeznaczony zostałem do kompanii wołyżerów, którą dowodził kapitan Puchalski, dawny żołnierz Kościuszkowski. — Podporucznikiem w tej kompanii był Gorzeński, bardzo gorliwy i dobry oficer, duszą żołnierzy; w naukach wojskowych dobrze się był przygotował.

Gniezno przeznaczone było na nasz garnizon, gdzie zastałem już dwa tysiące rekrutów, najwięcej dobrowolnie przybyłych, i wszystkich oficerów. Zaraz też do kompanii wstąpiłem i służbą się zająłem. — Organizacya, umundurowanie i mustra prędko bardzo postępowały.

Regulamin mieliśmy przysłany przez jenerała Dąbrowskiego, przetłomaczony z francuzkiego. Znając pruski, łatwo mi było nowego, daleko prościejszego i o wiele lepiej do obrotów wojennych zastósowanego się nauczyć. — Karabiny dostaliśmy wkrótce, były niedawno fabrykowane, leżały w arsenale w Berlinie, nie zdążono ich wywieść. — Miały wprawdzie bagnety bez proporcyi za długie, dla tego też zmienione potem zostały na francuzkie. Mustrowaliśmy się bez broni, ale skoro karabiny nam przysły, zaraz rekruci się łatwiej nauczyli maszerować i równać, i myślę, że próżną jest rzeczą rekruta długo męczyć i czas tracić na mustrze bez broni, szkołą tak

---

<sup>1)</sup> Książę Sułkowski rodził się z Elżbiety Przebédowskiej, wojewodzianki malborskiej, siostry wojewodziny inowrocławskiej Moszczeńskiej, babki jenerała Chłapowskiego. Był więc jego wujem.

zwaną żołnierza; z karabinem na ramieniu postawa mu się zaraz lepiej wyrabia, a nawet równanie łatwiej utrzymać.

Wesołe było nasze życie w Gnieźnie; mustra całe rano i po śniadaniu francuzkiem. — Na wieczór, po apelu, dawał teorią taktyki oficerom podpułkownik nasz Majaczewski, a podoficerom major Rogaliński.

Przemarsze francuzkich oddziałów, prawie codzien trwały. Książę Sułkowski zawsze oficerów przyjmował u siebie z uprzejmością. Także często dawano bale w kasynie i u podpułkownika, który miał z sobą żonę i córkę. U kanoników były obiady i wieczory.

Nadszedł wreszcie rozkaz pożądany wymarszu. Zima była łagodna ale mokra — od piechoty francuzkiej przyjęliśmy sposób lekkiego obuwia, to jest zamiast butów, trzewiki i krótkie kamasze, które tak ściskają nogę, że krew w nią nie napływa, i nie nabrzmiewa po zmęczeniu. W marszu po błocie lub śniegu, przemakają wprawdzie łatwo, ale wieczorem, czy na kwaterze, czy w obozie przy ogniu, prędzej daleko się przesuszają jak buty, które także po całodniowym pochodzie w błocie zupełnie przemakają, a daleko trudniej wysychają. — Podczas suszenia trzewików, szkarpetek i kamaszy przy ogniu, biorą się na nogi inne wilią tego dnia wysuszone, łatwiej bowiem mieć z sobą drugą parę trzewików i kamaszy krótkich, jak drugie buty, które kiedy przemoczone, nie tak prędko dają się wysuszyć. — Zarzucają niektórzy trzewikom, że w głębokim błocie z nogi schodzą, ale to się tylko wtedy zdarzyć może, kiedy kamasze są źle zrobione, gdy zaś dobrze przystają, to trzewiki mocniej w błocie przytrzymują i mocniej niż buty siedzą.

Główną rzeczą dla piechoty, jest utrzymać nogi zdrowe, dla tego wielce jest pomocnem smarować je wódką w wieczór przy odmienianiu obówia, bo to nie tylko od nabrzmienia, ale i skórę od obtarcia broni. — Nasi ludzie lubią nogi tłuszczeniem smarować, zwłaszcza kiedy je zamiast szkarpetek, płótnem obwijają; tego żołnierzom pozwalać nie trzeba, bo płótno, jeżeli bardzo starannie i równo nie leży na nodze, łatwo ją obetrze. — Żołnierze po trzy pary szkarpetek mieć powinni, i te ile można prac regularnie. — Dla tego obszernie o nogach piechoty piszę, bo od nóg zależy prędki marsz a doświadczony

jenerał mawiał, że »w nogach zwycięstwo.« — W marszu pobieraliśmy regularnie racją chleba, mięsa, kaszy lub grochu i wódki. Staliśmy od Gniezna aż do Gniewu zawsze u chłopów. Gotował nam woltyżer, który poprzednio był kuchnikiem przy jakimś dworze. Kapitan nasz zachorował i pozostał w tyle, jużemy go więcej nie widzieli. Był on zresztą w dość już podeszłym wieku — dowodziłem więc odtąd kompanią i miałem podporucznikiem bardzo dobrego oficera. — Jadało z nami zwykle, kiedy nie zadaleko stali, czterech podoficerów i kilku żołnierzy na warcie będących, zwyczaj, który od Francuzów przyjęliśmy.

Miałem z sobą służącego, którego mi dał był mój ojciec, ten jechał na moim koniu i miał mój mantelzak. Ja nigdy na konia nie siadałem, zawsze piechotą z kompanią szedłem, tak samo podporucznik Górzeński, który nawet konia mieć nie chciał. Marsze były dość długie, zawsze około 4 mil na dzień, przez Gąsawę, Bydgoszcz, Świecie, Gniew. W Gniewie dojechał nas jenerał Dąbrowski, kilka batalionów z dywizyi na pole wyprowadził i obroty niektóre wykonać kazał. — Ruchy kolumnami szły dobrze, ale rozwinięte bataliony w linii krokiem podwójnym z nadstawionemi bagnietami bardzo źle jeszcze równania utrzymywały, nie dosyć jeszcze byli żołnierze wprawieni, aby oczami tylko strzegli strony kierunku (dyrekcyi), a głów w stronę tę nie nakręcali. — Jak tylko głowę kilku skręci, tak i ciała prostego kierunku nie utrzymują, krok się robi nierówny, cała linia się psuje i roty albo się tłoczą, albo rozchodzą.

Tego samego wieczora dano mi rozkaz maszerowania natychmiast do Ciepła, gdzie stały przednie nasze straże, o pół mili od Gniewu ku Wiśle. — W nocy śnieg mocno pruszył, dróżka i ścieżki były już nim pokryte, marsz był przykry. — Przybywszy do Ciepła, zameldowałem się majorowi Suchorzewskiemu, który tam dowodził 150-ciu końmi i trzymał czaty. — Przeznaczył z trzech będących tam domów jeden, dla mojej kompanii. Dwa drugie, stajnie i stodoły, zajmował ułanami i ich końmi. — Mieszkańcy wszyscy Polacy, przyjmowali nas bardzo ochoczo, ale zanadto ciasno nam było, ażeby mieć wygodę; żołnierze prócz wykomenderowanych na placówki, zajęli izbę, a dla nas dwóch oficerów i sierzantów

trzech, tylko komórkę zatrzymałem. — Wyszędłem zaraz postawić placówkę i czaty z majorem, który w dzień był rozpoznał położenie. — Pierwszy raz staliśmy tak blisko nieprzyjaciela.

Ponad Wisłą kręcili się huzarzy i strzelcy piesze, aleśmy ich nie widzieli, tylko major mi mówił o nich. — Zresztą noc ciemna była i śnieg wciąż pruszył. — Staliśmy tam dzień cały, nad wieczorem przysłano mi rozkaz pomaszerowania do Młynowa, o dwie mile i pół na lewo, tam dopiero nad ranem stanąłem, ponieważ nocą z przewodnikiem bardzośmy wolno tylko po głębokim śniegu maszerować mogli. — Spostrzegłem na górkach, po lewej stronie wsi, ognie całej naszej dywizyi. Wkrótce spotkał mnie oficer, który mi do generała Dąbrowskiego udać się kazał. Leżał w chacie na słomie ubrany, wysłał ze mną podpułkownika Hurtig, który poprowadził mnie z kompanią zamiast do obozu, na prawo wsi w parów, i kazał tam rozstawić placówkę i czaty; a ogień na dole rozniecić, przy którym żołnierze gotować sobie mieli.

Czytałem różne regulaminy tak nazwanej małej wojny, i byłem zdania i dziś jeszcze tego samego jestem, że lekka jazda austriacka najlepszą ma do tego instrukcyą. Austriacy też najlepiej czaty dla strzeżenia armii stawiają.

Rozstawiłem więc podług mego zdania strażę po pagórkach i powróciłem do kompanii, która tymczasem w dołach, gdzie ziemniaki zapewne przechowywują, ale już dawno wydobyte były, porobiła ognie i do gotowania się zabrała. — W jednym dole siadłem, by się od wiatru schronić, i przykrywszy głowę kołnierzem od płaszcza, — a raczej był to surdut z peleryną, bo w płaszczu trudno byłoby maszerować — przespałem kilka godzin spokojnie, a podporucznik, na którego się spuścić mogłem i który był pierwszej spoczął, warty zmieniał.

Nazajutrz przyniósł mi oficer od sztabu rozkaz połączenia się z regimentem. Dopiero od niego dowiedziałem się, że cała nasza dywizya pomaszerowała na lewo do Młynowa, dla tego że korpus pruski wyszedł był z Gdańska i chciał legią tak zwaną północną, którą dowodził książę Michał Radziwiłł, od nas odciąć i jej połączeniu się z nami przeszkodzić, ale legia bez nas zabiła ten korpus i weszła do Starogrodu.

Liczyła ona 3000 ludzi, samych żołnierzy pruskich wzię-

tych pod Jeną do niewoli. Oficerowie byli wszyscy z tych, co z Włoch przybyli.

Myśmy zuów powrócili na drogę główną do Gdańska, ale już nie do Gniewu, lecz do wsi przed to miasto, której nie pomnę nazwiska, ponieważ mnie zaraz z kompanią wysłano do przedniej straży. — Tą dowodził Jan Dąbrowski syn generała, i stał w Sułkowie, o półtorej mili od Tczewa. — Kazano mi stanąć tuż za wsią. — Chłopi wszyscy Polacy nanosili nam jedzenia, aż nadto hojnie. — Nazajutrz ciemno jeszcze było, jak przybył generał Dąbrowski, a oficer będący przy nim, zawołał na mnie z drogi, żebym z kompanią maszerował przez całą wieś i przed nią stanął. — Tam zastałem generała otoczonego samymi wyższymi oficerami, starszyzną, jak mówią nasze wiarusy, którym dawał rozkazy ataku na Tzew. — Mnie, jako dowódcy kompanii wołyżerów, kazano także przystąpić do koła, bym te rozporządzenia słyszał. Kazał mi generał maszerować zaraz za pierwszym szwadronem, który przed samymi ogrodami przedmieścia miał się usunąć na bok, a ja, pół kompanii z podporucznikiem, rozpuściwszy w tyraliery po ogrodach, miałem sam z drugą półkompanią żywo wpaść pomiędzy domy przedmieścia, aż do bramy zwanej nadwiślańską, do której batalion nasz z kompanią grenadierską na czele miał szturmem się dobyć. — Drugi batalion nasz przeznaczony był do zdobycia bramy zwanej młyńskiej. Jazda podczas szturmowania miała obejść miasto w lewo i stanąć w obserwacji bramy gdańskiej, aby uderzyć na cofającego się z miasta nieprzyjaciela.

Rozporządzenia te wydał generał Dąbrowski jak najjaśniej, tak że każdy mógł je zrozumieć. — Marsz zaraz się rozpoczął i trwał około dwóch godzin. Skorośmy miasto spostrzegli i po pagórkach huzarów pruskich, poczęliśmy maszerować tem spieszną. Kilka wystrzałów karabinowych i pistoletowych pomiędzy sobą tyraliery jazdy wymienili, które nikogo, jak zwykle strzały jazdy, nie raniły. — Przybliżywszy się do przedmieścia, szwadron przedemną kłusem na lewo się usunął, a ja puszczając drugą sekcją w ogrody, sam z pierwszą frontem, spiesznym krokiem, drogą do ulicy przedmieścia dążyłem równocześnie z tyralierami na lewo i prawo, którzy się przez płoty przeprawiali. — Dopuścili nas Prusacy blisko

domów, a z tych oknami, drzwiami i dziurami w ścianach porobionemi, dali razem ognia do mojej półkompanii, tak że podoficer, który przy mnie na lewo biegł naprzód, padł śmiertelnie ugodzony. Padło i za mną kilku, więcej rannych zostało. — Pierwszy ten ogień zrobił wrażenie na wszystkich, przewracani, zabici i mocno ranni, zostali oczywiście na placu, a zdrowi poszli w rozsypkę. — Przyznaję się, że głowę w tej chwili straciłem. — Mój podoficer z nazwiska Mohr, tak nagle padł, że mnie potoczył.

Spojrzawszy nań i obaczywszy twarz białą jak śnieg a całe ciało bez ruchu, straciłem głowę. Jednym słowem uciekliśmy wszyscy z 150 kroków może w tył, aż kompania nasza grenadierów na czele batalionu nas doszła. Wtedy zebrałem ludzi i znów wyprzedzając batalion, wpadłem z nimi pomiędzy domy, ale Prusacy na atak całego batalionu nie czekali. Biegając pomiędzy domami na przedmieściu, widzieliśmy jak przed nami uciekali. — Z tyłu było kilku konnych, goniliśmy za nimi, ale wpadli do miasta i bramę zawarli. — Byliśmy wtedy może o sto kroków od bramy, kiedy grad kul padł na nas ze strzelnic w niej do ręcznej broni wyrobionych i z domów na wale po prawej stronie.

Powywraçało się kilkunastu naszych, — wtem nadjechał konno nasz podpułkownik Sierawski i kazał nam się za domy najbliższe schronić, mówiąc: »poczekajcie tu, przyjdzie zaraz armata i bramę rozbije.« — Sam pozostał jednak na ulicy, uśmiechał się, jak kule szeroki płaszcz jego granatowy przedziurawiały. Patrzałem z za domu z podziwieniem na jego zimną krew. Po kilku minutach, najwolniejszym krokiem, zwrócił się w tył i pojechał do batalionu, który także kompaniami był się za domy za nami schronił. Tym sposobem ulica została próżna, ale wprzódy kule do batalionu tak dochodziły, że prócz wielu żołnierzy padł podpułkownik Muchowski, a adjutant major Józef Bojanowski, mocno rannym został. — Rannych naszych żołnierzy, mimo kul do domów odnosili, z mojej kompanii jedenastu.

Przeszło jednak dobrze pół godziny nim armata z francuzkimi kanonierami przybyła i odprzodkowała. Przed nią przyjechał konno stary jakiś oficer z adjutantem jenerała Dąbrowskiego, Bergenzonim, którego zaraz ugodzony śmiertelnie

kulą, spadł z konia obok domu, za którym staliśmy w masie. Francuz ani się ruszył, jak gdyby nie wiedział, że ten spadł obok niego. Pierwszy strzał armatni tak przy nim blisko dmuchnął, że mu się kapelusz galonowy na głowie nakreślił.

Za trzecim strzałem, runęła brama i tenże oficer do mnie powiedział po francuzku: »Dalej młodzieńcze zarób na krzyż, ruszaj w miasto.« — Ruszyliśmy pędem, wpadli do miasta, pomiędzy Prusaków, którzy się już nie bronili, a my za uciekającymi dobiegliśmy aż na rynek, a za nami wkrótce batalion. — Mnie zaraz kazano maszerować na drugą stronę miasta, a jedną kompanią za Prusakami w ulicę na prawo posłano. — Później się dowiedziałem, że do kościoła z dowódcą swoim się schronili, i tam się poddali, prócz cząstki, która przez słaby lód Wisły uciekała, ale z tych podobno wielu się potopiło. W kościele zabrano generała Roth i około 800 ludzi głównie z regimentu strzelców uczonych, dla tego też tak celnie z okien i z za bramy strzelali i nam sto pięćdziesiąt kilku ludzi w batalionie ubili.

Skoro stanąłem za miastem, dano mi rozkaz pomaszerować o pół mili naprzód do Stamberga małej wioski, z 6-ciu biednych chałup złożonej, i ztamtąd aż pod Wisłę placówki i czaty porozstawiać.

Ta pierwsza potyczka pod Tczewem, nastęcza mi uwagę, że młodych żołnierzy, którzy jeszcze w ogniu nie byli, nie należy rozpuszczać w tyraliery. Bezpieczniej jest trzymać ich razem w szeregach, w małych oddziałach, a przy każdym takim oddziale oficera. Można przez te oddziały z wielkimi odstępami zająć tyle przestrzeni ile wypada i ileby tyraliery po dwóch żołnierzy zajęli.

Jenerał Dąbrowski podczas potyczki, był przy naszym drugim batalionie i został rannym. — Po nim objął komendę jenerał Kosiński, a w kilka dni potem, przybył starszy od niego Giełgud garbaty.

Batalion z księciem Sułkowskim wszedł był do miasta prawie równocześnie z nami, tak że z rynku widzieliśmy go już wchodzącego w ulicę. — Maszerując do Stamberga, na prawo od drogi do Gdańska, usłyszeliśmy działowy i ręczny mocny ogień około milę przed nami i dowiedzieliśmy się w kilka godzin potem, że z Gdańska maszerowała kolumna

na pomoc Tczewu, ale że generał Menard z północną legią od Starogrodu idąc, zatrzymał ją i do cofnięcia się zmusił. Ogień nie trwał dłużej nad godzinę.<sup>1)</sup>

Przymaszerowawszy do Stamberga, rozpoznałem położenie, postawiłem dwie placówki ponieważ były dwie groble. Na jednej z nich droga prowadziła do drugiej wsi, którą o pół mili widać było na Żuławach, druga szła nad samą Wisłą. — Rozchodziły się od Stamberga pod ostrym kątem, dalej były prawie równoległe. W tej porze roku tylko groblami na Żuławach przeprawić się można. — Pomiędzy nimi była woda po łąkach. Ponieważ zaraz wychodząc z Tczewa, oddano mi 2-gą kompanią wołyżerów, której kapitan był rannym, miałem w obydwóch 200 ludzi i 50 strzelców celnych, po kapitanie Gołaszewskim, który był zginął. — Miałem więc pod komendą 254 ludzi. Na każdej grobli postawiłem po 40, aby w przypadku, na groblach bronić się mogli. — Placówki te stawiały po dwie czaty, na każdej grobli o 200 kroków w dzień a o 100 w nocy.

Nazajutrz, ponieważ się zanosilo, że tam kilka dni postoimy, zaprowadziliśmy wozy i stare tarcice, któreśmy w wiosce znaleźli, i przed każdą placówką na grobli, zrobiliśmy zaporę, a za nią budy dla żołnierzy i dla ochrony od słoty, i dla obrony od nagłego napadu. — Tym sposobem, chociaż wioska o kilkaset kroków od placówki leżała, mogliśmy spokojnie po domach spocząć.

Placówki zmieniałem co 12 godzin, po północy i po dwunastej w dzień, ażeby wszyscy mieli dosyć czasu, w domach jeść nagotować. — Godzinę przededniem zawsześmy wszyscy pod bronią, aż do dnia stali. — Taki był rozkaz raz na zawsze. — W dzień za to nie było potrzeby się obawiać, bo na Żuławach z powodu zupełnej płaszczyzny, daleko widać w około.

<sup>1)</sup> Za potyczkę pod Tczewem otrzymali Legię honorową, wedle rozkazu dziennego generała Dąbrowskiego z dnia 14 marca, ogłoszonego w „Gazecie Poznańskiej“ z dnia 21 marca 1807 r.: 1) Hauke, pułkownik, szef sztabu; 2) Pakosz, podpułkownik adjutant z regimentu 1-go piechoty; 3) ks. Sulkowski, pułkownik; 4) Majaczewski, podpułkownik; 5) Muchowski, podpułkownik; 6) Bojanowski, adjutant major; 7) Puchalski, kapitan; 8) Chłapowski, porucznik; 9) Chojnacki, sierżant major; 10) Bojanowski, sierżant major; 11) Malinowski, sierżant; 12) Szalin, kapral; 13) Czuprynkiewicz, żołnierz; 14) Charlet, oficer artylerji francuzkiej.

Jenerał Kosiński, kilka razy w dzień i w nocy nasze posterunki rewidował, i zawsze porządek pochwalił. — Stałiśmy tak cztery dni i należycie wypoczęli. — Nieprzyjaciel się nie pokazał; dopiero piątego spostrzeżono z placówki kręcących się jeźdźców, opodal od pierwszej wsi przed nami. — Ta wieś Zblewo o pół mili prawie od Stambergu (Stamberk) leżała, kraj cały oprócz dwóch grobli, był zupełnie zalany i jazda wcale nie mogła się przeprowadzić inaczej, tylko po groblach. — Posunąłem się z placówki, przed czaty, wzięwszy z sobą 6 żołnierzy bez płaszczy i bez tornistrów, około tysiąc kroków. Tu rozpoznałem, że piechota w Zblewie się znajduje. — Zaraz powróciwszy do Stambergu, posłałem na chłopskim koniu sierżanta z raportem do Tczewa.

Nazajutrz raniuteńko, przysłano mi 30 saperów francuzkich, dowodził nimi sierżant i przyniósł mi rozkaz, abym wzięwszy ich i obie nasze kompanie, nieprzyjaciela ze Zblewa wypłoszył. — Niechcąc się dzielić, gdyż czy z wielkiej czy małej operacji wojennej, należy o ile być może, całą się mieć razem; zostawiłem na grobli na lewo przy zaporze 30-tu ludzi, z podporucznikiem Górzeńskim, na którego się spuścić mogłem, bom się był o nim w ogniu pod Tczewem przekonał. — Byłem też dla tego spokojny, bo wiedziałem, że tylko jazda może się po tej lewej grobli posunąć (piechota tak prędkoby nie zdążyła) do zabrania nam tyłu, skoro ujrzy, że się na drugiej do wsi posuwamy. — Pomaszzerowałem więc ze wszystkim, i uformowałem awantgardę, ale Francuzi zaraz prosili, żeby szli naprzód, bardzo ładnie się wyrażając, iż starsi żołnierze winni dać przykład. — Ja chciałem ich mieć w rezerwie, byłoby to nawet bardziej podług zasad, ale ponieważ prosili, dobrałem do nich 30-tu z mojej kompanii, a reszcie kazałem o dwieście kroków postępować za nimi. — Sierżanta Francuza z 5-ciu saperami i 5-ciu naszymi wysłałem o sto kroków naprzód. — Tak te Francuzi ruszyli żwawo, że nasi z biedą zdążyć mogli.

W mniej czasu jak godzinę przybliżyliśmy się do wsi, do saperów i 5-ciu naszych dano kilka razy ognia. Jednocześnie spostrzegłem kilkadziesiąt huzarów, po za wsią puszczających się na drugą lewą groblę, tak że wkrótce byli za nami, na naszej lewej stronie, ale pewnym będąc, że Górzeński z za-

pory tych jeźdźców wstrzyma, wpadłem żwawo z pierwszym oddziałem, przeszedłem całą długą wieś i stanąłem na drugiej stronie. — Opodal przed nami, jeszcze padło kilka strzałów, ale wkrótce i sierżant saperów z 10-ciu ludźmi znikł mi z oczu, tak prędko biegli za nieprzyjacielem. — Huzarów także z daleka inną drogą bardziej w lewo uciekających spostrzegłem, później się dowiedziałem, że kilku mieli rannych, których z sobą zabrali.

Nie widząc powracającego sierżanta francuza z ludźmi, kazałem wyprowadzić dwa chłopskie konie, siadłem oklep a na drugiego żołnierzowi wsiąść kazałem. Ruszyliśmy kłusem, jakim konie tłuste i dosyć rosłe mogły i dojechaliśmy francuza prawie już pod samą drugą wsią, zkąd go nawróciłem. — Zblewo jest duża wieś, domy jak na chłopskie, piękne, zawsze mają połowę drugiego piętra, gospodarze niemcy, ale umieją po polsku, bo parobcy ich i dziewczki wszystkie polskie — i te ostatnie bardzo nami się cieszyły, ale i gospodarze, może ze strachu, aż nadto żołnierzom jeść i pić wynosili. — Powróciłem do Zblewa z sierżantem, nie odstępowałem go, bo tak był zapalony i tak koniecznie chciał położyć lub dostać Prusaka, tak ubolewał, że z próżnemi, jak się wyrażał, wraca rękami, iżem się prawie obawiał, aby jeszcze nie wrócił.

Zatrzymałem się w Zblewie; podczas kiedy ludzie jedli, wziąłem się do pisania raportu do generała Kosińskiego, ale dano mi znać, że kilkuset ludzi naszej piechoty maszeruje ku nam ze Strambergu. — Były to dwie kompanie z 12-go pułku (Ponińskiego), które miały rozkaz mnie podeprzeć, jeżeli będzie potrzeba. — Kapitan prowadzący je wręczył mi instrukcją, abym jeżeli nieprzyjaciel się zrejterował z Zblewa, zaraz pomaszerował do Skarszewa (Schoeneck) — dokąd nasz regiment się udał, a saperów do Tczewa odesłał.

Regiment nasz już z rana był do Skarszewa pomaszerował, ja z obiema kompaniami woltażerów dopiero w nocy tam stanąłem. Kwatery zastaliśmy już przygotowane; książę Sułkowski zrobił był tam komendantem placu kapitana Stanisławskiego, który długo bawił był we Francyi i lubo mówił po niemiecku, ale wymową bardzo z francuzka.

Był on zawsze dla mnie bardzo uprzejmy, wygodne kwatery nam wybrał, i mówił mi, że go mieszkańcy (część tam Niemców) bardzo się boją, mają go za francuza, sądząc po jego mowie.

Kraj ten cały, jak wiadomo, już lat kilkadziesiąt był w ręku pruskim, to jest od pierwszego podziału w 1772 r. Napływ obcych znaczny, przecież nie tak wielki, jak sobie wyobrażałem. Znać jeszcze wszędzie, że się nie czują zupełnie w domu. — Zresztą Niemcy łatwo się przywiązują do ziemi, która ich żywi. Każdy naród ma usposobienie swoje odrębne. Inny jeśli przymuszony okolicznościami kraj swój opuszcza, to zawsze za nim wzdycha i w obcym niechętnie osiada. Germański wynosi się bez żalu, owszem gdzie tylko widok polepszenia bytu go nęci, tam się osiedla, bez myśli powrotu, swoją narodowość zatrzymuje, ale prawa miejscowe chętnie i skrupulatnie szanuje, byle sprawiedliwość wymierzona mu była. Miałem w kompanii mojej kilku Niemców z okolicy Leszna, nawet jednego z nich podoficerem zrobiłem, i byłem z niego bardzo kontent. Lubo słabsi są do znoszenia trudów niż nasi, za to ostrożniejsi i bardziej się pilnują we wszystkim tem, co im się nakazuje do zachowania zdrowia. W Gnieźnie po polsku jeszcze nie umieli, ale wkrótce dobrze się nauczyli i wszędzie porównowo z nami byli w ogniu.

Pilnowałem tego, żeby Polacy z nich się nie naśmiewali i po koleżeńsku się z nimi obchodzili. Uważałem nieraz, że zmęczonym karabiny nawet nieśli, aby im ciężaru ulżyć. Tu po wsiach sam polski lud, a po miasteczkach jest wielu Niemców, lecz po polsku umieją, i radzi przyjmują parobków i dziewczki polskie, dla tego, że silniejsi i do każdej roboty gotowi bez wymawiania się, jakoby do tego nie byli zgodzeni.

Po dwóch dniach pomaszerowaliśmy o dwie mile bliżej Gdańska, do wsi Żułówek, gdzie przednia straż stała. Dochodząc do wsi spostrzegliśmy pikiety, po pagórkach ułanów Dziewanowskiego. Strzegli się widać na około, gdyż te pikiety w tyle stały. Pułkownik Dziewanowski uformował był ten regiment w Bydgoszczy z tak zwanego pruskiego regimentu towarzyszków, którego większa część przeszła była pod Fordonem do nas, skoro tylko na drugiej stronie Wisły zobaczyli nasze wojsko. Był to zatem żołnierz dobrze wyro-

biony. Znajdowało się jeszcze w tym regimencie kilku oficerów i podoficerów z polskiego dawnego wojska Kościuszkowskiego, którzy zaraz po rozbiórze kraju weszli byli z całym oddziałem pułku »złota wolność« w służbę pruską, dla tego że byli z Augustowskiego, które się Prusom dostało. Do tych 600 ludzi, dobrano 300 rekrutów z Bydgoskiego i tym sposobem utworzył się wcale piękny regiment. Mundury tego jedyne pułku ułanów w armii pruskiej były kroju polskiego, kurtki granatowe, z karmazynowemi wyłogami, a mówili mi, że chorągiewki u lanc nawet były czerwone z białem.

Wieś Żuławek porządna, ładnie położona, należąca do jakiegoś pana, którego nazwiska nie powinienem być zapomnieć, gdyż bardzo uprzejmie nas przyjął. Był to starszek mianowany jeszcze za Fryderyka II szambelanem, ale w Berlinie nigdy nie postać.

Zaraz po pierwszym podziale kraju, mnóstwo obywateli wyprzedło swe majątki za bezcen — niektórzy nawet darowali je urzędnikom swoim, a sami przenieśli się do części Polski jeszcze niepodległych. Fryderyk II różnemi sposobami starał się szlachtę do wyprowadzenia się poduszczać, ażeby wsie swymi Brandenburczykami obsadzać. Z Żuławek pomaszerowaliśmy trzy mile pod Gdańsk. Uszedłszy dwie, ujrzelśmy na prawo i lewo wszystkimi drogami posuwające się dywizye ku miastu. Stanowiliśmy prawie środek, przed nami maszerowali ułany Dziewanowskiego, a za nami bateria francuska. Po naszej prawej szedł na czele jeden regiment lekkiej piechoty francuskiej nr. 2-gi, za nim dywizya saska. Na lewej zaś posuwał się pułk 10-ty strzelców konnych francuskich, za nim bateria i brygada Badeńczyków — dalej na lewo jeszcze legia północna Radziwiłła, a przed nią jazda pod jenerałem Sokolnickim, zebrana z powstań Poznańskiego i Kaliskiego. Piękny był to widok, jak wielka mustra. Przednie straże jazdy gdzieniegdzie z pistoletów strzelały. Kilkanaście tylko strzałów działowych z strony nieprzyjaciela padło — z naszej nie widziałem nawet, żeby która bateria była się rozwinęła, a tem mniej odprzodkowała.

Dywizya nasza zatrzymała się pod Bomfeld, ale nasz regiment wkrótce potem pomaszerował na lewo pod wieś Schoenfeld i tam na noc rozłożyliśmy się obozem. Jak tylko się

ściemniło, powstał ogromny ogień. Nieprzyjaciel zapalił wszystkie przedmieścia; paliły się noc całą; w obozie naszym tak było jasno, że czytać było można.

Staliśmy dwa dni pod Schoenfeldem, trzeciego zmieniliśmy obóz z 12-tym regimentem i stanęliśmy pod wsią Kowal. Co dwa dni tak zmienialiśmy się, nie wiem dla czego, bo tu i tam staliśmy w obozie, tylko sztab w chałupach. Powietrze było dżdżyste, ale śnieg pokrywał ziemię. Mielśmy słomy dość na budy i na leże, żywność regularnie rozdawano — chorych nic. Łatwo przyzwyczai się człowiek do życia pod gołym niebem, tak że żadnej przykrości z tego nie doznaje, a z dobrymi kolegami wesoło czas płynie. Placówki stawialiśmy przed obozami, i kilka razy kolej na mnie przypadła. Zanotowałem sobie 12-go marca, noc na placówce bardzo przykłą, bo już byliśmy się jako tako urządzili i ogień rozłożyli, aż tu przybywa podpułkownik Cedrowski i przynosi mi rozkaz posunięcia się pod spalone przedmieście Schotland, gdzie zabroniono nam ognia palić, aby się nieprzyjacielowi nie objawić. Tam, bez słomy, bez ognia, całą noc mokłą przepędziliśmy, drepcąc dla rozgrzania się po śniegu z błotem pomieszanym. Blisko bardzo od placówki czaty popostawiałem, bo noc była ciemna. Cała kompania istotnie stała na czatach, bo się żaden z nas nie położył. Nie pamiętam przykrzejszej nocy w ciągu tej wojny. Nad ranem dopiero żołnierze z spalonego przedmieścia kilka tarcic przynieśli, na których kolejno z Gorzeńskim spoczęliśmy, bo na ziemi nie można było się położyć, wszędzie było na pół łokcia błota z śniegiem. Tej nocy nigdy nie zapomnę, bardzo długą mi się zdawała i dla tego ją obszernie opisuję, ażeby młodzi żołnierze wiedzieli, co na wojnie ich czeka; nie tylko kula, ale niewygody, na które trzeba być przygotowanym. Koleżeństwo zresztą takie cierpienia zmniejsza. Nasi żołnierze też nie narzekali, usłyszałem kilku śpiewających dawną piosnkę wojska naszego, z czasów Kościuszki, która się tak zaczyna:

Czy to w boju, czy to w szańcu

Żołnierz zawsze jakby w tańcu.

Niektórzy jednak mówili: chłodno, głodno, do domu daleko. Około 9-tej rano kiedyśmy się dziwili, że nas nie luzują, przemaszerował cały nasz regiment i my z nim dalej po-

sunęliśmy się pod samo przedmieście. Stanęliśmy w nizinie. Wyminał nas 12-ty regiment i pomaszerował naprzód. Nam złożyć broń do nogi i stać kazano.

Wkrótce się odezwał rzęśisty ogień ręcznej broni. Po godzinie, 12-ty regiment już był panem Stölzenbergu.

Nieprzyjaciel cofnął się do Biskupiej Góry i z tej wawroni działowy ogień rozpoczął. Dwunasty regiment stracił tego dnia wielu ludzi, bo nieprzyjaciel zakryty zwałiskami domów, bezpiecznie strzelał. Odnoszono i prowadzono rannych około nas, warczały kule, ale wyżej nas przechodziły. Była to dobra dla nas wprawa, bo wszyscy żołnierze przekonali się, że kule warczące ponad głowami, nie trafiały w nas, bo choć staliśmy blisko, to przecież o wiele niżej, tak, że wszystkie kule nad naszymi głowami przelatywały. Byliśmy przeto spokojni i uważać dobrze mogliśmy, że wtedy dopiero słychać kul warczenie, lub świstanie, kiedy mijają. Kuli zaś, która trafia w człowieka, całkiem słyszeć nie można.

Cztery kompanie 12-go regimentu zostały na prawie całkiem spalonym przedmieściu Stolzenberg, reszta się cofnęła do Kowala, a nasz do Wonnenberga, gdzieśmy obozem stanęli, i tu dopiero, po 24 godzinach ruchu, gotować mogli. Myślę, iż w przeciągu tych 24 godzin mało który z mojej kompanii miał kawałek chleba w ustach. Byliśmy młodymi żołnierzami i nic nie mieliśmy przy sobie. Nadmieniam to także dla nauki poczynających służbę wojskową, żeby zawsze przy sobie mieć kawałek chleba na ostatnią biedę. Tę naukę każdy pojmie.

Dnia 17-go marca poczęto podkopy (Tranchées) do twierdzy. Pod wieczór wysłano mnie z kompanią, dla asekuracyi oficera inżynierii, Francuza, z 40 saperami. Skoro się ściemniło, saperzy zaczęli roboty.

Nieprzyjaciel w nocy wysyłał z twierdz, Biskupiej i Gradowej Góry, patrole ku naszym czatom. Te usłyszawszy kompanie, zaraz gęsto z ręcznej broni zaczęły strzelać. Wkrótce puszczone dwie jasne kule dla oświecenia miejsca, zkad słychać było kopanie i działa na ten punkt skierowano. Podkop zaczęty był między zwałiskami pogorzałych domów; nim tak głęboko go wykopali, że się w nim schronić można było, został jeden z moich raniony, a jeden saper zabity. Ale przedtem praca tak dalece posunięta była, że gdy zupełnie roz-

widniało i nieprzyjaciel gęściej strzelać zaczął, my już w rowie zakryci leżeć mogliśmy. Kule ryły w ziemi przedpiersia tak, że ją podzrucac ustawicznie trzeba było. W dzień postawiono kosze (gabians), napełniono je ziemią i tym sposobem wzmocniono szaniec. Powinni byli zacząć od postawienia koszów, ale dopiero nad ranem przyniósł je drugi oddział saperów.

Za nami około tysiąc kroków stała pod bronią druga część naszej dywizji w odległości pozadziałowej od twierdzy, żeby nieprzyjaciel nie śmiał wycieczki dla popsucia zaczętego podkopu robić. Dowiedziałem się później, że na dwóch innych miejscach także roboty podkopowe zaczęto.

Nazajutrz druga kompania nasza przymaszerowała dla zluzowania mojej, ale że już był dzień, jak ku nam się zbliżała, przywitano ją po drodze granatami, równie, jak i nas, gdyśmy do obozu pod Wonneberg odchodzili, ale nikogo nie raniono.

Dni następnych wysłano do podkopu wieczorem, jak się ściemniło, i przed świtem, ażeby z twierdzy tak dobrze na cel brać nie mogli.

W obozie pod Wonnebergiem słyszeliśmy strzelanie dzień i noc, jeżeli nie przed nami, to na prawo u Sasów, lub w lewo u Badeńczyków. I ci podkopy robili, ale z Wonneberga widzieć ich nie mogliśmy. Również nie widzieliśmy naszej kompanii pracującej z saperami. Pomiędzy naszym obozem a podkopem na pół drogi, stały na polu zawsze cztery kompanie, które się co 24 godzin luzowały, a kompanie u podkopu co 12 godzin, dla tego, że saperom pomagały w robocie i że tam spać nie było można. Prócz tego codzień cały regiment stawał pod bronią przed świtem i stał z godzinę aż dzień dobry się zrobił. Mimo tych ostrożności, zrobił nieprzyjaciel wycieczkę z Gradowej Góry na Badeńczyków, których z podkopów spłoszył i rozwinął się na Cygańskiej Górze, naprzeciw Gradowej twierdzy. Kilkuset kozaków wpadło na Badeńczyków z podkopu uciekających i nie wiem, ilu ich zabrali. Pokazali się strzelcy konni francuzcy, ale się pomieszali, bo zapewne pierwszy raz kozaków widzieli. Zresztą może tylko mały oddział ich się znajdował. Z Wonnebergu, gdzieśmy pod bronią stali, tylko jedną stronę pagórka Cygańskiego, ale tę dobrze widzieć można było i uważaliśmy, jak dwa szwadrony

saskich dragonów poważnie się posunęły, a kozacy do twierdzy rejterowali. Szasery postąpili byli rozpuszczeni w tyraliery i dla tego kozacy przed nimi nie cofnęli się, ale przed dragonami w linii zaraz uciekli.

Dnia 22-go przybył do nas marszałek Lefebvre, przelustrował i kilka obrotów wykonać kazał. Gdyśmy stanęli w linii, przyjechał ze sztabem swoim przed i pomiędzy rozstawionymi szeregami. Poczem rozkazał na środkowe kompanie każdego batalionu zwinąć kolumny. Cztery kompanie przed nami stojące były poprzednio ściągnięte do swego batalionu, znów je rozwinąć kazał i ruszyć krokiem podwójnym, z nadstawionemi bagnetami. Dalej formowaliśmy czworoboki zwyczajne w trzy szeregi, a na koniec czworoboki pełne, odstawiając w tył po trzy rotę z każdej kompanii, na zakrycie odstępu pomiędzy kompaniami. Zgoła odbyliśmy ruchy wszystkie, które się na wojnie używają i jedynie są potrzebne. Dostyc dobrze mimo błota i śniegu obroty te wykonanemi zostały.

Tegoż dnia przeniósł marszałek z Pruszcza główną kwaterę do Pickendorf. Położenie to więcej środkowe, biorąc linią, która stanowi rzeczywiste oblężenie twierdzy. Forteca cała Gdańsk, złożona z kilku warowni, łatwiejsza jest do oblężenia, niżby na pierwszy rzut oka się wydawało, ponieważ lubo obszerna bardzo, to większa część jej obwodu od Wisły i zalewów Żuławskich w tej porze roku przynajmniej nie jest dostępną. Prócz tego od południa tylko ją zdobywać potrzeba, bo od tej strony leżą obie twierdze, które jej bronią, to jest Góra Biskupia i Gradowa. Choćby się udało dostać z innej strony do miasta, to te dwie twierdze samodzielnie ostać i bronićby się mogły, a w mieście wytrzymać nie byłoby podobnem, bo z nich je można w perzynę obrócić. Nie potrzeba więc całego obwodu zajmować, tylko jego połowę, a podkopy równoległe jedynie od południa posuwać. Skoro Biskupia i Gradowa Góry zostaną wzięte, miasto bronić się nie może. Z drugiej strony Wisły od wschodu, gdzie most komunikacyjny zawsze zbudować potrzeba, pomiędzy Pruszczem a językiem piaskowym, ciągnącym się nad morzem ku Piławie, wypada postawić korpus obserwacyjny. Jeżeli ten jest dość liczny, winien opanować wyspę Holm, utworzoną między Wisłą i kanałem a tym

sposobem przetnie się komunikacją Gdańska z twierdzami nad ujściem Wisły, Weichselmünde i Fahrwasser i zarazem z morzem. To zadanie polecono dywizyi Oudinota, która później przymaszerowała.

Nasza dywizya stała zatem w samym środku linii oblężniczej. Na naszym prawem saska dywizya, na lewym badeńska brygada, a legia północna na lewym zupełnie skrzydle. W Langfur brygada jazdy generała Sokolnickiego trzymała posterunki od zachodu aż do morza. Ta na początku, kiedy jeszcze miasto nie bardzo przez nas ściśnięte było, ścierała się z nieprzyjacielem, który z lewej strony miasta wycieczki robił.

Założone jedna i druga równoległe (paralleles) przed Biskupią i Gradową górami, postępowały tak szybko, że około baterji do dział mocnego kalibru już zaczęto pracować. Sapersy jednak najwięcej w nocy pracowali, ale i w nocy nieprzyjaciel pociski ustawicznie rzucał, zawsze świecącemi kulami oświecając. Także i strzelcy celni podsunęli się aż pod czaty nasze, które oczywiście w nocy niedaleko od nas stały; i skoro im świecąca kula robotników stawiających kosze i nasypujących ziemię oświeciła strzelali, lecz z małym skutkiem.

Dnia 26-go marca, znów na mnie z kompanią przypadła kolej do podkopu. O czwartej z rana już zluzowałem kompanią 12-go regimentu, i ledwieśmy się w rowie umieścili i składać tornistry zaczęli, padł na nas z lewej strony grad kul. Chociaż jeszcze ciemno było, ale od śniegu jaskrawo, spostrzegłem tyralierów bieżących, aby nam z tej strony tył zabrać. Badeńczycy musieli byli bez wystrzału się poddać, lub uciec, tego nie wiem, bo tyralierzy nieprzyjacielscy już kilka set kroków dalej jak przekop badeński prawie już po za nas się posuwali. Porwaliśmy się, a widząc, że za tyralierami kolumna piechoty niemal nas mija, a i wprost ku nam dążą także tyralierzy, cofnęliśmy się z przekopu w bok ku Stolzenbergowi — gdyż dostać się wprost ku naszym kompaniom stojącym w rezerwie, i do których rejterować w przypadku nagłego natarcia mieliśmy rozkaz, już było niepodobnem. Z tyłu już była piechota pruska; — Stolzenberg przedmieście spalone, leżało wyżej nas, na prawo, i tam były w podkopach kompanie 10 i 11 regimentu, do tych tedy przez ogrody rejterowaliśmy się pod kulami karabinowemi ścigających nas tyralierów. Nie

doszedłszy i na pół drogi, zobaczyliśmy, że Stolzenberg już był zajęty przez piechotę nieprzyjacielską, która nas przyjęła rezystywnym ogniem. Kilku tylko nas ranionych zostało, a to z powodu ciemności. Nie można było inaczej tylko spieszenie przez ogrody pomiędzy dwoma ogniami się cofać. Wychodząc z ogrodów, zwróciliśmy się znów w prawo: ciągnąc i podpierając kilku rannych żołnierzy, ruszyliśmy w pole ku naszym czterem kompaniom, które także na nasz ratunek się posunęły. Major Malczewski, który niemi dowodził, ku nam konno podjechał, a za nim kilkunastu tyralierów biegło, żeby nas wspomóc. Wstrzymali tych, co nam już tył zabierali. Dostaliśmy się z majorem do jego czterech kompanii, ale major z konia lepiej widząc (już też widniało), że całe kolumny nieprzyjaciela wycieczkę z miasta robią, rozkazał kompaniom prawo w tył i ku Wonnebergowi rejterować, mnie zaś, ponieważ jeszcze o 100 lub 150 kroków od tych czterech kompanii byłem, za niemi o ile możności tyralierować.

Posunęliśmy się tak kilkaset kroków ku Wonnebergowi, cztery kompanie w kolumnie, a moja rozpuszczona w tyraliery ze 150 kroków za nią, odstrzeliwała się kozakom, których cała chmara wyleciała przed swoją piechotą. Za kozakami spostrzegłem wkrótce rozwijającą się kawaleryą regularną. Wtedy tyralierów strąbić kazałem, a zatrzymawszy przy sobie dziesięciu ludzi, podporucznikowi kazałem z kompanią cofać się razem, sam zaś z tymi kilkoma tyralierami może o 50 kroków za nią pospieszałem, jednak już było za późno. Dwa szwadrony dragonów puściły się w linię. Jeden z nich prosto w nas uderzył i przeleciał. Pomiedzy dwoma końmi przewróciłem się, uderzony w kark.

Straciłem przytomność i nie wiem, jak długo leżałem, anim wiedział, kto ze mnie mundur ściągnął. Gdym przyszedł do siebie, leżałem na ziemi, przedemną i koło mnie było na koniach kilku kozaków i jeden tylko z moich wołyżerów, także już obdarty z płaszcza, ale nie z munduru. Kozak oficer kazał mi wstawać, lecz nie mogłem się na rękę oprzeć, kark i ramiona były sztywne. Podał mi rękę i podniósł, a prostemu kozakowi kazał zesiąść z konia i wsadził mnie na niego. Poprowadził go, nie dając mi trędzli do ręki, przez przedmieście spalone, między Biskupią i Gradową Górą, przez

Stiglitz, aż do miasta. Zaraz za bramą pomógł mi znów kozak zsiąść z konia na ławkę, na której usiadłem i zgrzytałem zębami od zimna, bo byłem rozebrany. Nadjechał pułkownik kozacki, zsiadł z konia, dał mi się napić wódki, również czterem żołnierzom z tych dziesięciu, którzy przy mnie byli, spytał, jaki miałem mundur na sobie, w kwadrans potem mi go oddał z nietkniętą wstążeczką legii honorowej, ale bez krzyża. Krzyż dostałem za potyczkę pod Tczewem; w kilka dni po niej przypiął mi go szef sztabu marszałka Lefebvre, który był pod bramą Tczewa w czasie szturm, kiedyśmy ją brali. Czapka przepała, ale pułkownik podarował mi czapczkę kozacką. Zawsze lepsze to było, jak nie. Już tam zastaliśmy w niewoli porucznika Sokołowskiego z jednej z owych czterech kompanii, który był się przewrócił, jak mi później opowiadał, jednego żołnierza Francuza, czterech z mojej kompanii, oficera od saperów, od artylerji, Francuzów, nareszcie oficera badeńskiego i kilkunastu żołnierzy. Żołnierza Francuza z 2-go regimentu lekkiej piechoty oficerowie pruscy różnej broni otoczyli, i ci, co po francuzku umieli, rozmawiali z nim, bo był gadatliwy; dwaj oficerowie Francuzi nie odpowiadali nie raczyli. Ten to żołnierz z 2-go lekkiego regimentu dał im odpowiedź, która się później rozeszła w świecie. Jeden z oficerów mu mówił, że wy, Francuzi, tylko dla pieniędzy się bijecie. Francuz go się żwawo zapytał: »A wy za co?« — »My za sławę.« -- »Macie racją, zawołał, każdy się bije za to, czego mu brakuje.«

Zaprowadzono nas w miasto do jakiegoś magazynu, a po dwóch dniach nocą do Farwasseru, gdzie nas na okręt szwedzki wsadzono i najprzód do Piławy, potem do Kłajpedy, a nareszcie do Rygi przewieziono.

Sześć tygodni byliśmy na morzu, bardzo lichy żywieni. Chorowaliśmy na skorbut prawie wszyscy. Był tam i Umiński i Malet i z 200 żołnierzy.

Chcieliśmy opanować statek, bo załoga była słaba, ale zaniechaliśmy zamiaru na wiadomość, że wojna się skończy wkrótce.

W Rydze dali nam kwatery na przedmieściu i połowę żołdu. Wszyscy żołnierze i oficerowie, jeden po drugim zapadli na nerwową febrę wskutek złej żywności na morzu.

Ja jeden z ostatnich zachorowałem; kilka dni bez przytomności leżałem; mocne rzucenie się krwi nosem i ustami mnie uratowało.

Stanął pokój w Tylży i wypuszczono nas na wolność. Korzystałem z niej i zaraz wyjechałem do Wilna, gdzie wiedziałem, że zastanę pana Michała Ogińskiego, którego znałem był w Berlinie. Ten mnie przyjął bardzo serdecznie i tyle, ile mi potrzeba było pieniędzy, na podróż do Warszawy pożyczył. Bawiłem u niego dni kilka, okolicę całą zwiedziłem. Zaraz, przyjechawszy, zameldowałem się u gubernatora generała Korsakowa, tego samego, którego Massena pod Zurychem pobił. Korsaków był bardzo przyjemny staruszek, kazał mnie zaprosić do siebie na obiad, sam zaczął o swojej kampanii w Szwajcaryi mówić i gdy spostrzegł, że znam wszystkie szczegóły tej wojny, obszerniej o niej tłómaczył. Uważałem, że panowie Litwini byli z niego kontenci. Poznałem się z kilkoma z nich, osobliwie z panami i paniami Tyzenhauz. Wyjechałem już pocztą, mając pieniądze, i nie zatrzymałem się tylko dzień jeden w Grodnie dla zwiedzenia okolicy i gmachów, które dla nas takie przykre mają wspomnienie.

W Białymstoku już znać było kilkoletni dobry zarząd pruski, wiele domów nowych, na pruski lekki sposób świeżo wybudowanych. Okolica nie tak z natury piękna, jak wileńska i grodzieńska, ale dosyć przyjemna. Od Tykocina i Ostrołki znać było skutki wojny, to jest zniszczenie. Spotykałem też już nasze oddziały.

W Warszawie zatrzymałem się tydzień dla zwiedzenia wszystkiego i oporządzenia się na nowo. Po zameldowaniu się księciu Józefowi i naszym generałom, wyjechałem do domu; zastałem ojca mego zdrowego. Tam doszła mnie nominacya na oficera ordonansu cesarza — wyjechałem więc wkrótce do Paryża.

Pod nazwiskiem oficera ordonansu byliśmy istotnie cesarza adjutantami, ponieważ generałowie, którzy nazwy adjutantów nosili, nigdy adjutanckiej służby nie pełnili, najczęściej korpusami dowodzili, jak Junot, Marmont, Rapp, Savary, Bertrand, Mouton, Lauriston, Druot, Lebrun, Lemarais, Durohnel, Cafarelli. Gdy Marmont został marszałkiem, nastąpił po nim Narbonne, a w roku 1813 Flahout.

Przy cesarzu było ich najczęściej dwóch tylko, czasem jeden, niekiedy żadnego nie było. Ponieważ był wtedy pokój, otrzymałem pozwolenie od cesarza słuchania kursów szkoły politechnicznej. Nająłem więc mieszkanie w pobliżu i chodziłem na kursa, a pomiędzy nimi i geometrii wykreslnej, o którą mnie się był pytał cesarz w Poznaniu, a że nie umiałem wtedy mu odpowiedzieć, zostało mi to na sumieniu. Przy matematyce, wykładano tam inne kursa, których słuchałem, geologii, chemii, botaniki i mechaniki itd.

Szkoła politechniczna w Paryżu była wówczas niezawodnie najlepszą wyższą szkołą wojskową i nauki przygotowawcze wojskowe najdalej posuwała. Duch młodszych i starszych uczniów był tak dobry, że nigdy o innym przedmiocie, tylko o naukach pomiędzy sobą mówili. A do rozmów i tak bardzo mało zostawało czasu, gdyż korepetytorowie już o 6-tej z rana do stancyi przychodzili i dwie godziny przed kursem pierwszym z uczniami powtarzali, a zatem przed szóstą każdy musiał już być gotów. Kursa trwały od 8-ej do 11-tej, potem śniadanie bardzo krótkie, od 12-tej do 5-tej znów kursa, o 5-tej obiad, a od 7-ej do 10-tej korepetytorowie powtarzali z uczniami to, co na kursach wykładano. Czasem nawet do 11-tej, nawet i do 12-tej siedzieli z mniej pojętynymi uczniami. Bardzo oni sumiennie swego obowiązku dopełniali. Podczas śniadania i obiadu najczęściej o wojnie rozmawiano, zastósowując do niej i do wojen dawniejszych wiadomości przygotowawcze, czyli teoretyczne. Każdy był przekonany, że doświadczenie jest potrzebne, ale że doświadczenie bez nauki przygotowawczej jenerała nie wykształci.

Powracałem zawsze na noc z kursów do stancyi mojej u doktora Markowskiego, który jeszcze w ostatnich latach życia politycznego kraju wysłany był z uniwersytetu krakowskiego jako jeden z najlepszych uczni do Paryża dla wydoskonalenia się w naukach lekarskich. Kraj nasz rozebrano, rewolucya francuzka przeszła, a Markowski lat 26 w Paryżu wciąż się uczył i był najlepszym korepetytorem. Namówiłem go przecież, żeby do kraju powrócił, bo każdego powinnością, być, jeżeli może, w ojczyźnie użytecznym. Ale dopiero w roku 1809 się zdecydował. Inny z naszych korepetytorów, Livet, za moją namową zdecydował się także jechać do nas i potem został

profesorem w szkole aplikacyjnej w Warszawie. Jemu to pewno winno wielu z naszych oficerów artylerji i inżynjerji wysokie w matematyce wykształcenie, pewno też niejeden z nich jeszcze z przyjemnością go sobie przypomina.

Nadmienię tu jeszcze, że w szkole politechnicznej paryzkiej, dawali wówczas kursa ludzie, których imiona po całym sławne są świecie: Monge, Foureroi, Faugeas de St. Fond Thenard, Jussieu etc. etc.

Łatwo pojąć, że młodzież tak zatrudniona, żadnej rozrywki lekkomyślnej nie dopuszczając, bo jak już wspomniałem, nawet w godzinach rekreacji o niczem innem mowy nie było, tylko o zastosowaniu nauk do wojny, postępy wielkie czyniła i władze umysłowe rozwijała. W niedziele tylko, i to nie co tydzień, kilku nas do teatru i to zawsze na tragedye chodziło, bo myśli były w poważnym zwrócone kierunku. Nie dziw więc, że uczniowie szkoły politechnicznej w późniejszym życiu swoim znakomite odgrywali role.

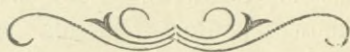
Podczas kilku dni feryi pojechałem do Berville za Fontainebleau do jenerała Kościuszki. Mieszkał u przyjaciela swego pana Zetner, Szwajcara, który miał dom w Berville i przy nim folwarczek, na którym nasz zacny naczelnik rólnictwem się trudnił. Zastałem go w ubiorze wieśniaka francuzkiego, w słomianym kapeluszu, w półfraczku szaraczkowym, miał krótkie spodnie i mocne trzewiki. Zęby wierzchnie już był potracił, co mu wymowę psuło. Był dla mnie łaskaw, opowiadał mi wojny, które odbył, i przypominam sobie, że gdy atak pod Raclawicami na baterją moskiewską mi opisywał, rzucił się, jak gdyby go coś naprzód porwało, gdy wymówił: naprzód wiara! i słomiany kapelusz na głowie tak mocno przycisnął, iż go zgniótł zupełnie. Niezawodnie przeniósłszy się pamięcią w ten dzień, tak teraz kapelusz, jak wtedy czapeczkę krakowską na głowie przycisnął.

Opisywał mi także klacz wilczatą, na której siedział, kiedy przy końcu bitwy pod Maciejowicami, uwiązł w błocie i kozacy rannego dostali. Powiedział mi następnie, te dla mnie pamiętne słowa, tyjące się mego położenia przy cesarzu:

»Dobrze, że służysz i że się uczysz. Ucz się pilnie i gdy będzie wojna, uważaj dobrze na wszystko, przy boku cesarza możesz zbierać sobie wiele wiadomości i doświadczenia. Na-

gromadzaj ich, ile będziesz mógł, by kiedyś stać się użytecznym naszej nieszczęśliwej ojczyźnie. W dobrej do tego jesteś szkole, ale nie myśl, nie podchlebiaj sobie, żeby on (cesarz) Polskę wskrzesił, — on tylko o sobie myśli, żadnej wielkiej narodowości, a tem więcej ducha niepodległości nie cierpi. To jest despota, zaspokojenie ambicyi osobistej, to jedyny cel jego. On nic trwałego nie utworzy, tego jestem pewien. Ale to wszystko tobie młodemu nie przeszkadza, żebyś przy nim nabrał doświadczenia, uczył się strategii. Znakomity on wódz, a chociaż on naszej ojczyzny nie wskrzesi, to oficerów nam może wykształcić wielu, a bez takowych źleby było, choćby Bóg zesłał nam później szczęśliwe okoliczności. Powtarzam, ucz się pilnie, ale on nic dla nas nie zrobi.«

W maju 1808 r. odebrałem rozkaz stawienia się do cesarza w Bajonne. Egzamin ze szkoły politechnicznej zdałem dopiero w powrocie w Niort przed generałem Bertrand, który naówczas był naczelnikiem całej inżynierii. Łagodnie sobie ze mną przy egzaminie postąpił, nie tak ściśle egzaminując, jak rzeczywistych uczniów politechnik, którzy całą szkołę od początku przeszli.



## KAMPANIA HISZPAŃSKA W 1808 ROKU.

---

Stanałem w trzy dni w Bajonnie, właśnie, kiedy król hiszpański, stary Karol IV z królową i księciem Pokoju (Godoy) wyjeżdżali do Valencay, gdzie ich cesarz osadzał. Wyjechał był z swego kraju król Karol po rewolucyi w Aranjuez, która go tronu pozbawiła i koronę na głowę jego syna Ferdynanda włożyła. Cesarz zaprosił także Ferdynanda do Bajonny, nie uznał go królem i do Valencay również odesłał. Później króla Karola z królową i z tytułowaną królową Etruryi usunął z tamtąd na mieszkanie do Włoch. W Valencay<sup>1)</sup> sam Ferdynand pozostał.

Cesarz z cesarzową mieszkali w zamku Marac o ćwierć mili od miasta na drodze do Pampeluny. Nie duży to był dom. Sala dość obszerna w środku, do której się wprost z dworu, bez sieni i przedpokoju, wchodziło, służyła za salon dla nas służbowych oficerów. Z jednej strony były dwa pokoje, w pierwszym mieszkał cesarz, w drugim jadał z cesarzową, z drugiej strony także dwa przez cesarzową zajmowane. Na górze mieszkaly damy honorowe, Lectrices, jedna Włoszka, dwie Irlandki, a naprzeciwko nich garderobiane. Marszałek Berthier, szef sztabu całej armii, marszałek Duroc, Arcybiskup Mechliński (Pradt, kapelan cesarski), minister sekretarz stanu Maret, minister zagranicznych spraw Champagny, adjutanci, jenerałowie Mouton, Durohnel, później jenerał Bertrand i pan Senfft Pil-

---

<sup>1)</sup> W Valencay był pałac księcia Talleyranda. Ten skarżył się cesarzowi, że go utrzymanie króla więcej kosztuje, niżeli mu na to płać, bo ma liczny dwór ze sobą. Gdy cesarz nie bardzo słuchał, rzekł mu Talleyrand: „Mais que dois-je lui dire alors.“ — „Dites lui la messe,“ odrzekł cesarz. Wiadomo, że Talleyrand był księdzem i biskupem przed rewolucją.

sach, poseł saski, którego cesarz bardzo lubił,<sup>1)</sup> (była z nim żona, bardzo miła i rozumna osoba, choć trochę głucha), mieszkali w pobliżu po domkach, należących do kupców z Bajonny.

Przed samym zamkiem stał batalion grenadierów starej gwardyi pod namiotami, tak blisko, że tylko powóz mógł przejechać. Tuż obok stało także 200 Basków z gór Pirenejskich, którzy byli dla cesarza gwardyą honorową utworzyli. Ubiór ich stanowiły spencerki ponsowe, czarne, krótkie spodnie, białe pończochy i trzewiki, na głowie mała czapeczka wełniana, granatowa. Bardzo to piękny, zwawy lud, podobno doskonali strzelcy. O 500 kroków dalej na pampeluńskiej drodze stał szwadron Chevauxlegerów naszych pod dowództwem kapitana Dziewanowskiego. Ile razy cesarz czy konno czy powozem wyjeżdżał, 25-ciu naszych i oficer stanowiło eskortę.

Furyer pałacu przeznaczył mi kwatere u pana Taubin, starego kapitana okrętu, bardzo dobrego człowieka, którego dom stał zaraz na początku miasta przy bramie zwanej hiszpańską. Miarkując, że z Hiszpanami będziemy mieli do czynienia, wzięłem natychmiast nauczyciela języka hiszpańskiego, który codzień do mnie o 6-tej z rana przychodził, o 8-mej bowiem musiałem już być na służbie. O tej godzinie, równie, jak wszyscy oficerowie, adjutanci, wchodziliśmy do pierwszego pokoju cesarza. Dawał on wtedy rozkazy na ten dzień, co trwało 5 lub 10 minut. Potem siedzieliśmy w salonie i każdy zatrudniał się, jak chciał, póki go cesarz wpuścić do siebie nie

<sup>1)</sup> Fragment des Mémoires du Comte de Senfft Pilsach ancien Ministre de Saxe.

L'empereur demeurait au château de Marac à un demi quart de lieue de la porte d'Espagne et Mr. de Champagny occupait une maison voisine. Mr. de Senfft en avait fait arranger une attenante pour son habitation. Un escadron de la garde polonaise, établie au bivouac dans un bois voisin, faisait le service du palais. La legion de la Vistule et le beau regiment des lanciers commandé par le colonel Konopska (sic) furent les premières troupes qu'on vit passer par l'Espagne et les lanciers exécutèrent plusieurs fois leurs brillantes manoeuvres devant la terrasse de Marac. Dès leur arrivée à Bayonne on avait annoncé à Mr. et Mme de Senfft les entrées particulières au palais, ce qui portait l'invitation de passer la soirée chez l'impératrice, ou se réunissaient de neuf heures et demi à minuit les personnes de la cour, qui étaient du voyage. C'étaient les dames du palais Mme de Montmorency et Mme Maret, la belle Mme Garana, lectrice de l'impératrice, le Grand maréchal du palais le Général Ordener premier écuyer de l'impératrice, les Généraux Bertrand et Lebrun fils de l'architrésorier, un jeune officier d'ordonnance polonais, nommé Chlapowski que l'Empereur avait pris en affection et qui jouissait alors à la cour d'une faveur de Chérubin. Les députés polonais (byli to wojewodowie Potocki Stanisław, Biliński i Działyński) furent admis au même privilège pendant leur séjour. (Przypisek wydawców.)

z którymi już byłem robił rekonesans na Ostrołękę. Dowodził tym pułkiem Kuszel, który służył był dawniej w regimencie huzarów Umińskiego i żył z nim w przyjaźni. Był to oficer doświadczony, bardzo surowy dla swych podwładnych. Stał teraz na forpocztach. Objeżdżając te w nocy, zdziwiłem się, widząc, że cały pułk siedział na koniach. Wracam po dwóch godzinach i znów widzę, że stoją. Zajechałem do pułkownika, który pobliski zajmował domek. Nie spał i widać było, że wcale się nie kładł. Rzekł mi, iż mocno cierpi na dawne rany. Na zapytanie, dla czego regiment ciągle na koniach, odpowiedział mi, że każdą noc tak go trzyma, inaczej nie utrzymałby tych młodych żołnierzy. Skarżył się także na oficerów. Mówił, iż teraz, a właśnie dniało, każe konie chędożyć i poić. Dał mi doskonałe śniadanie i gdy dzień się zrobił, spostrzegłem za domem karetę i brykę. Powiedziałem mu zaraz, że jeżeli będę miał zaszczyt posiadać go w brygadzie, proszę go, aby się pozbył tych ekwipaży, lub odesłał je do parku. Tłumaczył się cierpieniem, mówił, że bić się umie i ręczy, że ilekroć będzie miał przednią straż, nikt nas nie najdzie, ale dodawał, że kucharza i dobrze jeść potrzebuje. I ja zawsze mam co jeść, odrzekłem, a żadnej bryczki. Kucharz powinien mieć wszystko na koniach, zkad i ta korzyść, że zawsze wszystko jest na zawołanie, a powozy spóźnić się mogą. W odpowiedzi prosił mnie raz na zawsze na dobrą kuchnię, a ja mu na to: Ja cię proszę raz na zawsze do siebie i będziesz miał zdrowe jedzenie, choć nie wykwentne, jak twoje, ale żądam, abyś ekwipaże odesłał. Gdy zastawiał się pozwoleniem Umińskiego, powiedziałem mu, że musi mi wyraźny na to rozkaz od niego okazać. Nie śmiał jednak Umiński takiego wydać. Rozkazem dziennym tylko dowódcom brygad jeden powóz był dozwolonym. Trzeba oddać sprawiedliwość Umińskiemu, że porządku w swoim korpusie surowo przestrzegał. Na drugi dzień przybył do mnie Kuszel na śniadanie, ale mu się niezawodnie tak jak u siebie nie podobało i nic nie wskórawszy u Umińskiego, postarał się przez swoich zapewne przyjaciół w głównej kwaterze o rozkaz do jen. Umińskiego, aby odesłał Krakusów podlaskich do głównej kwatery.

Wyszło jednak 4 czy 5 dni, zanim ten rozkaz przybył,

a tymczasem jeszcze jedną małą wyprawę zrobiłem z temi Krakusami.

Jednego dnia nad wieczorem przyjechał do mego obozu jen. Umiński i powiedział mi: Mam przez moich szpiegów doniesienie, iż w prawo Rożan przeprawiają się Moskale przez Narew, weź więc tyle, ile sądzisz potrzebnem i pomaszeruj dla rekognoskowania, ile ich przeszło, bo że przeszli, to nie ma wątpliwości.

Wziąłem dwa szwadrony Krakusów i dwa z 3-go strzelców konnych, przytem 60 strzelców pieszych. Wysyłałem był co wieczór jeden pluton z oficerem na patrol, a drugi po północy aż pod Rożany. Pierwszy powracał przed północą, a drugi nad ranem. Więc gdym się teraz w pochód ruszył, pierwszy jeszcze nie był powrócił, ale po godzinnym marszu spotkałem go i jego oficer potwierdził mi wiadomość daną przez Umińskiego, że moskiewska piechota się przeprawia niedaleko miasta. Pluton odesłałem do obozu, ja zaś dalej pomaszero wałem. Było półtorej mili do Rożan. Wychodząc z lasu, postawiłem na brzegu strzelców pieszych, dalej o tysiąc kroków trzy szwadrony, a z jednym 3-go regimentu posunąłem się jeszcze o pięćset kroków. Tu zostawiłem trzy plutony i na prawo i na lewo kilka czat rozstawić kazałem, a jednemu plutonowi wjechać do miasta. Za tym ruszyłem sam z adjutantem. Na ulicy wszystko cicho było, chociaż już dzień cokolwiek poczynało. Na rynku znajdowało się kilku ludzi. Do tych się zbliżyłem i dowiedziałem się, że ze cmentarza nad rzeką widać, jak moskiewska piechota przeprawia się na łądkach. Prawdę mówiąc, widać było bagnety, ale rzeka taki w tem miejscu zakręt tworzyła, że nie można było dostrzedz brzegu z tej strony, tylko wiele żołnierzy w lasku po drugiej stronie pokazywało się.

Wyjechałem z miasta z plutonem i do szwadronu zbliżałem się, gdy na prawo od Rożan kilka strzałów padło, na które moje czaty odstrzeliły. Spostrzegłem kilkunastu huzarów czerwonych ku nam się posuwających, a że mieli białe konie, więc ich dobrze widać było, bo też już dzień coraz się rozjaśniał. Strzelali oni z karabinków. Wtem jeden z moich strzelców konnych na flankierach przylatuje z jednym huzarem obok siebie i powiada, że to Polak i sam do nas prze-

szedł. Zkądżeś rodem? Z Kijowa. Ilu was na tej stronie? 80 huzarów gwardyi i 80 dragonów, którzy zostawili konie na tamtym brzegu. Zagadka bagnetów była więc wytłomaczoną. Ten huzar tak mi się wydawał szczęśliwy, że się do nas dostał, że mu zupełnie uwierzył.

Posłałem po drugi szwadron, a tym jednym, com miał z sobą, na huzarów ruszyłem formując go w front. Gdym się zbliżał kłusem, pokazali mi się pomiędzy wiatrakami dragoni w jednej linii pieszo z bagnetami, a na ich prawem huzary na koniach. O sto kroków dali do nas ognia i zaraz nad rzekę uciekli i dragoni i huzary, ci zsiadli z koni i popuszczali je. Brzegi bowiem tam bardzo spadziste, nie tylko zjechać, ale nawet sprowadzić koni po nich nie można szybko. Nadchodził drugi szwadron. Kazałem połowie ludzi zsiąść z koni i spuścić się nad rzekę. Zabrali tam prawie wszystkich. Oficerowie na łódce umykali na drugą stronę, ale nasi strzelcy dając za nimi ognia, kilku jeszcze powalili. Przeprowadzono mi 70 dragonów i 74 huzarów. Wszystkie 80 koni nasi pochwytali. Trębacz i jeden huzar chcieli konno uciec tą stroną rzeki, ale Stanisław Chłapowski natarł na nich i do poddania się przymusił.

Gdy z drugiej strony stojące pomiędzy drzewami dwa pułki gwardyjskie obaczyły, żeśmy ich towarzyszków zabrali i odprowadzili, poczęli dragoni z karabinków przez rzekę do nas strzelać. Jeden z nich zaczął nad brzegiem chustką białą wywijać na znak, że chce z nami mówić. Wiatr był od nas, więc dobrze nie mogłem słyszeć, co krzyczy. Przybliżyłem się na pół spadzistości, żeby się zasłonić od wiatru, ale że jeszcze strzelali, wołałem, że jeżeli czego chcą odemnie, to niech zakażą strzelania, bo nie myślę tu stać długo. Oficer ten mówił po polsku, ale źle. Krzyknięto, żeby zaprzestać ognia, lecz jeszcze kilka razy w czasie rozmowy naszej strzelano. Pyta on mi się tedy: ileśmy wzięli oficerów? Żadnego, odpowiedziałem, tylko junkra Brevern. Każ generał, rzece, poszukać nad brzegiem, musi tam być inny, albo ranny albo zabity. Jeżeli nie będziecie strzelali, znijdę aż na dół i szukać każę. Jakoż kilku żołnierzy znalazło już nieżywego kapitana od dragonów, którego zapewne ich własna ugodziła kula, bo nasi wcale nie strzelali, gdy się spuszczała i brali do nie-

woli, wyjąwszy tylko do łódki, a tem mniej szarżując poprzednio. Skoro im krzyknąłem, że zdaje się, iż znaleziono kapitana, o którym mówią, zeszło się nad brzeg wielu oficerów i już po francuzku prosiło mię, żebym im oddał ciało kapitana. Chętnie, odpowiedziałem, ale przyślijcie łódkę. Wyprawili na łódce Kozaka. Ten wiosłem robiąc, dosyć blisko przypłynął, ale o 20 kroków od nas przestał robić wiosłem i patrzył się z nieufnością na mnie i na Potworowskiego, który obok mnie stał. Kilka razy powtarzałem: *paidy siuda*, lecz on się nie przybliżał. Krzyknąłem wreszcie po francuzku do oficerów, aby mu kazali po swemu przybić do brzegu, bo inaczej ciała nie włożą. Wrzasnął jakiś starszy na Kozaka, przybił do brzegu, nasi żołnierze położyli w łódkę ciało, jeden z nich poczęstował Kozaka tabaką, poczem poszliśmy na górę pod wiatrak.

Junker Brevern opowiedział mi wtedy, że oni byli wysłani na tę stronę, ażeby się zasadzić i złapać patrol Krakusów, który, jak się dowiedzieli, chodził co wieczór do Rożan i że w. książę Michał przyjechał z Łomży do ich dywizyi lekkiej jazdy i objawił życzenie, że byłby bardzo rad widzieć Krakusów. Wiedziałem, że jen. Nostitz dowodził tą dywizyą, więc się pytałem o niego, bom go dobrze znał z pruskiej służby, był on w regimencie ciężkiej jazdy w Berlinie, kiedy ja u dragonów. I Brevern mi powiedział, że jen. Nostitz pięć minut przed mojem wpadnięciem na nich pod temi wiatrakami przeprowił się tą samą łódką z tej na tamtą stronę. Więc pytałem się o niego oficera po drugiej stronie, ale już generał był odjechał do Gaworowa, do swojej kwatery. Pożegnałem oficerów na tamtym brzegu stojących. Dziękowali mi bardzo. Jeden z nich krzyknął: Do zobaczenia w Warszawie! Nad Dźwiną, każdy u siebie, będzie wszystkim lepiej! — odpowiedziałem.

Krakusom oddałem huzarów i dragonów do odprowadzenia. Kuszel czerwone mundury huzarów kazał im zmienić na krakuskie, a w huzarskie nowe, pasowe, ubrał swoich trębaczy i tak nazajutrz pomaszerował ku Warszawie.

Mieszczanie z Rożan nanieśli nam żywności i furazu. Najadłszy się sami i popasłszy konie, ruszyliśmy napowrót.

Rząd płacił żołnierzom za konia zdobytego po sto złotych. Z tych kilkudziesięciu zabranych siwych huzarskich kazałem

żołnierzom przejeżdżać prawie wszystkie, bom chciał dobrać jednego dla mego adjutanta Potworowskiego. Były ono tłuste, okazałe, ale ani wyciągniętego klusa, ani czwałem chodzić nie chciały. Wyuczone były do krótkiego galopu, którym zwykle na paradach defilowali, ażeby bowiem w galopie równanie utrzymać, trzeba, aby galop był bardzo skróconym. Ładnie to się wydaje na paradzie, ale szkodliwe na wojnie, bo w szarży z bliska, a zatem krótkiej, konie powinny dochodząc być rozpuszczone, ażeby mocno uderzyć. Kupił więc Potworowski od Wincentego Kalksteina konia za 100 dukatów, zamiast białego za 100 złotych.

Gdyśmy powrócili pod Sielkowo, jen. Umiński odebrał na wieczór bilecik od jen. Skrzyneckiego, który, jak wiadomo, otrzymał był po bitwie grochowskiej naczelne dowództwo. Bilet był następującej osnowy: Dziś w nocy przechodzę most. Jeżeli Bóg pobłogosławi naszej broni, następstwa będą ważne. Korpus jenerała ma być w pogotowiu, by mógł puścić się w marsz w chwili, gdy jenerał na to rozkaz odbierzesz.

Po tem krótkiem uwiadomieniu czekaliśmy z napięciem wiadomości dalszych. Nazajutrz przyszła wiadomość z głównej kwatery pod Dębem, że pod Wawrem całą brygadę moskiewską, a tegoż samego dnia pod Dębem 6000 wzięto do niewoli, że ze świtem postąpi jen. Skrzynecki szosą na Siedlce a zarazem przysłano nam rozkaz maszerowania przez Modlin dla tego, że w Żegrzu most zniesiony, potem na Jabłonę, Okuniew, Stanisławów, pod Liw, gdzie mieliśmy tworzyć lewe skrzydło armii.

Natychmiast ruszyliśmy i trzeciego dnia stanęliśmy pod Liwem, gdzieśmy zastali jen. Andrychowicza, który tam z 20 pułkiem piechoty, uzbrojony tylko w pierwszym szeregu karabinami, a w drugich dwóch jeszcze kosami, oddziałem jazdy płockiej i czterema działkami czterofuntowemi natarł był wilią na brygadę piechoty moskiewskiej pod jen. Pinabel i przymusił do cofnięcia się za rzeczkę.

Skoro z drugiej strony zobaczył Pinabel czoło kolumny naszej, znikł z swym oddziałem. Józef Breza, podpułkownik kwatermistrzowstwa, postawił most bardzo szybko. Moja brygada prowadząc konie, przeszła po nim nad wieczorem. Stanęliśmy obozem o ćwierć milki. Rozstawiłem placówki ku



Sokołowu i Mokobudom, a po północy wysłałem małe patrole na wywiady ku obu tym miasteczkom.

Jenerał Umiński, jak wiadomo, miał zawsze wielu szpiegów na swoje rozkazy, bo zapewne dobrze im płacił. Ci zwykle szli z jego karteczką przez mój obóz lub konno się przeprawiali. Kazał on mi te karteczki odbierać. Zatrzymywali tylko znaczki, które oficer starszy na służbie, rewidujący w nocy placówki, musiał znać, ażeby tych ludzi z placówki zaraz do jenerała ekspedyować.

Otóż zaledwie minęło z pół godziny, jak jeden z tych szpiegów, najczęściej jaki chłop lub mieszczanin z okolicy, powrócił był od Sokołowa, aliści Umiński przybył do mnie. Było to po południu, kazał kielznać konie całej brygadzie, a mnie dał następujący rozkaz: Pomaszerujesz do Sokołowa, tam postawiwszy w około czaty, każesz popaść konie, po północy ruszysz do Rogowa o półtorej mili dalej. Mam pewną wiadomość, że w. książę Michał przeprawił się przez Bug pod Nurem z brygadą jazdy gwardyi i że ma się zjechać z marszałkiem Diebitschem niedaleko Siedlec, zapewne w Mordach. Staraj się więc napaść tę brygadę i schwycić w. księcia. Ruszyłem natychmiast.

Było zapewne w tej wiadomości coś wzbudzającego wiarę. Naturalną rzeczą wydawało się, że w. książę będzie chciał iść z gwardyą w pomoc Diebitschowi, który wtenczas był w krytycznem położeniu i dobywał się z błota na Łuków do Siedlec.

Rozkaz odebrałem, a zatem wypełnić go było moim obowiązkiem, ale nie widzę, coby nam pomogło było wzięcie do niewoli w. księcia. Tylko by to ambarasu narobiło. Jabym tak, jak król Fryderyk Wielki, gdy mu doniesiono podczas bitwy, że książę Soubise, dowódzca armii pod Rosbach, wzięty, powiedział: Tem gorzej, puścić go natychmiast. W. książę Michał był jenerałem dowodzącym, ale żadnego doświadczenia nie miał; dla nas lepiej, że taki dowodzi, nie trzeba go brać do niewoli.

Przymaszerowawszy pod Sokołów, kazałem popaść konie, a przez ten czas dowiedziałem się, że kupiec jeden w mieście powrócił tego dnia z ponad Bugu. Ten mię zapewnił, że żadne wojsko przez Bug nie przechodziło. O północy wziąwszy dwóch przewodników na koniach, wymaszerowałem ku Rogowu.

Tam się z pewnością dowiedziałem zaraz w pierwszej wsi od obywatela, że w Rogowie nie ma ani jednego Moskala. Zostawiwszy więc w tej wsi brygadę, z jednym tylko szwadronem puściłem się do Rogowa. W Rogowie zebrałem niewątpliwe wiadomości, że nie tylko żaden Moskal pod Nurem nie przechodził, ale że nawet Kozacy gwardyi, z tamtej strony Bugu stojący, nikogo z tej strony nie przepuszczają i że jeżdżą oficerowie z kilkunastu żołnierzami od Mordów aż do Bugu, naprzeciw Nuru, ale zostają na tej stronie i łódką tylko jeden się puszcza i spotkawszy na połowie rzeki łódkę, która z Nuru na połowę rzeki przy pływa, oddaje i odbiera listy, które zaraz na łódce przekazują, ażeby zaraza cholery, panującej w wojsku Diebitscha, nie dostała się do gwardyi. Wypełniłem tedy rozkaz dotarłszy do Rogowa i powziąwszy tam pewną wiadomość, że w. książę ani myśli się tamtędy przebierać do Diebitscha, powróciłem do brygady a nad ranem do Sokołowa, gdzie zastałem już jen. Umińskiego, który tam po w. księcia przybył.

Powróciliśmy pod Liw. Stałem znów w tym samym obozie. Po północy wysyłałem zawsze dwa patrole, każdy po trzech ludzi, jeden ku Sokołowu, drugi ku Mokobudom.

Od patrolu wysłanego ku Sokołowu raz przybył raniuteczko żołnierz z 3-go strzelców konnych i zameldował mi od podoficera, że im się w lesie poddało 80 saperów z jednym oficerem i że oni idą i już są niedaleko obozu. Wstałem od ognia i poszedłem naprzeciwko tym gościom. Wkrótce zaświeciły bagnety. Na czele szedł młody oficer, za nim saperzy z bronią. Gdy się ku mnie zbliżyli, oficer zaprezentował mi szpadę z pochwą, oddając mi ją tak, jak według przepisu czyni oficer, kiedy idzie do aresztu. Pytam go o nazwisko. Hahn — odpowiada. To pan Kurlandczyk? — mówię do niego po niemiecku. Tak jest — odrzekł i zdawał się kontent, że usłyszał swój język. Jakżeż Pan z tylu ludźmi mogłeś się poddać trzem jeźdźcom? Ja kazałem saperom do nich strzelać, a oni mówili, że to nasi, kilku wyszło z lasu na drogę, wołało ich, żeby się zbliżyli i potem przymusili mnie iść z nimi aż tutaj.

Przybliżam się do saperów w przekonaniu, że to Polacy i pytam kilku, jednego po drugim, z jakiej ty gubernii? I je-

den po drugim odpowiedział: Z petersburskiej, z moskiewskiej i tak dalej, same czysto Wielkomoskale.

Idąc obok oficera przed nimi do obozu, dowiedziałem się od niego, że poprzedniego wieczora był wysłany z Siedlec do lasu dla robienia faszyn i że dziś chciał robotę rozpocząć.

Wmaszerowali do obozu. Kazałem im w kozły postawić broń, którą później oddałem 20-mu regimentowi. Strzelcy konne potraktowali ich, z czego byli bardzo kontenci i nigdy nie usłyszałem tyle złego na cesarza i służbę moskiewską, ile ci saperzy naszym opowiadali. Mieli z sobą różne narzędzia, jakoto: piły, topory etc. Odesłałem ich z temi narzędziami po dwóch godzinach spoczynku na drugą stronę do jen. Umińskiego, który ich memu adjutantowi Potworowskiemu do głównej kwatery odprowadzić kazał.

Było to kilka dni po rozprawie pod Iganiami, która sprawiedliwie tyle zaszczytu zrobiła Prądyńskiemu i Mycielskiemu Michałowi, który pod Domanicami jednym regimentem 2-gim ułanów rozpedził kilka pułków ułanów jazdy moskiewskiej i ósmemu regimentowi naszej piechoty, który bagnetem bez wystrzału wszedł do wsi Iganie, bronionej przez brygadę jegrów, nazwanych w wojnie tureckiej lwami warneńskimi i zabrał do 2000 niewolnika. Nie opisuję tej rozprawy szczegółowo, bo znana z raportów, z kąd i ja też tylko wiem o niej.

Jenerał Umiński znów przez szpiegów swoich dowiedział się tą razą zgodnie z rzeczywistością, że pod Sokołów przy-maszerowało od Siedlec 300 koni i stanęło przy mieście obozem. Rozkazał mi wysłać dwa szwadrony strzelców konnych. Przewodnik na koniu, którego mi dał, chłop z okolicy, przeprowadził nas tak krótką a małą dróżyną przez bór, że zaraz po północy napadliśmy obóz moskiewski tak nagle, że jeden tylko padł strzał pistoletowy i to z budy, w której oficerowie przy latarni w karty grali. Nie mieli czasu wsiąść na koń, wszyscy trzystu zabrani, jedenastu oficerów z majorem, znów Kurlandczykiem. Dopiero po wzięciu do niewoli kielznać konie musieli i pomiędzy naszymi strzelcami maszerować do obozu. Byli oni z terespolskiego pułku, ubrani zupełnie, jak nasi, tylko mieli bure rajtuzy a nasi szaraczkowe, jedyna różnica,

bo kołnierze żółte i konie jak u naszych kasztanowate. Wyszło z obozu dwa szwadrony a powróciło cztery.

Następnej nocy znów jen. Umiński wysłał przez bród pod Wyszkowem dwa szwadrony Krakusów lubelskich, które zabrały cały szwadron ułanów z pułku nazwanego tatarskim, który stał na posterunku przed Mokobudami. Mikołaj Kamiński odpowiadając po moskiewsku Kozakowi na czacie, dojechał do niego, ściągnął z konia i tym sposobem uprzedził zaalarmowanie szwadronu, który jednak bardzo czujnie stał w linii na koniach. Cały został wziętym. Byli to sami Ukraińcy z białymi czapkami i kołnierzami jak nasz 2-gi regiment ułanów. Zaraz też wszyscy do ostatniego wstąpili i jak później się dowiedziałem, bardzo dobrze się bili.

Podczas tej wycieczki stałem w obozie pod Liwem. Nazajutrz raniuteńko oficer na placówce przysłał mi podoficera meldować, że chmara Kozaków pokazuje się od Mokobud i że mu się wydaje, iż za nimi maszeruje kolumna jazdy. Rozkazawszy kielznać konie, ruszyłem do placówki na pagórek, na którym stała nasza czata. Prawie też całkiem się rozwidniało i przekonałem się, że nie tylko jazda w kolumnach po obu stronach drogi, ale że i drogą maszeruje artylerya i piechota. Wysłałem tedy uwiadomić Umińskiego o tem. Szybko powrócił mój oficer od niego z rozkazem przejścia z brygadą przez most napowrót. Gdym wrócił do obozu, już jeden mój regiment, któremu Umiński dał rozkaz wprost, kończył przechodzić most, a 3-ci strzelców zaczynał. Skoro i ten przeszedł, zostawiłem za sobą pluton, ażeby dobrze zrekonoskować, ile Moskali na nas idzie. Myślę, że się nie mylił, gdym osądził, że było ich około 2000 jazdy w dwóch kolumnach, że 6 do 7 tysięcy piechoty i dział ze 20. Pospieszyłem z tą wiadomością do generała na drugą stronę. Stał on już na koniu na pagórku wprost mostu. Tam powiedziałem mu, że zdaje mi się, że 10 tysięcy Moskali idzie. Nie zupełnie zdawał się temu wierzyć i zostawił z tamtej strony mostu w małym okopie, który był kazał jako przedmoście wysypać, 600 ludzi z 20-go piechoty.

Wnet potem ujrzeliśmy, jak pagórki z drugiej strony okrywały się najprzód Kozakami, za nimi jazda formowała się regularnie do frontu, za nią nadjeżdżały działa. Stawają

naprzeciwko nam trzy baterye, które zaraz odprzodkowały i grać zaczęły na nas, ale żeśmy trochę opodał rzeczki stali, obróciły cały prawie ogień na 1-szy regiment strzelców pieszych, który stał nad samym brzegiem. Wkrótce pokazała się i piechota, trzy czoła kolumn, jedna przeszła przed środkową baterią i spuszczała się wprost ku mostowi, druga pomaszerowała dalej ku Węgrowu na naszym lewym, a trzecia się spuszczała ku laskowi na naszym prawym. Za bateriami stanęła w linii znów piechota, a po jej skrzydłach jazda.

Piękny bardzo widok nam się przedstawiał. Pomiędzy nami wiała się błotnista rzeczka w dolinie, z obu stron wznosiły się pagórki; na tamtej stronie jak mówiłem, trzy kolumny po dwa, jak się zdawało bataliony posuwały się wolno ku rzeczce, za nimi na wzgórku i po nad ich głowami do nas strzelające widać było trzy baterye, pozycyjne, jako się pokazało po kulach, za temi linia piechoty, na jej skrzydłach po jednej brygadzie jazdy, a chmara Kozaków uwijających się wszędzie pomiędzy niemi.

Z naszej zaś strony było naprzód w małym przedmoście 600 piechoty, która bardzo skupiona, wiele cierpiała i bez potrzeby tam zostawioną była. Nad samą rzeką z tej strony stał 2-gi batalion 20-go regimentu i 1-szy strzelców pieszych, zaś obok nich 4 działa płockie. Zaraz za niemi już na wzgórku ciągnęła się moja brygada, oba regimenta w jednej linii, a w drugiej o 500 kroków 1-szy pułk ułanów i 1-szy augustowski. Konna bateria Jaszewskiego stała na prawem skrzydle tej brygady.

Baterye moskiewskie strzelały naprzód kulami do nas, ale niezadługo potem zaczęły strzelać kartaczami do piechoty w przedmoście. Ta wiele ludzi straciła, zanim jeszcze kolumna moskiewska do niej doszła. Wszyscy ci 600 ludzi mieli już karabiny, ale zanadto byli na kupie i nie wszyscy odstrzeliwać mogli na kolumnę postępującą na okop. Kolumna ta przecież bardzo wolno postępowała i kilka razy się zatrzymała. Widzieliśmy sztabs-oficera na białym koniu krzyczącego na żołnierzy: Napirot rabiata! Mały walik przedmостowy świeżo wyrzucony, już był poryty kulami i granatami i prawie rozsypany, gdy kolumna się przybliżała. Wnet więc dostała się w środek. Z 600 naszych ludzi, ledwie kilku-

dziesiąt zdążyło przez most uciec do nas. Ale i Moskale w przedmościu utrzymać się długo nie mogli, bo rażeni ogniem piechoty naszej i czterech dział płockich, wkrótce, odprowadziwszy z 400 niewolnika, cofnęli się w lasek, gdzie stała druga ich kolumna. Nie śmieli się przez most do nas puścić, choć kilka tylko dylów nasi cofając się zrzucili. Może też było ich zamiarem tylko nam przejście popsuć, gdyż musieli być zniecierpliwieni naszymi wyprawami na ich posterunki w Sokołowie i Mokobudach. Jenerał Umiński błąd popełnił, zostawiając 600 ludzi z drugiej strony, nie wprowadzając do boju baterii Jaszewskiego. Gdyby ją był nad rzekę, tam, z kąd strzelały małe działa płockie, posunął, byłby może jej ogień kartaczowy wstrzymał kolumnę, która na przedmoście maszerowała.

Jak tylko się Moskale z przedmościa cofnęli. Umiński, rozgniewany, że stracił 500 ludzi, dojechał nad rzekę do 1-go pułku strzelców pieszych i zawołał na ochotników, żeby szli na most położyć znów dyle zrzucone, gdyż chciał przejść i Moskale na drugiej stronie atakować. Wyszło ochotników więcej, jak było potrzeba, ale nieprzyjaciel skierował wszystkie strzały artylerji i piechoty na ludzi kładących dyle na most tak, że się wielu z nich w rzekę przewróciło, a reszta, wyjąwszy dwóch, zrejterowała. Ci dwaj, mimo rześistego ognia piechoty i gradu kul działowych, wciąż dyle kładli, aż jen. Umiński, sam widząc niepodobieństwo wykonania swego zamiaru, zawołał na nich, żeby się cofnęli. Byli to Breański i Alojzy Radoński, naówczas podoficerowie tego pułku. Cudem wyszli nietknięci. Zaraz na oficerów awansowani zostali.

Żeby był Umiński z początku dobrze osądził, że Moskale tylko nam przejścia rzeki chcą zabronić, mógł był cofnąć tych 600 ludzi, kazać zrzucić most i cały korpus o tysiąc kroków od rzeki ustawić. Moskale byliby tylko na nas patrzeli i ani jednego nie bylibyśmy stracili człowieka. Ale on był zniecierpliwiony, że się główna armia tak była w kilku bitwach odznaczyła, a nasz korpus jeszcze nic wielkiego nie zrobił. Chciał więc bić się koniecznie.

Dla tego też po wzięciu przez Moskale przedmościa, gdy po małej przerwie ujrzał, że jazda ich z lewego skrzydła maszeruje z lasku nad rzekę, wysłał brygadę (Miller) 1-szy uła-

nów i pułk augustowski pod dowództwem pułkownika Millera z rozkazem, aby przeszedł przez bród o pół mili ku Wyszkowu i atakował tę jazdę.

Miller przeszedł bród i zostawiwszy przy nim pułk augustowski na przypadek, gdyby od Mokobud nieprzyjaciel chciał mu tył zabrać, sam z 1-szym pułkiem ułanów tylko ruszył naprzeciw pięciu szwadronom moskiewskim, które nad rzeką ku niemu się zbliżały. Z tej strony rzeki mogliśmy widzieć każdego naszego i nieprzyjacielskiego żołnierza. Było ich trzy szwadrony strzelców konnych z niebieskimi wyłogami, a na skrzydłach po jednym szwadronie ułanów białych. Skoro Miller tak się do nich zbliżył, że już kłusem w linii szli ku niemu, tak ostro na nich uderzył, że zaraz ich złamał, pomieszał się z nimi i w lasek aż za piechotę zapędził. Przed piechotą, rzecz oczywista, kazał zatrzeć na zebranie i rejteradę. Cofnął się, przeszedł bród i powrócił do nas, przywożąc ze 150 niewolników. W tej szarży odznaczył się Stanisław Błociszewski, który był adjutantem przy pułkowniku Bukowskim. Tylko dwóch ułanów było rannych od piechoty.

Nazajutrz po tej potyczce, skoro rozedniało, widać było na drugiej stronie rzeki tylko kilku kręcących się ułanów po pagórku. Kazałem pokłaść dyle na most i przeszedłem z jednym plutonem, aby zobaczyć, co się dzieje. Postawiłem czat kilka na tych samych pagórkach, na których poprzednio je stawiałem. Kilku ułanów rejterowało się przed moim plutonem ku Mokobudom, ale ich oficer zatrzymał się, chustką białą wywijając począł, posłałem więc do niego oficera mego plutonu z zapytaniem, czego chce? Odpowiedział mu, że jen. Ugriumów życzy sobie widzieć się z jen. Umińskim. Posłałem z tem podoficera do Umińskiego. W pół godziny wrócił z odpowiedzią, że jen. Ugriumów może z interesem, jaki ma, przysłać do niego oficera, którego mnie polecał przeprowadzić z związanymi oczami, lub też do niego napisać. We dwie godziny potem, gdy już byłem napowrót przeszedł i stałem niedaleko mostu, przyprowadzono mi tegoż samego oficera moskiewskiego. Ten zaraz podał mi przyniesiony z sobą worek, mówiąc, że w nim jest tysiąc dukatów złotem, które prosi, aby jen. Umiński użył na potrzeby rannych i chorych jeńców w Węgrowie. Zatrzymałem oficera a posłałem uwiadomić

Umińskiego, o co rzecz idzie. W odpowiedzi generał dał mi rozkaz, aby przeprowadzono tego oficera do Węgrowa, żeby on sam mógł wręczyć te pieniądze lekarzom moskiewskim. Niepotrzebną była ta pomoc, gdyż jen. Umiński, ustanowiwszy komendantem placu w Węgrowie swego adjutanta, W. Kalksteina, nakazał mu, aby Moskalom na niczem nie brakowało. Oficer przecież tam pojechał i lekarzom pieniądze oddał.

Gdym powracał do obozu i zbliżał się do mostu, usłyszałem niedaleko drogi jęk. Zwróciłem więc konia w stronę, z której mnie dochodził, ale dojechać nie mogłem, bo było trzęsawisko. Zsiadłszy z konia, doszedłem do miejsca i znalazłem grenadyera moskiewskiego. Leżał na wznak. Nie mogłem dojrzeć, gdzie ranny. Skoro mnie ujrzał, słabym głosem wyjęknął: Polak, Polak! Zawołałem na mego ordonansa i trębacza, dawszy innemu konie potrzymać, sami do mnie przyszli. Pytam się: Skądże jesteś? — Z daleka oczeń (bardzo), z nad Syberyi, — rzekł po moskiewsku, — ojciec mój powiadał mi, że jego ojciec był Polak i katolik i mnie nauczył też, jestem katolik, oto, — i ledwo ręką ruszając po piersiach, wydobył szkaplerz, dodając: W naszym Sieło (wieś z kościołem) pop, ale my wszyscy katolicy, bo dziadowie byli żołnierze Kościuszki. — Coraz potem słabszym mówił głosem. Nadeszli ordonans i trębacz. Kazałem im go wiaść, ale skoro go z miejsca podnieśli, skonał.

Jen. Umiński, chcąc sobie wynagrodzić stratę pod Liwem, a zachęcony powodzeniem wypraw nocnych pod Sokołowem i Mokobudami, proponował mi następującą nową wycieczkę nocną. Dowiedział się przez swoich szpiegów, że pod Mordami, a milę od Siedlec, stoją trzy pułki kirysyerów, że tam w obozie mają zawsze rozkulbaczone konie i wcale się nie strzegą, stojąc prawie w tyle swojej armii. Proponował mi więc, abym wybrał z mojej brygady najmocniejsze konie, zostawił dla lekkości mantelzaki, ludzi i oficerów, którychbym przeznaczył na tę wyprawę, a wziął z sobą tylko owsa w torbach i ruszył przez bród pod Wyszkwem, maszerując na Suchożebry tak, żeby przededniem wpaść na obóz pod Mordami, zabrać, co można, poużynawszy od powrozów konie kirysyerskie, rozpędzić je i wracać inną zupełnie drogą, np. na Paprotnią, lub którądy najbezpieczniej osadzę. Od Mórd miałem

ruszać kłusem. Za nami poleciałyby zapewne konie kirysyerskie, więc choćby nas gonili zaraz Moskale, to te konie stanowiłyby naszą ariergardę, a przynajmniej przeszkodę w borach. Gdyby zaś nikt nie gonił, miałem stanąć i popaść moje konie, bo uszłyby już ośm mil, i powrócić na Jarosławy do boru przed Węgrowem i do Liwia. Jenerał obiecywał, że wysłe z Liwia tą drogą aż do spotkania mnie, choćby aż do Paprotni, całą drugą brygadę pod dowództwem Millera, który, jak mu było wiadomem wzniecał we mnie zaufanie, ażeby mię obronić, jeślibym był mocno ścigany.

Już się przygotowywałem do wymarszu, kiedy nad wieczorem przyszedł rozkaz od jen. Skrzyneckiego, ażebyśmy natychmiast się cofali na Stanisławów aż pod Okuniew. Oficer, który z tym rozkazem przybył, powiedział nam, że Diebitsch z całą armią zaszedł prawe skrzydło naszej głównej armii, ale że pod Kuflewem pułkownik Gawroński, który tam stał w przedniej straży w brygadzie Dembińskiego z 4-tym i 5-tym pułkiem ułanów, wstrzymywał dzielnie jego straż przednią i ruch ten dobrze osądziwszy, ostrzegł na czas Skrzyneckiego, który się zaraz cofnął, ażeby nie być oskrzydlonym i postanowił wziąć pozycją pod Dębem Wielkim i tam oczekiwać Diebitscha. Dodał, że armia we wstecznym marszu już była bliską Mińska.

Wymaszerowaliśmy zaraz i przed nocą jeszcze stanęli pod Stanisławowem, gdzieśmy popaśli konie. Jaraczewski miał tylną straż i był tak ścigany przez Kozaków, że dla zyskania odpoczynku kazał zostawić na drodze kilka wozów naładowanych beczkami wódki, ażeby je Kozacy zabrali i zabawili się piciem. Jak przewidywał, tak się stało. Kozacy popili się i dali nam całą noc pokój. Jeszcze nie był dzień zupełny, a już stanęliśmy pod Okuniewem, gdzieśmy dobę całą się zatrzymali.

Nazajutrz, skoro świt, Kozacy zaczęli się uwijać i strzelać z jańczarek do czat naszych.

Okolo 8-mej z rana przybył oficer z Dębego z wiadomością, że Diebitsch nie doszedł do Dębego, ale się cofnął. Oficer ten przywiózł nam rozkaz pochodu naprzód, ale nie do Liwia, tylko od Stanisławowa, bardziej w prawo na Pustelnik do Zimnejwody. Główną kwaterą stanął Skrzynecki w Jędrzejewie, zajął więc pozycją bardziej skupioną.

Ruszyliśmy tedy naprzód, Krakusy lubelskie na czele, spędzili Kozaków i Kamiński, dowódzca 1-go szwadronu, szedł ostro za nimi. Droga tak była szeroka, że szwadron frontem postępował. Gdy uszedł z milę drogi borem od Okuniewa, Kozacy poczęli się zatrzymywać i gęściej strzelać z jańczarek. Trzeba było uderzyć na nich, ale jak tylko szwadron kłusem puścił się, znikli na prawo i lewo w lesie, a odkryli kolumnę jazdy regularnej, która zajmowała całą drogę. Nie można się było namyślać. Szarżuj! — daję rozkaz Kamińskiemu i mógłem to uczynić bezpiecznie, bo za jego szwadronem o 200 kroków maszerowała cała dywizya jazdy naszej. Krakusy wpadły na kolumnę, która ich, stojąc w miejscu, przyjęła, co jest wielkim błędem w jeździe. Pierwszy jej szwadron wystrzelił z Karabinków do Krakusów. Nie zatrzymało to ich wcale. Wpadli i pomieszali się z Moskalami, którzy zaraz pierzchnęli, ale już Krakusy byli pomiędzy nimi i gonili ich półtorej mili aż za Stanisławów. Wzięto do niewoli 85 huzarów (z pułku pawłogradzkiego) a po tej półtoramilowej drodze leżało kilkunastu zabitych.

Wzięli także Krakusy jednego oficera z obciętem uchem, którego zaraz opatrzył nasz chirurg. Reszta oficerów naprzód uciekła. Zapewne lepsze mieli konie.

Popaśliśmy konie pod Stanisławowem. Zapytałem się tego oficera o nazwisko. Odpowiedział mi po francusku, że się zowie Turkil i że jest Finlandczyk. Przy śniadaniu rozgadał się z nami i tak przychylnie nam o różnych stosunkach mówił, żeśmy poznali, iż on Polak. Zapewne raz powiedziawszy inaczej, wstydził się odwoływać, my też jego powody szanowaliśmy i nie nalegaliśmy, aby się do prawdy przyznawał, choć z całej jego mowy niewątpliwie znać było, że nasz rodak.

Przed wieczorem doszliśmy pod Zimnąwodę. We wsi stanął Umiński kwaterą, a moja brygada rozłożyła się na pagórku przed wioską. Rozstawiłem czaty i wysłałem patrole na Grąbków ku Suchy. Oficer z augustowskiego regimentu, Patek, który nad ranem był na rekonesansie, dał znać do obozu, że za nim maszeruje kolumna jazdy, za nią artylerya a na końcu długa kolumna piechoty. Siedliśmy na koń. Jenerał Umiński zaraz przybył i kazał mi wysłać szwadron

z 3-go strzelców w pomoc Patkowi, który się wolno cofał. Za laskiem przed nami słyhać było ogień między jego flankierami a nieprzyjacielskimi. Szwadron 3-go pułku pomaszewował nie drogą, ale w lewo, ażeby ten lasek okrążyć. Właśnie już na tej stronie lasku było mnóstwo Kozaków, którzy zapewne chcieli na Patka uderzyć, gdy ten drogą przez lasek cofać się będzie. Widząc się odkrytymi, wpadło ich kilkaset z przodu i z boków na szwadron 3-go strzelców. Gdy to ujrzał, wysłałem drugi szwadron za pierwszym. Lecz ten pierwszy pod dowództwem rotmistrza Zawadzkiego tak poważnie się stawił Kozakom i cofając się, stawał do frontu, ilekroć zbliżali się Kozacy, że ci nie śmieli nań uderzyć. Tak nie straciwszy ani jednego człowieka, połączył się on z 2-gim szwadronem, a tymczasem Patek przeszedł lasek bez szwanku. Za nim zaraz kilka szwadronów Moskali wyszło z lasku, za temi baterya konna, która na ich prawem się rozwinęła, odprzodkowała i dała do nas kilkanaście razy ognia, ale z tak daleka, że kule ledwie do nas dolatywały. Za baterią stanęły na samym brzegu lasku cztery bataliony piechoty i wkrótce ujrzeliśmy wyjeżdżający z pomiędzy Kozaków liczny sztab na pagórek. Perspektywą dostrzegłem, że kilku oficerów z tego grona także perspektywami na nas się patrzą. Z pół godziny robili swoje spostrzeżenia, a potem naprzód ich piechota, następnie artylerya, za tą konnica przez lasek poczęły się cofać, nareszcie pozostali tylko Kozacy z tej strony lasku. Umiński kazał pułkownikowi Kostko spędzić ich, co w mgnieniu oka się uskutečniło. Tylko z augustowskiego pułku major Tysko został od Kozaka dzidą w twarz draśnięty i był to jedyny w tym dniu ranny.

Wzięto do niewoli kilku Kozaków, którzy powiadali, że sam Diebitsch rekognoskował.

Na odwet wysłał nazajutrz jen. Umiński jen. Tomickiego z moją brygadą na rekonesans pod Suchę, gdzie mówiono, że Moskale okopy sypią. Tam pokazała nam się cała dywizya piechoty a za nią obóz jazdy. Widzieliśmy, jak siadali na koń, wyleciało z tysiąc Kozaków, ale się skończyło na kilkudziesiąt wystrzałach karabinkowych. Cofnęliśmy się pod Zimnąwodę, nie straciwszy ani jednego człowieka. Kozacy nas eskortowali aż do Grąbkowa. Mieliśmy jednak dość czasu

Przyjemnego bardzo doznałem uczucia w Warszawie. Poznałem się ze wszystkimi prawie naszymi oficerami starszymi. Wprawdzie wojsko nasze było jeszcze w formacyi, ale dzielny duch ożywiał wszystko. Znać jednak było we wszystkich regimentach brak oficerów doświadczonych i wielka zachodziła różnica między temi nowemi pułkami, a gwardyą polską i legią Nadwiślańską, które dopiero co w Hiszpanii widziałem i często z niemi przebywałem. Gwardya miała prócz pułkownika Krasieńskiego cały sztab złożony z starych oficerów i na wzór starych regimentów gwardyi wkrótce się wykształciła. Legia Nadwiślańska miała starych oficerów jeszcze z legii włoskiej Dąbrowskiego i nadreńskiej legii Kniaziewiczza. Prawie wszyscy podoficerowie jeszcze w niej byli starzy, więc służba szła spokojnie, poważnie i regularnie. Nie tak było w wojsku Księstwa Warszawskiego. Piechota wprawdzie doskonała. Jazda potrzebowała jeszcze wyrobienia. Ponieważ manewra dotychczasowego regulaminu nie dość szybkie, miał być nowy regulamin wydany. Artylerya miała mało oficerów wykształconych, ale żołnierz dobrze dosyć wyrobiony. Cała armia miała postawę (tenue) bardzo dobrą i duch dobry, żywość, wesołość i zaufanie rokowały najlepszą nadzieję. Zresztą wojska polskiego w Księstwie stało niewiele, bo trzymało garnizony w Gdańsku, Szczecinie, Kiszczynie. Pieniądze wysyłane do tych garnizonów nie wracały do kraju. To też stan finansowy niepokoił ludzi poważnych. Pieniądze na wszystkie potrzeby wychodziły z kraju, bo nie było w nim fabryk ani manufaktur. A jedyny dochód był za zboże, którego sprzedać nie było można.

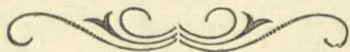
Podatki były nad siły kraju. Urzędników zdolnych mało, bo Prusacy Polaków nie przypuszczali. A liczba zbyt wielka absorbowała dochody.

Zabawiłem w Warszawie tydzień. Nie wyjechałem, aż po odebraniu doniesień z Galicji o wojsku austriackiem, do czego mi dopomógł Roman Sołtyk, oficer z naszej konnej artyleryi, znany mi ze szkoły politechnicznej, z której przed rokiem wyszedł. Miał on ojca w Szydłowcu, należącym naówczas jeszcze do Austrii, więc wiedział, a raczej dowiedział się dobrze, gdzie i ile stoi austriackiego wojska, a między mojami poleceniami było także, abym zebrał w tym względzie jak naj-

dokładniejsze wiadomości. Niemcewicz, który miał krewną mojej matki, dostarczył mi także wielu bardzo dobrych wiadomości i porobił uwagi, z których cesarz skorzystał.

Marszałek Davoust natychmiast z korpusem do Szlązka wymaszerował, a ztamtąd do Bawaryi. Odebrał on od cesarza polecenie oddania wojska polskiego pod komendę jednemu z trzech generałów dywizyi, którego sam wybierze. Wybrał i oddał komendę księciu Józefowi. Wojsko saskie, także zaraz na stopę wojenną postawione, miało rozkaz na końcu kwietnia stanąć w Bawaryi.

Powróciwszy do Paryża, zastałem cesarza w Elisée Bourbon, wybierającego się do Niemiec. I my też wszyscy za nim ruszyliśmy do Strasburga. Naszym ludziom i koniom kazano z Hiszpanii udać się do Strasburga z gwardyą, ale ponieważ jeszcze byli daleko, dano nam każdemu po 10,000 franków i kazano konie kupić. Ja kupiłem sobie jednego na poczcie przed Stutgardem, a drugiego w Ingolstadt. Miałem z sobą mego kamerdynera, a masztalerza przyjąłem z poczty wyrtemberskiej. Dopiero pod Wiedniem doszły nas konie z Hiszpanii. Aż do tego czasu cesarz jeździł na koniach króla wyrtemberskiego.



## WOJNA AUSTRYACKA W 1809 ROKU.

---

Cesarz wyjechał 13-go kwietnia o 4-tej z rana z Paryża. Stał 15-go w Donauwerth. My za nim 16-go. Najutrz główna kwatera była w Ingolstadt. Po drodze uważałem, że linia nad rzeką Lech była świeżo ufortyfikowaną, a więc cesarz, choć miał zapewne nadzieję, że spiesznie postąpi naprzód, zabezpieczał sobie odwrót.

Przybywszy do Ingolstadt, zaraz obszedł stare fortyfikacje miasta i rozpoczął nowe roboty około nich nakazał. Mając w tej chwili słabsze siły od Austrii, niewątpliwie do odpornej się wojny przysposabiał. Gdyśmy chodzili po wałach, usłyszeliśmy mocną kanonadę ku Ratyzbonie. Nad wieczorem samym przybył oficer od marszałka Davousta z doniesieniem, że się rejteruje przed całą armią arcyksięcia Karola, że zostawił w Ratyzbonie 3000 piechoty, które się poddać musiały, ale przez to zyskał dzień marszu, gdyż owe 3000 przez cały dzień zatrzymały nieprzyjaciela, nareszcie, że armia bawarska pobita została i spiesznie się cofa.

O 1-szej w nocy kazał mię cesarz przywołać, a gdym przyszedł, usieść przy stole i odrysować sobie z jego szczegółowej karty na przezroczystym papierze drogę z Ingolstadt do Pfaffenhofen. Potem rozkazał mi wziąć szwadron z regimentu strzelców konnych wyrtembergskich, który przy nim pełnił służbę w braku gwardyi, która dopiero z Hiszpanii maszerowała, i wyruszyć zaraz na rekonesans ku Pfaffenhofen, ostrożnie się przybliżając, bo mówił, że dotychczas Austriacy tam stoją i zapewnie ku Ingolstadt patrole wysyłają, lecz dodał zarazem, że marszałek Massena maszeruje z Augsburga na Pfaffen-

hofen i ma rozkaz atakowania lewego skrzydła austriackiego pod dowództwem arcyksięcia Ludwika tego samego dnia o 8-mej z rana. Z Ingolstadt do Pfaffenhofen jest cztery mil niemieckich.

O 4-tej z rana, jeszcze ciemno było i kiedy już na koniu przed szwadronem siedziałem, przyprowadził mi generał adjutant cesarza Mouton oficera od kirysyjerów bawarskich i sześciu kirysyjerów, mówiąc, że ten zna dobrze kraj, a zatem może mi być użytecznym. W istocie, lubo bardzo młody, stał mi się pomocnym, bo z tej właśnie był okolicy. Gdy mnie zapewnił, że wszystkie dróżki zna, odesłałem przewodnika, który już na koniu siedział. Maszerowaliśmy dobre dwie godziny, nim rozwidniało, a wtedy w pierwszej karczynie kupiłem wódki dla całego szwadronu i widziałem, że za małe pieniądze, bo za dwa napoleony kupiłem sobie (jak mówią) przychyłność żołnierzy. Pomaszerowaliśmy zaraz dalej i doszliśmy na pół drogi do Pfaffenhofen, jak mi Bawar mówił. Przednia straż, złożona z 12 strzelców wyrtembergskich, oficera i dwóch Bawarów, tylko co weszła była do lasku sosnowego, gdyśmy usłyszeli kilka strzałów, a byliśmy o 500 kroków za nią. Natychmiast szwadron rozwinąłem na polu, do plutonu w ariergardzie posłałem, żeby stanął (o 500 kroków za nami maszerował), a sam cwałem do przedniej straży ruszyłem. Dojchawszy, spostrzegłem kilku strzelców konnych francuzkich, którzy rabią moich Wirtembergezyków. Ci krzyczą, ale Francuzi ich nie rozumieją i już dwóch z koni ściągnęli, dwóch ranili w przekonaniu, że to Austriacy. Widzieli bowiem na głowach szyszaki, których nie znali w wojsku francuzkiem, a przytem zmylił ich biały mundur owych kirysyjerów bawarskich, bo nigdy sobie inaczej Austriaków nie wystawiali, jak w białym mundurze, i ztąd też przezwali ich żołnierzami śmietankowymi (soldats de crème). Francuzi poznali mnie po mundurze, ale i oficer ich był już przypadł i zdarzyło się, że to był mój dobry znajomy, młody Lauriston, syn generała adjutanta cesarza, który był paziem cesarskim podczas kampanii hiszpańskiej. Był on wysłany na rekonensas z 80 strzelcami konnymi z 20 pułku z pod Pfaffenhofen, zanim Massena to miasto atakował. Rozporządziłem się tedy w następujący sposób: trzy plutony odesłałem nazad w położenie, które

uważałem za dogodnie, nakazując rotmistrzowi, aby tam czaty na lewo, ku drodze z Ratyzbony do Pfaffenhofen rozstawiwszy, konie popasł, a dla mnie konia żołnierskiego przygotował, abym mógł pospieszyć w powrocie do cesarza. Oficera i pluton zostawiłem w tem miejscu, gdzieśmy spotkali strzelców francuzkich, a że z daleka na prawo kilka chałup spostrzegłem, pozwoliłem mu udać się do nich po żywność dla ludzi i koni, dając mu na to 4 napoleony, aby nie darmo nie brał. Jeżeli bowiem samowolne przez żołnierzy zabieranie żywności i furazu wszędzie i zawsze jest bardzo szkodliwem, to najbardziej na rekonesansach, bo mieszkańcy uciekają ze wsi, nieład w kraju następuje i wszystkie zasoby dla armii niweczy. Nam zawsze, jakie tylko rachunki podawaliśmy, kasyer cesarski wypłacał.

Polecilem temuż oficerowi, żeby czaty dwie postawił, któreby daleko widzieć mogły. Lauriston dał mi świeżego konia i strzelca konnego, który z nim przymaszerował, a zatem znał już drogę ku Pfaffenhofen. Stałem tam spiesznie, właśnie w chwili, gdy marszałek Massena dochodził do miasta z piechotą. Kawalerya już była z drugiej strony miasta. Austriacy wcale go nie bronili. Położenie też nie jest po temu. Cofnęli się na Landshut, gdzie była główna kwatera arcyksięcia Ludwika.

Wiedziałem, że wiadomość o przymaszerowaniu marszałka Masseny do Pfaffenhofen była pożądaną cesarzowi i że na nią w Ingolstadt czeka. Prosiłem więc marszałka o dobrego konia, któregobym przymęczyć mógł. Kazał mi dać jednego ze swoich adjutanckich i ordonansa, ale ten nie mógł podążyć za mną, bo w mniej jak godzinę przebiegłem do plutonu, gdzie na mnie koń dobry wyrtemberski czekał. Ztamtąd ręczo przemknąłem do tych trzech plutonów, z którymi był rotmistrz. Ten do tyła był grzeczny, że mi swego własnego, ze dwóch najlepszego, przygotował. Tym sposobem, gdy tam jadąc cztery godziny z Ingolstadt do Pfaffenhofen spotrzebowałem, w powrocie dwie mi wystarczyło, i skoro stanąłem przed cesarzem, pierwsze jego słowo było: »Cóżś napotkał na drodze, żeś dojechać nie mógł?« Bardzo był kontent z wiadomości, że korpus Masseny jest już w Pfaffenhofen. Była 10-ta z rana, kazał mi spocząć, ale po dwóch godzinach musiałem pospie-

szyć za cesarzem, bo po odebranej wiadomości o Massenie zaraz wyruszył do armii bawarskiej, której dowództwo oddał marszałkowi Lefebvre, gdyż pod komendą następcy tronu bawarskiego, księcia Ludwika, pobitą została przez Austryaków. Skoro przybył do ich obozu, kazał oficerów zebrać, sam jeden z księciem i kilkoma ich generałami, między którymi byli Wrede i Roy, wszedł w koło uformowane i prosił księcia, aby im tłumaczył na niemieckie, co on po francuzku powie. Dosłyszeć nie mogliśmy po za obszernem stojąc kołem, tem mniej, że książe Ludwik dość mocno się jąkał. Potem dowiedzieliśmy się, że im mówił, iż dla nich przybył, aby uwolnić kraj ich od napaści austriackiej, że ich, Bawarów, zaprowadzi do Wiednia, ale potrzeba, żeby się lepiej bili. Po tej mowie kazał całemu obozowi stanąć do broni, uformować kolumny i naprzód maszerować. Słysząc bowiem było o pół mili lub milę na przdzie od Ratzbony dość gęste strzelanie ręcznej broni a niekiedy strzały działowe.

Cesarz z nami wszystkimi ruszył galopem do kawaleryi bawarskiej, którą w pół godziny dogoniliśmy. Było jej sześć regimentów z artyleryą konną, ale widać było po nich demoralizacyą. Artylerya strzelała z bardzo daleka do jazdy austriackiej, która w dwóch kolumnach, poprzedzona licznymi flankierami (najwięcej ułanów), śmiało naprzód postępowała ku Bawarom. Działo się to między Tann i Abensberg. Lecz niebawem z lewej strony od drogi z Ingolstadt ku Ratzbonie dywizya piechoty francuzkiej i brygada kiryssyerów francuzkich dały inny obrot rzeczy. Skoro kawalerya austriacka spostrzegła kiryssyerów francuzkich, zaraz zwinęła flankierów i za piechotę cofać się poczęła. Kiryssyerskie regimenta rozwinęły się kłusem. Pole nie było dla nich korzystne, bo całe krzakami okryte. Kiedy przeto ku Austryakom ruszali, zdawało się, jak gdyby atakowali nie w linii, ale po tyraliersku. Wpadli jednak na piechotę austriacką tak gwałtownie, że ona ani się spodziała, bo zamiast uformować się, mając jazdę za sobą, pomieszała się i to do tego stopnia, że i jazda bawarska, patrząc na atak tak śmiały, nabrała otuchy i ścigać Austryaków odważyła się.

Kiryssyery i Bawary zaczęli niewolników prowadzić obok cesarza najwięcej z piechoty. Cesarz na otwartem polu zsiadł

z konia i ogień kazał rozpaść, już bowiem dzień się kończył. Nadeszła druga dywizya Davousta i kolumnami przemaszerowała tuż przed cesarzem. Żołnierze, poznawszy go, a myśleli, że był jeszcze w Hiszpanii, takie poczęli wznosić wiwaty, jakich jeszcze nie słyszałem. W tejże samej chwili kilkunastu kiryssyerów przeprowadzało z drugiej strony cesarza całą kolumnę niewolników, około 5000 ludzi, pomiędzy nimi wielu oficerów, których nad samym wieczorem zabrano. Dostał się także do niewoli pułkownik sztabu jeneralnego, którego przywiedziono przed cesarza. Cesarz kazał mu usiąść przy sobie i zaczął go wypytywać o stanowisko i siłę korpusów austriackich. Odpowiadał z początku, ale potem rzekł, że nie można żądać, aby oficer sztabu informował nieprzyjaciela. »Nie obawiaj się Pan, rzecze cesarz, wiem i tak wszystko« i zaczął szybko z największą dokładnością wymieniać stanowiska korpusów i pułki, z których się składały. Zdziwiony Austriak, że oficer na forpocztach tak informowany, rzekł: Z kim mam honor? Na to cesarz podniósł się trochę, uchylił kapelusza i odrzekł: »Monsieur Bonaparte.« W czasie tej rozmowy piechota francuzka tak głośne okrzyki wydawała. Piękny to był obraz, z jednej strony piechota francuzka, pełna zaufania i uniesienia na widok cesarza, żwawo naprzód postępująca, z drugiej — kolumna niewolników, z których część jedna, tak się nam przynajmniej zdawało, również huczne krzyczała mu wiwaty.

O 11-tej dopiero, noc bardzo ciemna była, cesarz wsiadł na konia i udał się do pierwszej poblizszej wsi Rohr, w której mu kwaterę przygotowano. Obok chałupy dla niego przeznaczonej, była i dla nas jedna o jednej izbie. Po krótkiej bardzo kolacyi, która zarazem i obiad zastąpiła, położyliśmy się w około izby na dobrych słomianych posłaniach, które furrer pałacu był nam przygotował, ale przy kolacyi oświadczone nam, że tylko dwie godziny mamy do spoczynku. O 3-ciej z rana już cesarz i my wszyscy byliśmy na koniach i w marszu do Landshut.

Arcyksiążę Karól dowodził głównie armią austriacką, ale jak wiadomo, Rada cesarska z Wiednia rozporządzenia przysyłała. Stała więc ta armia według wydanych w Wiedniu rozporządzeń, jakby nieprzyjaciel jeszcze nie miał jej atakować.

Prawe jej skrzydło pod marszałkiem Bellgarde było na północ za Dunajem między Ratzbzoną a Ambergiem, środek pod arcyksięciem Karólem na południe Dunaju i Ratzbony, lewe skrzydło pod arcyksięciem Ludwikiem pod Landshut. Trzy te korpusa mogły liczyć do 160 000 ludzi. Oprócz tej armii, miała Austria 60,000 we Włoszech, 45,000 w Galicyi i oddzielny korpus na granicy saskiej.

Cesarz nie miał na linii więcej jak 100,000, ale po złączeniu się z Masseną miał je razem i tym sposobem, jak zobaczymy, był mocniejszym na każdym punkcie, gdzie atakował.

Od 3-ciej z rana do 8-mej ujechaliśmy cztery mile pomiędzy kolumnami piechoty i jazdy, które maszerowały całą noc po obu stronach drogi, a artylerya środkiem. Właśnie z lasu na płaszczyznę przed Landshutem wyjeżdżał cesarz, kiedy marszałek Massena atakował obóz arcyksięcia Ludwika. Kolumna cesarska pokazała się zatem na prawem austriackim skrzydle. Cesarz zaraz rozwinął dywizyę kirysyeryów regimentami i pierwszemu na piechotę, która ku nam front odwijająca, uderzyć kazał, a jednocześnie bateryi ogień rozpocząć. Aliści już piechota, która również prędko, jak jazda całą noc maszerowała, z lasu wychodziła i zaraz kolumną podwójnym krokiem, w bębny szarżę bijąc, za kirysyeryami dażyła.

Cały obóz arcyksięcia Ludwika przez Landshut rejterować począł. Widzieliśmy ich dobrze, jak się cofali, kawalerya kłusem przez most na rzece Izar naprzód, a później zaraz piechota. Za mostem ulica środkowa miasta idzie pod górę tak, że z daleka widać było całą ulicę napchaną tłumem różnej broni. Przed mostem kirysyery i lekka jazda Masseny zabrała kilka tysięcy niewolnika. Ale gdy przez most jazda się puszczała, wstrzymał ją kartaczowy ogień z góry ulicy i gęste strzały z ręcznej broni z domów po za mostem. Kolumna piechoty, nie zważając na kule przebiegła most, wpadła do miasta i tam mnóstwo jeszcze zabrała Austriaków. Cesarz był tu daleko mocniejszy, niż arcyksiążę Ludwik. Arcyksiążę widział zapewne z miasta wszystkie kolumny francuzkie, z dwóch stron na jego obóz ciągnące. Każdy też żołnierz austriacki mógł widzieć półkole, które w pół godziny lub trzy kwadranse całe ich stanowisko otoczyło. Widok ten wywarł niezawodnie wpływ moralny na wojsko austriackie, wpływ

przed samą bitwą nader zgubny i dla tego też rozprawa ta tak krótko trwała. Zaczęła się o 8-mej z rana, o 11-tej byliśmy w mieście, a wpół do 1-szej już tam śniadanie jedliśmy.

O 1-szej kazał mnie cesarz zawołać i wyprawił do marszałka Davousta, którego zostawił był z dwoma dywizjami piechoty naprzeciw całej armii arcyksięcia Karola, a ten miał przy sobie najmniej 60,000 ludzi. Wykonotowałem sobie drogę z szczegółowej karty cesarskiej i puściłem się zamiast w około gościńcem, w prawo, wprost ku Ekmühl, przed którym, jak mi cesarz mówił, miałem zastać marszałka. Kazał mu powiedzieć, że przed 12-stą w nocy będzie z całą swą armią na drodze ratybońskiej pod Ekmühl.

Cesarz, wysyłając mnie do Davousta, powiedział mi: »O 8-mej z rana wyekspedyowałem z pola adjutanta marszałka Davousta, twego rodaka, ale zdawało mi się po jego minie (à sa mine), że on tak prędko nie dojedzie, ale choćby i dojechał, to dobrze, że marszałkowi opowiesz wzięcie Landshutu i rozsypkę arcyksięcia Ludwika.« W pierwszej wsi, o trzy ćwiercie mili od Landshutu, zajechałem do soltysa, by mi dał przewodnika na bliższą drogę do Ekmühl. Soltys, do którego przy oknie z konia mówiłem, pokazał mi w izbie oficera śpiącego na słomie i mówił, że i ten oficer obstałował przewodnika, ale dopiero na 4-tą godzinę. Wszedłem do izby, obudziłem śpiącego i poznałem w nim F. P., którego to właśnie cesarz był rano wysłał do Davousta. Wezwałem go, żeby ze mną jechał, ale on był rozebrany i odpowiedział, że jeść wprzód musi, bo całą noc jeździł. Gdy więc przewodnik stanął przed domem na koniu, ruszyłem dalej, a jego zostawiłem. Cesarz dobrze z miny osądził. Myślę, że F. P. nigdy nie miał pretensyi do żołnierki. Jedynie z poświęcenia, dość już późno w wieku, żonaty i ojciec dzieciom, przyłączył się był w Warszawie do sztabu Davousta. Umieściłem zaś tu powyższą anegdotę tylko dla tego, aby okazać, jak cesarz jednym wejrzaniem umiał ludzi sądzić, a przynajmniej obrachować ich zdolności wojskowe. Wzrok taki jest jednym z przymiotów naczelnego wodza.

Przewodnik mój był na dobrym koniu. Stałem u marszałka o 5-tej wieczorem. Naglił mnie do tem większego po-

spiechu mocny ogień, który usłyszałem na godzinę przed końcem mej drogi, ale nim przybyłem, ustał zupełnie. Zostałem marszałka stojącego przed bateriami na wzgórku, patrzył na Ekmühl i całą armią austriacką, która go od rana atakowała, a nie mogła spędzić jego dwóch dywizji piechoty z korzystnego położenia, jakie sobie obrał. Powiedział mi, że ilekroć spostrzegł, iż kolumny piechoty podchodzą pod pagórki, na których rozłożył swe siły, to odsyłał w tył konie od dział, żeby żołnierzy przekonać, iż rejterować nie można. Po trzykroć kolumny nieprzyjacielskie podstępowały pod wzgórze, a za każdą razą marszałek przypuściwszy je na pół wystrzału, ogniem kartaczowym i ręcznej broni zatrzymał nacierających w pochodzie, ostatnią zaś razą po danym ogniu ze wszystkich dział, sam puścił się z pierwszą linią piechoty na bagnety, Austriacy nie dotrzymali i dalszych już ataków zaniechali. O sto kroków od baterii leżało aż do samego dołu mnóstwo zabitych Austriaków. Za tę to piękną obronę został Davoust mianowany księciem Ekmühl.

Skoro cesarz pod Landshut obaczył, że piechota już do miasta wchodzi, kazał kawaleryi, lekkiej dywizji i dywizji kiryssyerów ruszyć nie do miasta, ale na drogę do Ratzbony. Za nią pomaszerowała większa część artylerji i piechoty. Ztąd też w godzinę po mojem przybyciu do Davoust, to jest około 6-tej wieczorem, spostrzegliśmy zdala ruch armii austriackiej ku Ratzbonie i słychać było niekiedy strzały działowe na drodze od Landshutu. Arcyksiążę Karol miał zapewne oddziały między Ekmühl i Landshutem, które się spotkały z jazdą francuzką, od Landshut maszerującą. Musiał też już się dowiedzieć o pobiciu brata Ludwika, a zatem mógł łatwo wyrachować, że to główna armia z cesarzem w lewą flankę mu wchodzi. Rozpoczął więc ruch na Ratzbonę, ażeby się połączyć z korpusem marszałka Bellegarde.

Gdy się strzały przybliżyły tak, że około 8-mej wieczorem już można było ogień z dział widzieć, puściłem się (konia napaśli mi ludzie marszałka) do Ekmühl i tam zastałem już kiryssyerów, którzy byli o 11-tej z pod Landshut wyszli. Wciąż więc w marszu byli 24 godzin, również jak cała armia przy cesarzu, bo o 11-tej wieczorem dnia poprzedzającego ruszyli z pod Abensberg, o 8-mej z rana stanęli pod Landshut, a o 11-tej

wieczorem posunęli się już za Ekmühl o dwie mile od Rattyzbony. Niezawodnie wiele koni ustało, ale to, co przyszło, zrobiło takie wrażenie, iż generałowie austriacy przytomność stracili. Piechota tuż za jazdą zdążyła i nawet nie tyle, ile jazda zmęczoną się być wydawała.

Cesarz także przed 12-stą przybył do Ergolzbach, resztę nocy przespaliśmy, a o 6-tej z rana ruszyliśmy na Rattyzbone. Cesarz jechał zaraz za pierwszym regimentem strzelców konnych. O 8-mej już nam się ukazały wieże Rattyzbony. Po wszystkich wsiach zostawiali Austriacy po trosze piechoty. Mając samą kawaleryą, nie mogliśmy więc przez wsie maszerować, ale obchodziliśmy je po polach. Przed sobą widzieliśmy tylko flankierów, huzarów i ułanów arcyksięcia Karola z czerwonymi czapkami. Oddziały te piechoty austriackiej, widząc, że wsie obchodzimy, rejtererowały się spieszenie za swą jazdą. Dopiero o pół mili od Rattyzbony położenie otwarte i wyższe, jak dolina, w której miasto leży, odkryło nam za ostatnią dość długą wioską przed samem miastem masę jazdy nieprzyjacielskiej, a w pierwszej linii ułanów. Cesarz jechał po wzgórk, ale dość blisko wsi, z której ogrodów padło kilkanaście ku nam strzałów. Za cesarzem maszerował szwadron strzelców konnych liniowych (bo gwardya była jeszcze daleko z tyłu). Cesarz kazał mi wziąć ten szwadron i wpaść do wsi. Strzelcy mimo strzałów piechoty wpadli cwałem, a potem zsiadając z koni, nacierali; kilkaset Austriaków poddało się, a byli oni z pułku piechoty arcyksięcia Karola. Między jeńcami znajdował się oficer Ignacy Ledochowski. Gdy strzelcy prowadzili niewolników ze wsi, cesarz spostrzegł Ledochowskiego, który idąc na samym przedzie, uderzał nadobną młodzieńczą postawą, miał piękny biały mundur z błękitnym kołnierzem, a szyszak złocisty na głowie, wyższy od żołnierskich. Cesarz kazał go przed siebie przyprowadzić i spytał, jak się nazywa. Zmiarkowawszy po nazwisku, że Polak z Galicyi, rzekł do niego: »I na cóż służysz zaborcom twego kraju?« Wymówiwszy to, uderzył konia i ruszył galopem. Ledochowski stał tak blisko, że koniec cesarskiego biczka trafił go w szyszak i myśląc, że cesarz rozmyślnie chciał go uderzyć, tak się czuł obrażonym, iż mało z żalu się nie rozplakał. Nie byłby zważał

na to, gdyby był wiedział tak, jak my, że cesarz nigdy ostroga ani łydką konia w galop nie wprowadzał, ale biczkiem zacinał. Nie mogłem mu na razie wyperswadować, że cesarz nie miał i nie mógł mieć zamiaru uderzenia go.

Nadchodziła dywizya kiryssyerów, a na jej czele brygada karabinierów. Tę cesarz zaraz rozwinął, bo spostrzegł, że jazda austriacka, w kolumnie przed miastem stojąca, poczyniała naprzód ku nam się posuwać. Wnet regiment ułanów w sześć szwadronów zbliżył się kłusem na 200 kroków od karabinierów, cwałem atak przypuścił i wpadł istotnie aż na ich linię, ale rozbić jej nie zdołał, bo drugi pułk tuż za pierwszym postępował, a za nim cała dywizya kiryssyerów. Wielu karabinierów widziałem rannych lancami, ale i ułanów kilkunastu spadło z koni. Przeprowadzono między innymi podoficera, bardzo pięknego człowieka. Karabinier ciął go tak, że pomiędzy uchem a okiem rana aż do szczęki się ciągnęła, krew po zielonym mundurze ciekła aż na ziemię, a przecież czapka mu nie spadła, siedziała na głowie i to na bakier. Cesarz, widząc, że ułany austriackie są Polacy, kazał mi go się zapytać, czy nie wie, że on Polskę chce odebrać tym, co ją rozszarpali i nam powrócić? Odpowiedział śmiało: »Wiem to i gdyby do naszego regimentu polski oficer przyjechał, cały poszedłby za nim, ale w chwili, kiedy każą iść do szarży, trzeba dobrze iść, żeby nie powiedziano, że się Polacy źle biją.«

Po tej szarży cała kawalerya austriacka zrejterowała się do miasta i za miasto, nawet szarża ułanów miała niewątpliwie na celu zakryć odwrót całej jazdy. Cesarz zbliżył się do miasta, stanął na wzgórku, z kąd dobrze widać było i patrzył lunetą. Po ogrodach na przedmieściu trzymali się jeszcze strzelcy piesi austriaccy i strzelali. Kula trafiła w nogę cesarza. Zsiadł z konia, zdjęto mu but, Iwan, chirurg jego przyboczny, przyłożył mu plaster na palec, który od uderzenia kuli był czarny, obwinął go, a w bucie wyrznął dziurę, żeby go nie cisnął. Poczem cesarz wsiadł zaraz na konia i galopem ruszył do wojska, które kazał być regimentami uformować i każdemu oświadczyć, iż oficerowie mają mu wymienić najwaleczniejszego z pomiędzy siebie w każdym pułku. Oficerowie więc stali już na czele każdego regimentu i przedstawiali

cesarzowi tego, na którego padł ich wybór, a cesarz mianował go baronem i przeznaczał dotacye. Mnie i kilku oficerów ordonansu także baronami na tem polu mianował i po 4000 fr. dochodu na dotacye przeznaczył.

Ratyzbona (Regensburg) ma stare wały, na których stała piechota austriacka, ale ledwo baterye nadeszły i kilkanaście razy dały ognia, zaraz nasza piechota rzuciła się do miasta i kilka tysięcy Austriaków zabrała. Armia ich cała już była za Dunajem, ale tak spieszenie się rejterowała, że mostu nie zniszczyła, może też arcyksiążę Karol niszczyć go nie kazał dla tego, że Dunaj tu nie jest szeroki i że łatwoby nam było inny most postawić. Tegoż samego wieczora korpus Davousta most przeszedł i za armią austriacką pomaszerował. Cesarz wjechał do miasta. Cały dzień staliśmy w niem. Wojsko bowiem potrzebowało spoczynku po trzech dniach i nocach gwałtownego pochodu. Musiało wiele ludzi pozostać w tyle wskutek zmęczenia.

Po dniówce ruszyliśmy nazad do Landshutu. Korpus marszałka Lannes już był dnia poprzedniego wymaszerował za szczątkami arcyksięcia Ludwika i zabrał mu cały ekwipaż pontonów, który, jak niewolnicy powiadali, był przeznaczony do przeprawy przez Ren. Przesliśmy Izarę a In pod Braunau i stanęliśmy w Wels 3-go maja.

Pod Wels Austriacy drewniany most spalili. Byłem nad rzeką przytomnym, gdy generał Bertrand sam budową nowego kierował i dziwiłem się, z jaką szybkością wystawił go, nie mając pontonów, których w tej wojnie armia francuzka nie wozila z sobą, a zabrane arcyks. Ludwikowi nie poszły były za nami. Rzucanie mostu na rzece w kraju, gdzie znajduje się wiele zabudowań drewnianych, jest bardzo łatwe. Naprzód na małej łódce przewiozło się kilku saperów i rozciągnęło linę od brzegu do brzegu, poczem do tej liny przywiązywano łódki i różne drzewa. Łódki wyższe obciążano ceglami, kamieniami, tak równą powierzchnią tworzyły i zaraz na to kładziono dyle i tarcice. Gdy nie znalazło się tyle łódek, aby wystarczyły aż do drugiego brzegu, pozbijano tratwy z drzewa wziętego z budynków za miastem i tak w przeciągu sześciu godzin stanął most, po którym jazda i artylerya a tem łatwiej piechota przechodzić poczęła.

Cesarz wkrótce po pierwszych oddziałach wojska przejechał most i udał się małą drogą do Ebersberg, dokąd przybyliśmy w nocy. Już Ebersberg był szturmem wzięty przez dywizyą Claparede z korpusu Masseny. Austriacy bronili się mocno w mieście. Wiele bardzo leżało trupów francuzkich przed mostem i na moście, który dotyka samej bramy. Nieprzyjaciel jednak nie zdążył wysadzić mostu. Po zaciętej walce Francuzi weszli do miasta i mnóstwo Austryaków nakłuli tak, iż ulice pełne ich trupów były. Dywizyą Claparede składały regimenta korsykańskie, które straciwszy wiele, nim się do miasta dobiły, szkaradnie potem za to się mściły.

Cesarz z nami dopiero nazajutrz do miasta wjechał. Zdawało mi się, iż nawet na nim widok takiej rzezi wrażenie zrobił. Nocowaliśmy pod miastem. Cesarzowi budkę z czapraków opięto, a my na ziemi pokładliśmy się. Ja, leżąc nad rowkiem, zanim zasnąłem, usłyszałem zaraz za moją głową jęczenia i słowa po polsku: Jezus, Marya, Józef! Wstałem natychmiast i obaczyłem żołnierza austriackiego, który leżał wyciągnięty, ale już mi nie mógł odpowiedzieć, jeszcze wzdychał, lecz już był bez przytomności. Wojna zawsze połączoną jest z okropnościami, a my wystawieni bywamy na najdotkliwsze, bo wszędzie przeciw własnej krwi bić się musimy.

Cesarz zaraz po przejechaniu przez miasto Ebersberg powrócił nazad i o dwie mile ztamtąd do Enns przeniósł główną kwaterę.

W tylnej straży austriackiej od Ratzbony i Landshutu byli wciąż ułani. Cesarz kazał jednemu szwadronowi gwardyi polskiej przybyć, podwajając marsze. Właśnie pod Enns przybył ten szwadron pod dowództwem podpułkownika Łubieńskiego. Wysłano go do przedniej straży z rozkazem, aby po kilku chevauleżerów z awangardą i na czaty jeździło. Ilekroć ułani ich spostrzegli, przechodzili do nas po jednym, a nawet po kilku razem. Po kilku jednak dniach Austriacy ściągnęli pułk ułanów i tylną straż dali huzarom.

Marszałek Massena pomaszerował był z pod Ratzbony na Scharding nad Dunajem. Kazał zaraz atakować i wziąć Ebersberg dla tego, że zapewne nie wiedział, iż cesarz pod Wels przeprawi się i z drugiej strony przybędzie. Musiał się z cesarzem niedostatecznie skomunikować, bo inaczej nie byłby

atakował 4-go maja, wiedząc, że cesarz z korpusem przyjdzie na wieczór z drugiej strony. Austriacy byliby się zrejterowali, albo byliby wzięci. Most pod Enns zniósł nieprzyjaciel, ale 5-go już nowy postawiono. Znosić mosty w własnym kraju, jest niedorzecznością, bo odbudowanie prawie nie zabiera czasu wojsku postępującemu naprzód, zwłaszcza francuzkiemu, gdyż saperzy są tak dokładni i wprawni, że podczas spoczynku, który i tak wojsku potrzebny, zdołają postawić nowy most z łatwością, ale z niemałą szkodą dla mieszkańców, bo zawsze do tego kilka budynków rozbiorą.

Cesarz, który jeszcze w drodze z Wels do Ebersberg o wzięciu tego miasta się dowiedział, zaraz posłał rozkaz w tył do korpusu marszałka Lannes, ażeby już nie za nim, ale z Wels na Steyer maszerował. Korpus ten połączył się z nami pod Amstetten, gdzie kilka szarzy kawalerya nasza przeciw nieprzyjacielskiej wykonała. Byłem przy pułkowniku Aldobrandini, którego dobrze znałem. Miał regiment kiryssyerów, który się po szarzy pomieszał z huzarami węgierskimi, i dziwno mi było, gdym po zejściu Węgrów z placu ujrzał, jak daleko ich więcej zabitych leżało, niż Francuzów. Pochodziło to jedynie ztąd, że Węgry rąbią, a Francuzi żgają. Nie uważałem, żeby który kiryssyer był śmiertelnie rannym od szabli. Kilkunastu zginęło od strzałów działowych. Węgrów ze stu wzięto do niewoli.

8-go główna kwatery była w Mölk, w dużym klasztorze Benedyktynów, ślicznie położonym, — 9-go w St. Pölten, zkad w nocy cesarz wysłał mię z szwadronem strzelców konnych z rozkazem, abym małemi drózkami w prawo głównego gościńca przybliżył się do Wiednia i wynalazł kogo, coby był w mieście dnia tegoż, lub miał pewne z miasta wiadomości. Przemaszerowałem przez sześć wiosek ładnie zabudowanych. Wszędzie mieszkańcy spali. W jednej jasność w kilku domach spostrzegłem i mundury białe austriackie, ale skoro tylko pierwsi strzelcy się ukazali, światło znikło i cicho się zrobiło. Zapewne byli to marodery, którzy się pochowali. Przemaszerowałem spokojnie dalej, chociaż kapitan strzelców miał ochotę zabrać tych Austriaków, lecz odmówiłem mu tej uciechy, bo to byłoby mnie wstrzymało, a inne miałem zadanie. Odpowiedziałem mu, że gdy będziemy wracali, lepiej ich

rozpoznamy. Kazałem jednak oficerowi dowodzącemu przednią mą strażą, z 12-stu ludzi złożoną, aby w każdej niemal wsi obudził mieszkańców w jednym z okazalszych domów, tak iż maszerując z szwadronem o dwieście kroków za przednią strażą, nie potrzebowalem długo czekać i mogłem rozmawiać z owymi mieszkańcami cały czas, aż szwadron nie przeszedł i póki się tylna straż nie zbliżyła, poczem znów szwadron doganiałem z ordynanssem i trębaczem. Dopiero w szóstej wsi udało mi się znaleźć księdza, który był z Wiednia poprzedniego wieczora wrócił. Odpowiedział mi on, że w Wiedniu komenderuje arcyksiąże Maksymilian i że ma 12 batalionów piechoty. Nie wiedział, którądy arcyksiąże Ludwik zrejterował się. Wiadomem już jednak cesarzowi było, że on przeszedł Dunaj pod Krems zapewne dla połączenia się z arcyksięciem Karolem.

Powróciłem do St. Poelten około 9-tej, a szwadron dwie godziny później.

W St. Poelten przemieniłem był konia. Zdążyłem przeto za cesarzem, który jadąc cztery mile prawie wciąż galopem, dotarł aż pod Schoenbrunn, gdzie się nie zatrzymał, ale gnał dalej i podjechał aż pod zewnętrzne okopy przedmieścia zwanego Wiedeń. Tutaj ukazał mi się widok trudny do uwierzenia, i żebym nie był widział memi oczyma i na własne słyszał uszy, możebym i sam nie uwierzył. Na wałach nie było tłumów, ale jednak stało bardzo wielu mieszkańców przedmieścia, porządnie ubranych. Cesarz podjechał na sam glacy, tak, że tylko rów 10-cio prętowy przedzielał go od tych ludzi. Oni poznawszy cesarza, bo już był w Wiedniu w 1805 roku, poczęli wszyscy zdejmować kapelusze, co rzecz może naturalna, ale nadto wiwaty wznosić, co mi się mniej godnem i potrzebnem wydało. Nie mogłem sobie tego wytłomaczyć inaczej, tylko z jednej strony obojętnością ludności wielkiego miasta, a szczególnie Wiedeńczykom właściwą, z drugiej zaś urokiem, który człowiek taki jak cesarz, na wszystkich wywierać musiał. Gdy zadziwienie moje wynurzałem przed oficerami francuzkimi, zapewniali mię oni, iż w Berlinie w 1806 roku to samo przy Brandenburgskiej bramie widzieli i słyszeli.

Cesarz opuścił był gościniec i potem w lewo skrzył pod okop przedmieścia. Jechał stępo przez jakie pół godziny aż do rogatek i niekiedy na odgłos wiwatów zdejmował kapelusz,

tak jak gdyby objeżdżał Paryż w około. Szwadronowi, który za nim przymaszerował dwie mile od St. Poelten, kazał pozostać w tyle i tylko pikietą 25-ciu szła za nim, i to w odległości 200-stu kroków. Dopiero przy rogatce zwrócił konia i ku Schoenbrunn wolno jechał. Do mnie się obrócił i kazał mi pospieszyć do pałacu i położyć się, mówiąc: Już tam dla ciebie będzie łóżko gotowe, tyleś nocy na koniu przepędził, teraz u cesarza Franciszka rozłóż się wygodnie, jutro znowu jeździć będziesz (*mettez — vous à l'aise, vous recommencerez à courir demain*).

Jadąc do Schoenbrunn prosto na zamek, spotkałem czoło kolumny grenadierów i woltżerów połączonych Oudinota, którzy już się byli ubrali *en grande tenue*, z piórami na kołpakach, do wnijscia do Wiednia. W pałacu zastałem furiarów cesarskich. Jeden z nich pokazał mi kilka pokoi na górze dla nas przeznaczonych, w każdym były po dwa łóżka.

Lokaj cesarski przyniósł mi dużego ananasa, których mnóstwo w ogrodzie, jak mi mówił, znajdowało się, butelkę wina, chleb i szynkę. Rozebrałem się i zasnąłem smacznie.

W tym samym ze mną pokoju stanął kolega mój Talhouet, o siódmej obudził mię do obiadu, ale spać potem nie przyszedł, bo go cesarz wysłał do Oudinota, który dał znać, że przeszedł przedmieście, ale z wałów samego miasta Austriacy dali z dział ognia, i że się zdaje jakoby miasta bronić chcieli. Cesarz więc kazał zacząć w nocy podkop pod koszarami gwardyi węgierskiej, i posłał baterię pozycyjną z granatników złożoną. Zapalono w kilku miejscach miasto, ale że go obrócić w perzynę nie chciał, posłał nazajutrz dywizyę Molitora, aby obeszła miasto w prawo i stanęła pod Ebersdorf, dokąd 14-go z rana sam z nami przybył, i na łódkach znalezionych przeprowił na lewo od tej wsi 200-stu woltżerów z Talhouetem w narożnik Prateru. Pourtales, adjutant Berthiera, przepłynął najprzód z kilkoma woltżerami tę odnogę Dunaju, która miasto od Prateru przedziela. Działo się to nad wieczorem. Arcyksiążę Maksymilian rozumiejąc zapewne, że cała armia francuzka tam się przeprowia, opuścił Wiedeń raniutęko z całą załogą. Wojsko nasze weszło do miasta 15-go, cesarz powrócił już wprzód do Schoenbrunn.

Tegoż dnia odebrał cesarz wiadomość, że jen. Chasteller z dywizją rezerwową i landwerą zbliża się od Styryi i Węgier. Wysłał więc szwadron gwardyi polskiej pod dowództwem podpułkownika Łubieńskiego do Neustadt z rozkazem, aby obrał sobie w okolicy tego miasta stanowisko, z któregoby przez emisaryaszów i patrole mógł się dowiadywać o wszystkich poruszeniach Chastellera. Polecił mu zdawać sobie codziennie raporta przez rozstawione posyłki, mnie zaś kazał te raporta odbierać, czytać i siebie uwiadamiać, jeśliby się Chasteller zbliżał, lub zaszło co ważnego.

18-go odebrałem raport, że Chasteller się cofnął na południe i połączył z arcyksięciem Janem, który się rejterował z Lombardyi przed vicekrólem włoskim Eugeniuszem Beauharnais, postępującym od Udiny.

Dziwnem może się wydawać, że cesarz wysłał tylko szwadron jeden ku stronie, gdzie podług odebranej wiadomości cała dywizya austriacka krążyła, ale cesarzowi chodziło tylko o pewne doniesienia o ruchach Chastellera.

Mógł się w tym względzie doskonale spuścić na podpułkownika Łubieńskiego, którego znał i cenił zdolności.

Cesarz zawsze wszystkie siły lubił na jednym punkcie trzymać, wtedy osobiwie kiedy na walne zanosilo się rozprawy. Wiedział dobrze, że jak się główna bitwa poszczęści, boczne sprawy upadają przez to samo. Nadto w tym przypadku bezpiecznie mógł przypuścić, że się Chasteller z jedną dywizją nie przybliży, kiedy w okolicy Wiednia stało do 80,000 Francuzów i właśnie część gwardyi już przybyłej z Hiszpanii rozłożyła się obozem na południe miasta. Cała armia przechodziła liczbę 80,000, ale korpus Davousta był jeszcze w tyle nad Dunajem, obserwując marsz arcyksięcia Karola. Sasi pod Bernadottem jeszcze ciągnęli przez północną Bawaryę, a Bawary stały pod Lefebvrem w Tyrolu, gdzie powstanie wybuchło.

Nie było więc jak 80,000 około Wiednia, a więcej jak drugie 80,000 różnych korpusów w innych stronach. Także cesarz nie chciał Chastellera odstraszać posyłając większą siłę przeciw niemu, bo był rad, że się w tych stronach napróżno kręcił. Wolał, że się trzymał tu, gdzie nic dokazać nie mógł, jak gdyby szedł wzmocnić arcyksięcia Jana, który tak poparty, mógłby tem skuteczniej wstrzymywać postępy armii włoskiej.

Chodziło zaś cesarzowi zapewne o to, aby jak najprędzej z tą armią skomunikować się, gdyż armia arcyksięcia Jana, choć się zbliżała, dalszą miała drogę przez Węgry do Moraw dla otworzenia związku z arcyksięciem Karolem, niż vicekról włoski, który idąc z Udiny ku Węgrom zbliżał się tem samem do głównej armii cesarza.

Tego samego dnia (18-go) wysłał mnie cesarz do Ebersdorf obejrzeć ekwipaż Pontonów, który tam w dobrym zastąpieniu stanie i stósowny zrobiłem raport. Cesarz przybywszy na wieczór, dwie kompanie wołyżerów przeprowadził na wyspę Lobau. 19-go cała dywizya Molitor już most przechodziła. Wkrótce stanął most także na drugiej odnodze Dunaju; 20-go już trzy korpusa na wyspie Lobau były.

Tegoż dnia z południa stanęły dwa mosty na ostatniej odnodze Dunaju pod osłoną baterji ciężkich dział, które nad brzegami usypano. Odnoga ta jest mniej szeroka. Około 4-tej przeszła ją cała dywizya lekkiej jazdy generała Lasalle, z którym cesarz mnie wysłał. Gdyśmy wychodzili z lasku, który przy samym leży Dunaju, austriackie działa zaczęły puszczać na nas granaty, co jednak nie przeszkodziło dywizji z 5-ciu regimentów złożonej do uformowania się we dwie linie na płaszczyźnie za Aspern i Esling. Około 7-mej wieczorem po mocnej kanonadzie puścili na nas Austriacy ostry atak kawaleryi. Huzary zaatakowali z przodu pierwszą brygadę (Piret) składającą się z 8-go regimentu huzarów i 16-go strzelców konnych, bardzo gwałtownie, a z lewej strony pędził na nas pułk ułanów. Dopiero gdy huzary były o 200 lub 250 kroków od nas i cwałem z wielkim krzykiem się puścili, ruszył generał Lasalle naprzód stępo, a wkrótce klusem i galopem — tak, że w całym pędzie zderzył się z huzarami. Ułanów przyjął regiment drugiej linii zmieniając front na lewo. Pomieszali się wszyscy jak groch z kapusta. Już też troszkę ciemniało. Mięszanina, hałas, krzyki trwały z godzinę. Działa już wprzód ustały.

Nareszcie austriacka jazda z placu ustąpiła, a dywizya Lasalle w dwie linie znów się uformowała, ale w kilkaset kroków w tył położenia, które przed szarżą zajmowała. Straciła zatem, jak mówią, »terrain.« Z dział potem jeszcze kilkanaście razy dali ognia Austriacy po ciemku, nie wiem, do-

kąd kule poszły, nad głowami naszymi nawet nie zawarczały. Noc była jasna.

Jenerał Lasalle i Piret wyjechali naprzód podczas rozstawienia placówek i czat. Na taką utarczkę nie wiele trupów leżało, zawsze jednak daleko więcej nieprzyjacielskich, jak naszych, można śmiało powiedzieć, że dwa razy więcej — lubo ich nie rachowaliśmy. Nierówność ta pochodzi niezawodnie z tego, że Węgry bardzo pałaszami machają, a Francuzi żgają i lubo Węgier na lżejszym koniu łatwo francuzkiego konia obskoczy, Francuz siedząc na ciężkim koniu, właśnie dla tego, że koń niezwinny i że mało może nim kierować, spokojnie uważa, z której strony Węgier się na niego zamierza, ma czas zasłonić się od cięcia, a prawie prostym a dobrze zaostrzonym końcem szabli niechybnie pchnie w pierś przeciwnika. Węgrzy nie płazem tak, jak angielska kawaleria, ale ostrzem rąbią, ale że zawsze czynią to w pędzie lub zwracając konia, więc tną jakby bez przytomności, gdzie się uda.

Kilka razy w tem spotkaniu szarżowali na nas. Jedni się miészali, wielu za nas przelatywało, to znów wracało do swoich, a zawsze byli po szarży w zupełnej rozsypce; Francuzi zaś lubo po szarży linią tracili, daleko bardziej trzymali się razem i w każdej chwili dążność do zrównania była u nich widoczna. Wprawdzie oprócz wyższości z lepszego użycia broni wypływającej, mieli oni oczywiście więcej, jak Austriacy doświadczonych żołnierzy, a osobliwie oficerów po tylu wojnach.

Z tegom, com powiedział o Francuzach na ciężkich, a Węgrach na lekkich koniach, nie należy wnosić, że dla lekkiej jazdy konie ciężkie są właściwszemi. Bynajmniej. Jeżeli bowiem można mieć na lekkich koniach żołnierzy doświadczonych pod oficerami jeszcze doświadczeńszymi i przytem zręcznych w użyciu broni, przyuczonych do klucia, nie do rąbania, to będzie najlepiej. Doświadczony żołnierz wie, o co chodzi i kiedy potrzeba równania, potrafi żywość lekkiego konia powstrzymać, na czem tak wiele zależy — a użyje go zwinnie na tyralierce i w pojedynczych wypadkach. Opowiadam tylko stan rzeczy i skutki onego w tej wojnie, to jest, że Węgrzy w ataku ostrzy, trudniejsi są, gdy się rozleca, do zebrania się i zrównania. Francuzi, widząc, że i konie tego

pędu nie mają, z blizka tylko przypuszczali ataki i dla tego lepiej w szeregu równanie do końca utrzymywali, a po szarzy prędzej znów zbierali się na linii przeznaczonej — Węgrzy rąbiąc w pędzie lub obskakując pojedynczych jeźdźców, często wiatr tylko rąbią — a w najlepszym przypadku tylko mniej lub więcej mocno ranią. Francuzi nie machają nigdy do cięcia pałaszem, łatwo się zasłaniając — a zasłoniwszy się od cięcia, jednocześnie jednym pchnięciem najczęściej śmierć przeciwnikom zadają. I mnie, przelatując Węgier, ciął w nogę nad kolaniem, ale mu się pałasz skręcił i rana była nie głęboka, ale uderzenie silne i czułem je długie lata.

Gdy wszystko ucichło, powróciłem do cesarza, którego zastałem pod szałasem z gałęzi przy moście na ostatniej odnodze Dunaju i zdałem mu raport, że generał Lasalle zajął stanowisko między Aspern i Esling na płaszczyźnie. Cesarz jeszcze w nocy wysłał piechotę i artylerję, aby obie te wsie obsadziły. Całą więc noc na 21-go przechodziła piechota nasza i stawała na linii pomiędzy Aspern i Esling. 21-go równo ze dniem cesarz objeżdżał położenie i rozporządzał stanowiska. Postawił lewe skrzydło w Aspern, dwie linie piechoty od lasku w prawo tej wsi ku Esling (jazda była około 1000 kroków postąpiła naprzód), a na lewo przy samej wsi Esling kazał w murze na około cmentarza powybijać strzelnice. Nareszcie prawe skrzydło od Esling prawie pod prostym kątem dochodziło do Dunaju naprzeciw Enzersdorf, któregośmy zapewne dla tego nie zajęli, żeby zanadto linii nie rozciągać. Na prawem skrzydle stanęły grenadyery i fizyliery gwardyi, a w rezerwie chasery konne i dwa szwadrony polskiej gwardyi. Dragony, grenadyery konne i żandarmy gwardyi, również jak i artylerja gwardyi były jeszcze z tamtej strony Dunaju. Na tę stronę przeszło tylko 60 dział, które należały do korpusu Masseny. Rozłożone one zostały baterjami pomiędzy Aspern i Esling. Więcej, jak te 60 dział nie mieliśmy przez wszystkie trzy dni bitwy.

Cesarz zrobił te rozporządzenia obronne, czekając na przyście reszty armii. Mieliśmy dopiero około 30,000, a na drugiej stronie był jeszcze cały korpus Davousta, trzy dywizye kirysyerów, połowa gwardyi, większa część artylerji i cały wielki park, to jest około 60,000 ludzi.

Okolo południa rozpoczęli Austriacy bitwę na całej linii ogniem z kilkuset dział. Jazda nasza, która stała przed piechotą, musiała się cofnąć i uszykowała się w ściśniętych szeregach o kilka set kroków za piechotą. Nasza artylerya odpowiadała, ale oczywiście jednym strzałem na trzy lub cztery nieprzyjacielskie.

Linie piechoty austriackie widać było opodal, ale tego dnia nie zbliżyły się na nasz środek, tylko główny atak skierowały na Aspern, gdzie prócz działowego, kilka razy bardzo rześisty szedł ogień z ręcznej broni.

Z położenia, gdzie stał cesarz, nie można było widzieć tego ataku, bo z tej strony lasek przeszkadzał, ale będąc kilkakrotnie posyłanym do marszałka Masseny, który bronił Aspern, miałem ztamtąd sposobność przypatrzenia się kolumnom austriackim, które były tak głębokie, iż jasnym było, że tam mieli najznacniejsze swe siły. Kilka razy zbliżyli się Austriacy aż do samej wsi, ale zawsze odparci zostali celnymi strzałami z domów i ogrodów.

Raz zastałem Massenę siedzącego pod ścianą domu, gdzie spoczywał — oddałem mu rozkaz cesarza, on zaraz siadł na konia przyprowadzonego, ale spostrzegłszy, że prawe strzemię za krótkie, zawołał masztalarza, by mu je przydłużył, sam siadł po damsku, przełożywszy nogę przez kark konia. W tej chwili kula działowa zabiła masztalarza na miejscu i strzemię urwała, koń potoczył się na bok, marszałek upadł mi na ręce, ale nawet kontuzji nie otrzymał. Przypięto mu inne strzemię, siadł na konia i pojechał.

Granaty zapaliły kilkanaście domów i niemal wszystkie dachy stały w ogniu, ale większa część domów i stajen były murowane, piechota więc miała dobre stanowiska i zakrycie. Ilekroć kolumny austriackie tak się zbliżyły, że się zdawało, iż kule francuzkie już ich nie wstrzymają, to francuzkie rezerwy szły do ataku na bagnety i ani razu Austriacy nie wytrzymali; lecz zaraz w rozsypkę poszli, mimo tego, że oni w kolumnach, a Francuzi w linii postępowali. Mogli bezpiecznie w kolumnach iść do ataku, ponieważ dawno musieli pomiarkować, że mamy mało artylerji; nasza zaś piechota linią puszczała się, prawie biegnąc na bagnety z powodu, że nieprzyjaciel na bokach każdej kolumny miał wiele dział i kar-

taczami każdy swój atak wspierał. Pierwszego dnia ani razu się do samej wsi nie dostał.

Obrona Aspern dowodzi niezawodnie wyższości piechoty francuskiej na wszystkich innemi.

Około godziny 5-tej z południa odebrał cesarz wiadomość, że most na drugiej odnodze Dunaju zerwany w chwili, gdy dywizya kiryssyerów przechodziła. Zerwały go statki naładowane kamieniami, puszczone przez Austriaków ze Stadelau, a pędzone bystrym prądem rzeki, która bardzo nagle wskutek topniejących śniegów w górach wzbierała. Skończono jednak naprawę do nocy i reszta dywizyi kiryssyerów przeszła, a następnie dwie dywizye piechoty Oudinota i połowa gwardyi. Tym sposobem mieliśmy z rana około 60,000 ludzi, ale nie więcej jak 60 dział. Równy z dniem cesarz wsiadł na konia, udał się na linię, dowództwo całej środkowej linii oddał marszałkowi Lannes, uformował w kolumny całą piechotę, prócz korpusu Massenya w Aspern i piechoty gwardyi, którą zatrzymał w rezerwie. Dział 60 stanęło w odstępach kolumn, a za kolumnami piechoty dwie dywizye lekkiej jazdy i dwie kiryssyerów. Gdy atak miał się rozpocząć, cesarz przejechał przed kolumnami, zdejmując przed każdą kapelusz i powiewając nim w stronę nieprzyjaciela. Na ten znak kapeluszem kolumny odpowiadały wiewatami, zakładając kaszkiety na bagnetny. Wnet wszystkie ruszyły razem.

O kroków około 1000 stały na całej płaszczyźnie austriackie posterunki kawaleryi, a za nimi piechota. Na widok naszych kolumn wszystko to znikło. Nieprzyjaciel odsłonił liczną artyleryą, która grzmieć zaczęła, ale wkrótce i cała jego armia ukazała się. Postępowała ku nam kolumnami, które tą razą rozwinęły się i o kilka set kroków do kolumn francuskich dały ognia batalionami, ale tak, iż się zdawało, że rotowy szedł ogień. Działa wszystkie kartaczami sypały. Nic jednak kolumn francuskich wstrzymać nie mogło. Biegły z nadstawionym bagnetami na linie austriackie, które się pomięszwały, zanim nawet Francuzi doszli.

Działa cofały się spieszenie, ale co chwilę odwracając się, gęsto kartaczami strzelały. Mnóstwo Francuzów padało, biegli jednak naprzód, ale Austriacy jeszcze się prędzej cofali. Wreszcie piechotę całą zasłonili całą linią jazdy, którą po

kilka razy kirassyery nasi przełamywali, lecz zawsze nowe pułki za przełamanymi ukazywały się, wspierane liczną artyleryą, która kartaczami każde natarcie Francuzów przyjmowała. Cała linia cofała się jednak coraz bardziej. Jazda austriacka po kilka razy odsłaniając swoją piechotę sformowaną na nowo, lub z rezerw przybyłą — kirassyery dwakroć wpadli na nią i rozbili bataliony, ale zaraz świeże pułki jazdy austriackiej pokazały się do ataku gotowe, a kirassyery dla sformowania się po szarzy musieli o kilkaset kroków się cofać. Dywizye lekkie Lasalle i Bruyère szarżowały także po kilka razy na daleko liczniejszą kawaleryą. Do 11-tej kolumny nasze i jazda prawie milę postąpiły naprzód. Jazda to za kolumnami, to znów przed nimi pomykała się. Szyk nasz bojowy posunął się aż pod wieś Breitenlee. Tu, zdaje się, reszta armii austriackiej przybyła, bo widać było wojsko, ciągnące po za prawem skrzydłem austriackiem. Już i tak nasza linia bojowa, postępując na płaszczyźnie, krótszą była od nieprzyjacielskiej. Skoro więc jeszcze więcej Austryaków przybywało, łatwo oskrzydlonymi być mogliśmy. Gdy do cesarza wrócił z pod Breitenlee z wiadomością od marszałka Lannes, że z lewego skrzydła spostrzeżę masy nieprzyjaciela, które go oskrzydlić mogą, cesarz postawił dwa bataliony starej gwardyi eszelonami przed Aspern, ale daleko za lewem skrzydłem marszałka Lannes, które mu flankę zabezpieczyć miały. Po naprawieniu mostów wciąż wojsko nasze nadciągało. Cesarz liczył, że przybędzie jeszcze cały korpus Davousta z 60 działami, z trzecią dywizyą kirassyerów i jedną lekkiej jazdy, połowa gwardyi i nareszcie cały pułk artyleryi. Korpus Davousta byłby zrównał siły marszałka Lannes z nieprzyjacielskimi. Tymczasem około południa przychodzi z jednej strony wiadomość, że oba mosty znów zupełnie zerwane, a niedługo potem, że marszałek Lannes mocno ranny, bo jedna noga urwana, a druga zgruchotana. Wkrótce nadjechał i Oudinot, kilka razy postrzelony i choć rany nie były niebezpieczne, z placu zjechać musiał.

Cesarz z najzimniejszą krwią dał rozkaz cofnięcia się na położenie pierwotne między Aspern i Esling. Ustępowanie to milowe nastąpiło w największym porządku. Po kilka razy kawalerya austriacka przypuszczała atak na kilku punktach

cofającej się linii. Zawsze ze szkodą odpartą została przez lekką jazdę Lasalla, wspieraną kiryssyerami w drugiej linii. Nigdzie przedrzeć się nieprzyjaciel nie zdołał i piechota nasza nie potrzebowała się nawet zatrzymać dla odbicia ataku. Ani razu kiryssyery za nią nie szukali schronienia. Około 3-ciej godziny cała armia nasza stanęła na pierwotnej pozycji pomiędzy Aspern i Esling. Artylerya już musiała ogromnie strzałów oszczędzać. Wtedy obie dywizye kiryssyerów dla ochrony od dział, które wciąż za nimi ogień sypały, przeszły za piechotę i stanęły we dwie linie przed cesarzem, ale i tu już kule donosiły i przenosiły. Wkrótce nawet sięgały aż do Dunaju za nami i niejednego już rannego dobijały. Mnóstwo bowiem rannych naszych leżało przy mostach na ostatniej odnodze Dunaju. Przez dwa dni ich tam odnoszono i na wyspę Lobau przeprawiano.

Skoro piechota zajęła znowu położenie pomiędzy Aspern i Esling, cesarz rozkazał gwardyi grenadyerów znów przejść na nasze prawe skrzydło naprzeciw Enzersdorf, dokąd spostrzegł kolumny austriackie dążące i w samej rzeczy korpus ich, jak mówiono pod Lichtensteinem, zajął Enzersdorf nad samym Dunajem.

Teraz więc armia austriacka tworzyła około nas półkole. Marszałek Bellgarde stał od Dunaju za Aspern i przed Aspern, arcyksiążę Karól zajmował środek z główną armią, a Lichtenstein formował ich ostateczne lewe skrzydło naprzeciw i prawie za naszym prawem, które składały tylko cztery bataliony strzelców i dwa grenadyerów starej gwardyi, a w tyle dwa szwadrony polskich ułanów gwardyi i szasery konne gwardyi. Te kilka batalionów i cztery szwadrony tak zaimponowały korpusowi księcia Lichtensteina, że nie atakował dostatecznie, one zakryły nasz odwrót a postawa szwadronów polskich mimo, że dość ludzi straciły, wzbudziła podziwienie. W takim położeniu kule z dział Bellgarda, przenosząc przez Aspern, dochodziły aż do naszego prawego skrzydła, a kule Lichtensteina, które często szły za wysoko, sięgały aż na nasze lewo skrzydło. Cesarz zatem stojąc ze sztabem w miejscu środkowem, miał je z trzech stron, ale najczęściej warczały nam tylko nad głowami. Jednak kartacze dochodziły do kiryssyerów za piechotą stojących o 500 kroków przed cesarzem.

Myśmy wtedy już nie mieli czem odpowiadać, bo 60 tylko dział było przeszło na tę stronę i już prawie wszystkie były zdemontowane, choć żadnego nam nie zabrano, a amunicji brakło zupełnie.

Cesarz stał jak wryty, nie ruszając się z miejsca, cugle opuszczone, perspektywa w ręku, dając rozkazy i wysyłając nas na wszystkie strony, ale już mało kto z nas miał konia pod sobą i mój ostatni był bardzo zmęczony. Wysłany do marszałka Masseny, który stał niedaleko, wołałem iść pieszo, konia za sobą prowadząc. Cesarz spostrzegł był, że mocna kolumna ze stanowiska arcyksięcia Karola, to jest z środkowej armii, puszcza się na Aspern, kazał więc przestrzedz o tem marszałka Massenę i polecić mu, żeby dla przyjęcia jej uformował kolumnę rezerwową.

Marszałek siedział pod drzewem przy murach spalonego domu, bo tylko kilka jeszcze domów pozostało całych. Siadł zaraz na konia, w ogrodach uformował kolumny w sam czas właśnie, kiedy Austriacy z przeważną siłą dochodzili do wsi. Piechota francuzka z domów i z zapłotów dała bardzo z blizka do nich rzęsisty ogień, ale tą razą obie kolumny austriackie z chorągwiami żółtymi na przodzie nie zatrzymały się i oparowały domy i ogrody. Massena sam dobył szpady i poprowadził na nich dopiero co uformowaną kolumnę, do której po bokach przyłączyli się Francuzi wyparci z domów.

Kolumna ta wpadła bez wystrzału na Austriaków, którzy byli wyszli z porządku między płotami i domami i bagnetem ogromną moc ich położyła.

Gdy powracałem do cesarza, takie mnóstwo trupów leżało na drodze we wsi, że koń mój co chwilę na nie nadeptywać musiał. Wprawdzie już poprzednio padło tam wiele Francuzów od kul działowych i ręcznej broni.

Przywiózłem tedy cesarzowi raport od marszałka Masseny, że Aspern uratowany i że spodziewa się tam do wieczora utrzymać. Potem jeszcze jeździłem do Esling i znowu drugi raz na pozycję naprzeciw Enzersdorf, dopiero więc później dowiedziałem się, że do wieczora trzy razy jeszcze piechota austriacka dostała się do Aspern i za każdym nawrotem dzielnie ztamtąd wypartą została.

Ale i środkowa armia austriacka uformowała kolumny do ataku na Esling. Jenerał Durosnel, adjutant cesarza, który tam komenderował, wyjechał naprzeciw, aby ją zrekonstruować; mając zmęczonego konia, nie zdążył się cofnąć przed atakiem kirysyeryów austriackich i został wzięty do niewoli. Podwojony ogień działowy, skierowany na Esling, o ataku nas uwiadomił. Kolumny grenadyerów węgierskich z rozwiniętymi chorągiewkami, z oficerami konno na przodzie, maszerowały ostro.

Nie wstrzymał ich ogień z po za muru cmentarza i domów. Wpadli tam, Francuzi się cofać musieli. Cesarz rozkazał jenerałowi Mouton, adjutantowi swemu, wziąć z prawego skrzydła cztery bataliony strzelców gwardyi i napowrót Esling odebrać. Stało się to bez wystrzału. Znow tu na cmentarzu leżało mnóstwo Węgrów zabitych tak, jak we wsi Aspern. Esling został w naszym ręku do wieczora.

Jeszcze raz nad samym wieczorem Austriacy przypuścili atak czterema kolumnami piechoty na nasz środek między Aspern i Esling. Nasza piechota zmęczona, zgłodniała, leżała w rowach nad drogą z Esling do Aspern wiodącą. Gdy się kolumny austriackie zbliżyły, wstali wszyscy za uderzeniem w bębny do szeregu, nadstawili bagnety i podwójnym krokiem tak żwawo naprzód ku nieprzyjacielowi się rzucili, że jego kolumny się zmieszały, zaczęły rejterować, a kirysyery nasze kłusem małym, bo konie już prawie iść nie mogły, przeszli naprzód pomiędzy batalionami i szarżować chcieli, lecz jazda austriacka zaraz się przed swoją piechotę wysunęła, ale zbliżyła się tylko o 500 kroków i stanęła i więcej nie atakowała. Ciemnieć też zaczynało. Cesarz rozkazał naprzód kirysyeryom i lekkiej jaździe przez most na wyspę Lobau rejterować się. Rannych wciąż tam odnoszono. Po kawaleryi działa i jaszczyki, które jeszcze były na kołach, przeprowadzono — wiele z nich tylko parą końmi. Narachowałem 40 dział, a zatem ze 20 zostać musiało, bo koni do nich nie było. Cesarz stał przy moście. Około 10-tej przeszedł dopiero z gwardyą na wyspę. Tam przed niego przynieśli marszałka Lannes — ścisnął go po kilka razy i ponieważ noc była jasna, widziałem, że płakał.

O północy piechota Masseny, grenadyery i woltyżery Oudineta także przeszły most, który zaraz potem rozebrano.

Było w bitwie 60,000 ludzi, z tych na wyspie pod bronią zostało 30,000, a zatem połowę straciliśmy w zabitych i rannych. W dziejach wojen francuzkich jest ta bitwa najkrwawsza i ze wszystkich niezawodnie czyniąca najwięcej zaszczytu wojsku francuzkiemu, pomimo tego, że została przegrana, bo musieliśmy się cofnąć i nieprzyjaciel zajął pole bitwy.

Okolo 2-giej godziny w nocy cesarz z wyspy Lobau przeprowadził się na łódce na drugą stronę Dunaju. My za nim na dwóch innych przebyliśmy rzekę, ale nurty mocno wezbrane i bardzo bystro płynące zapędziły nas aż o pół mili od Ebersdorf, dokąd pieszo doszliśmy okolo 5-tej z rana.

Stał tam korpus marszałka Davousta. Cesarz kazał mu natychmiast stanąć pod bronią i maszerować ku Presburgowi, aby zając przedmieścia i niedopuszczyć arcyksięciu Karolowi przejścia Dunaju. Mając tam bowiem most, mógł przejść z wszystkimi siłami, pobić marszałka Davousta i wiaść resztę armii na wyspie Lobau i wszystkich rannych do niewoli.

Zaraz nazajutrz cesarz mię wysłał za marszałkiem Davoustem. Maszerował on trzy dni ku Presburgowi, ale już trzeciego zaatakował przedmieście przy wsi Engerau i zdobył je. Powróciłem zaraz z tą wiadomością do Ebersdorf, poczem cesarz przeniósł się natychmiast do Schoenbrunn. Gwardya z wyspy Lobau na łódkach w kilku dniach się przeprowiła i okolo Schoenbrunn w obozie piechota, jazda po wsiach stanęła. Po przybyciu naszym do Schoenbrunn 28-go maja przyjechał adjutant ks. Eugeniusza Beuharnais z wiadomością, że książę postępując w 40,000 za arcyksięciem Janem, który z Włoch po kilku porażkach przymuszonym był się cofać, jest już tylko o 15 mil od Wiednia. Wysłał on z tym adjutantem, który się nazywał Bataille, oddział jazdy do Neustadt, ażeby cesarza o swem przybliżaniu się uwiadomić i rozkazy odebrać.

Adjutant ten niezwłocznie napowrót wysłanym został do księcia, który na Oedinburg i Steinamanger, po węgiersku Szombathely, do Węgier za arcyksięciem Janem wkroczył. Arcyksiążę, połączywszy się z nowo uformowanem wojskiem w Węgrzech, obrał sobie korzystne położenie pod Sabadeggi, o trzy godziny od Raab. Książę Eugeniusz natychmiast go tam atakował i do opuszczenia tej pozycyi zmusił po cało-

dziennej bitwie. Wieczorem wojsko włoskie doszło pod miasto Raab, które było otoczone starymi wałami. Arcyksiążę Jan zostawił w niem 3000 ludzi dla zatrudnienia dni kilka armii naszej, a tymczasem on sam zrejterował się o 3 mile i Dunaj pod Komorn przeszedł.

Jeszcze przed bitwą pod Raab cesarz wysłał mię naprzód do marszałka Davousta przed Presburgiem stojącego, ażeby mu donieść o marszu księcia Eugeniusza przez Węgry ku Raab i polecić, aby się starał prawem swem skrzydłem skomunikować z nim, a potem rozkazał mi z oddziałem jazdy dostać się do księcia Eugeniusza i prostą drogą napowrót wiadomość mu o nim przywieść. Przybyłem wózkiem pocztowym do marszałka, dał mi konia, dojechałem do jego lekkiej kawaleryi, która już na ziemi węgierskiej stała na drodze od Haimburga do Raab, wziąłem tylko 15 huzarów na lepszych koniach i puściłem się od Kitsee w prawo drogi bitej, rozumiejąc, że książe Eugeniusz będzie jeszcze w okolicy około Papa, jak to cesarz myślał. Drogę z Kitsee do Papa odrysowałem sobie z cesarza karty. Przybywszy nad wieczorem do pierwszej wsi, gdym szukał przewodnika, jakież było me zdziwienie i radość, gdy chłopów usłyszałem po słowacku mówiących. I oni bardzo się ucieszyli, gdy mię usłyszeli odzywającego się po polsku. Zaraz mi przywołali jednego, który z pod Raab tego samego dnia był przyjechał, a sami już przed jego przyjściem mi opowiadali, że Francuzi pobili Austryaków pod Raab, i że tam stoją pod miastem. Zapytałem ich, czyby się który podjął przewieść mię do armii francuzkiej pod Raab? Z największą chęcią kilku się ofiarowało, nie pytając, co im zapłacę. Słowiańska natura wszędzie ta sama. Poczęstowali mię i huzarów winem, chlebem i szynką. Bardzo się cieszyli, że Austryacy pobici, mówili, że należeli dawniej do Polski, że wiedzą o tem od ojców i radziby znów się połączyli z Polską, tem bardziej, że słyszą, iż cesarz francuzki chce Polskę przywrócić. Podania, tradycye u ludu długo bardzo trwają. Z jakich czasów ludność ta przechowała pamięć o połączeniu z Polską, żaden ze starych wytłomaczyć mi tego nie umiał. Czy to z czasów króla Ludwika, czy z czasów jeszcze dawniejszych? dość, że niezawodnie Słowacy tutejsi bardzo Polakom przychylni, a pomiędzy nimi wcale tu Madziarów nie ma.

Napisałem do marszałka Davousta w formie raportu o tem, czegom się dowiedział z prośbą, aby z tym raportem natychmiast oficera do Schoenbrunn wysłał, upewniałem go, że chłopskim wiadomościom ufać można, skoro one pochodzą od Słowaków, którzy nam są przychylni i że dla tego zawierając im, odsyłam huzarów, którzy mu przyjęcie nasze opowiedzą, a sam dla prędszego dostania się do armii włoskiej, puszczałem się nocą wózkiem.

Stanałem w Raab rano około 10-tej, właśnie gdy książe wjeżdżał do miasta, które poddało się po dwóch dniach bombardowania.

Książę Eugeniusz, krótko w mieście zabawiwszy, wyjechał do pałacu za miastem, gdzie mu główną zrobiono kwatery i gdzie już stała gwardya włoska, dwa bataliony grenadyerów i dwa strzelców pieszych, oraz około 100 konnej gwardyi honorowej lombardzkiej. Przy śniadaniu opowiedział mi książe i jenerał Macdonald, który pod nim dowodził, a jeszcze dokładniej szef sztabu księcia jenerał Giffllongen szczegóły o batalii pod Raab, które sobie pokonotowałem dla cesarza. Do miasta udałem się zaraz po śniadaniu, ale na poczcie nie było żadnego wózka. Już więc wybierałem się konno ruszyć, kiedy gruby obywatel, w wołoszce ubrany, przystąpił do mnie i ofiarował pożyczyć bryczkę aż do Wiednia. A jakże, rzekłem, panu ją odeślę? — Mniejsza o to, odpowiedział, kontent jestem, że się panu przysłużę. Gdy mi to dość dobrze po polsku mówił, zapytałem: Czy pan Węgrzyn? — Nie, ja Słowianin, — dowiedziałem się, że pan Polak, więc nasz rodak, przytem pan jest przy cesarzu Napoleonie, a my mamy nadzieję, że za jego pomocą z pod obcego uwolnimy się rządu. — Dziękuję panu, ale mi pan wskaż kogo w Wiedniu, któremubym bryczkę mógł oddać. — Nie znam tam nikogo i pan zrób z bryczką, co zechcesz, jak już jej nie będziesz mógł użyć. — Podczas rozmowy konie poczyliion zakładał, pożegnałem mego obywatela serdecznie, wsiadłem na dobrą bryczkę węgierską i ruszyłem. W nocy na pół drogi zastałem już posunięte posterunki jazdy marszałka Davousta. Po południu stanąłem w Schoenbrunn i raport o wszystkim zdałem cesarzowi.

Zaraz po bitwie pod Esling cesarz kazał był postawić most jeden na słupach na pierwszej odnodze Dunaju, a dwa, także

na słupach, na drugiej, która oddzielała wyspę Lobau. Trzecia odnoga mniej szeroka. Przygotowano na wyspie Lobau materiały na 6 mostów na niej.

Z Francyi przychodziły wciąż marszowe kolumny (colonnes de marche), złożone z całych kompanii i batalionów, których zakłady miał każdy regiment będący w armii, z rannych i chorych, wyzdrowiałych po różnych szpitalach, urządzonych w miasteczkach od Ratyzbony do Wiednia i nareszcie z rekrutów z Francyi. Największą część tych kolumn przeprawiono łodziami na wyspę Lobau, ażeby skompletować korpusa tam stojące, które najwięcej były ludzi straciły.

Budowano te trzy mosty przez cały miesiąc czerwiec; Przez ten czas cesarz stał w Schoenbrunn, ale wyjeżdżał konno prawie codziennie, najczęściej do Ebersdorf dla przyspieszenia budowy mostów. Objeżdżał też kolejno obozy stojące w okół Wiednia. Zjeżdżało się przez ten czas wielu oficerów z wojsk sprzymierzonych, przybyło raz nawet dwóch rosyjskich, major Gorgoli, bardzo do rzeczy człowiek i podporucznik Czerniczeff. Był oficer jeden szwedzki, a najwięcej niemieckich. Od naszej polskiej armii po kilkakroć przybywali oficerowie wysyłani przez księcia Poniatowskiego. Pomiędzy nimi jednak zajął mnie najmocniej nie żaden oficer, ale pan Ignacy Potocki, którego nie wiem po co cesarz był do siebie sprowadził. Miał on z cesarzem kilka rozmów bez świadków. Był to człowiek nadzwyczaj skromny, gładki, rozsądny, wszystko było w nim przeciwie, jak w bracie jego Stanisławie, którego znałem w Warszawie i Paryżu. Pan Ignacy nie wydawał się zadowolonym z rozmów z cesarzem i powrócił do kraju z małą bardzo otuchą.

Bywaliśmy także często w Wiedniu, ale cesarz tylko przez miasto przejeżdżał, kiedy koniecznie droga najbliższa tamtędy wiodła. Aktorowie opery wiedeńskiej grali kilka razy na tydzień w teatrze Schoenbrunn. Prócz oficerów, bywały i osoby cywilne z Wiednia, które o bilety prosiły. Ogółem dziwne jest usposobienie tej ludności. Byłem w Wiedniu na teatrze, pełno zastałem tam kobiet, a w praterze wiele bardzo widać było eleganckich powozów, napełnionych strojnymi damami i mężczyznami, jak gdyby im zajęcie przez Francuzów obojętnem było. Nie tak się działo w Warszawie,

gdy ją Austriacy zajęli, żałoba była ogólna od najwyższych do najniższych. Trzeba jednak pamiętać, że szlachta austriacka opuściła była Wiedeń jeszcze przed wejściem wojska francuzkiego, a zatem ludność, którą widziałem na teatrze i po spacerach, składała się po większej części z kupców, pewnie żydów, i żon ich. Słyszałem przecież kilka imion szlacheckich pomiędzy damami, które pozostały w mieście i z Francuzami w najlepsze bawiły się. Wiedeń i okolica wyglądały, jak w pokoju zupełnym. Francuzi zatrudniali wielu rzemieślników, osobliwie kareciarzy, ci więc kontenci byli. Ja także koczyk kupiłem.

Przez przeciąg tego czasu jeszcze raz był wysłany do Raab. Miałem i do marszałka Davousta i do ks. Eugeniusza różne zlecenia, które mi cesarz w krótkości dyktował. Jadąc od Davousta do Raab, zastawałem już po całej drodze naszą lekką jazdę, która wszędzie w najlepszej harmonii z mieszkańcami przebywała, w kilku miejscach widziałem Francuzów tańczących pod cieniem drzew z Słowiankami, parobcy też miejscowi, ubrani w mundury francuzkie, bawili się z nimi pospół, a żołnierze chętnie pozwalali im brać te mundury, bo ich to bardzo cieszyło. Wszędzie po drodze było huczno i wesoło, a pocztyliony, Słowaki, gdym przemawiał do nich po polsku, doskonale i prędko jechali.

Dnia 1 lipca ukończono mosty, mocno zbudowane na palach. Cesarz 2-go na wyspę Lobau przybył i pod namiotem stanął. Książę Eugeniusz z korpusem całym przemaszerował 3-go. Trzy bataliony tylko z Raab ku Komorn wśród dnia rozwlekłymi kolumnami pomaszerowały, aby Austriacy ten ruch widzieli. Takież sam manewr zrobił marszałek Davoust, wysłał kilka batalionów nad samym Dunajem na wschód, ale jedne i drugie dłuższą a odleglejszą drogą od Dunaju powróciły do korpusów swoich.

Wyspa Lobau przedstawiała bardzo piękny widok. Jest ona okryta drzewami, pomiędzy którymi rozciągają się obszerne murawy. Na całej przestrzeni wznosiły się ładne baraki, pobudowane przez żołnierzy francuzkich. Domu tam żadnego, ani mieszkańca nie było.

3-go spadł ogromny deszcz tak, że cesarz cały dzień nie wyszedł z namiotu. Namiot jego był złożony z trzech po-

łączonych z sobą wzdłuż. Pierwszy był służbowy dla nas i tam też spaliliśmy wszyscy. W środkowym cesarz spał sam na łóżku składanem, takż był stół i kilka krzesełek i słupek z kołkami, na którym mapy wisały. Tylny namiot zajmował sekretarz i kilku ludzi cesarskich zawsze tam było.

Całą noc deszcz padał. Gdy nad ranem wyszedł cesarz, zbliżył się do stojącego na prawo grenadyera (a dwóch zawsze stało na warcie i prezentowało broń, gdy cesarz wychodził) i rzekł mu: Przyjacielu, brzydki czas (mon ami, fichu temps; — na co grenadyer odpowiedział: Lepszy, jak żaden (vaut mieux que pas du tout).

Dnia 4-go z południa wyjaśniało. Wieczorem na przygotowane łódki siadło 6000 grenadyerów i woltażerów z bindami białymi na lewym rękawie, ażeby się w nocy poznać mogli i w prawo wyspy przeprowiło się przez ostatnią odnogę Dunaju. Wysiedli oni na prawo miasteczka Enzersdorf bez żadnego oporu ze strony nieprzyjaciela, który się przygotował na nasze przejście w tem samym miejscu, w którym rzuciliśmy most, idąc na bitwę pod Aspern. Naprzeciw tego punktu, w odległości wystrzału usypali Austriacy baterya, o czem cesarz wiedział i dla tego o pół lub o trzy ćwiercie mili bardziej w prawo przejście ostatniej odnogi zdecydował. Po wylądowaniu o 10-tej w nocy tych 6000 grenadyerów na drugą stronę, rzucono zaraz 6 przygotowanych mostów i o 2-giej już wojsko nasze przechodzić zaczęło, razem po dwóch mostach piechota, jednocześnie jazda po dwóch innych, a nareszcie artylerya po ostatnich. Czoła kolumn tak stanęły, że przechód w największym odbył się porządku i do 6-tej z rana 6 korpusów przeszło. Korpus marszałka Davoust, skrzydło prawe, Oudinot przy nim, Sasi pod Bernadottem, armia włoska (trzy korpusy, ale słabsze) środek, a marszałek Massena lewe skrzydło stanowił. Gwardya, korpus bawarski i 10,000 z Illyrii pod Marmontem tworzyły rezerwę bardzo liczną. Gwardya i te korpusy przeszły mosty na ostatku i dopiero 5-go wieczorem za nami je zobaczyłem. W tym samym dniu Baraguay d' Hilliers, który był został naprzeciw Presburga i trzy bataliony w Raab zostawione, ukazały się w marszu ku wschodowi, czem omylony arcyksiążę Jan, który był do Presburga przy-maszerował, ruszył z Presburga ku Komornu, a zatem oddalił

się od głównej armii arcyksięcia Karola i tym to sposobem 50,000 jego wojska nie przyszło na czas na batalię 6-go pod Wagram.

Po przejściu wszystkich korpusów, cesarz myśląc, że Austriacy będą się trzymali w reductach, które pobudowali między Aspern i Eslig, rozwinął dwie linie od Enzersdorf w prawo, aby zaatakować arcyksięcia Karola z lewego boku. Lecz arcyksiążę po naszym przejściu na innem miejscu, jak się spodziewał, opuścił szanice i obrał położenie na wzgórkach za Wagram, opierając prawe swe skrzydło o Dunaj.

O 8-mej z rana wszystkie linie nasze zaczęły postępować naprzód. Tylko kawaleryą nieprzyjacielską widzieliśmy cofającą się wolno przed nami. Cały dzień rozwinięci, postępowaliśmy powoli, nie wiedząc, gdzie zastaniemy armią austriacką, aż dopiero o 5-tej z południa spostrzegliśmy ich linie piechoty w lewo i prawo Wagram na wzgórkach. Sasi pod Bernadottem szli wprost na tę wieś i właśnie wchodzili do niej, gdy poczynano się ściemniać. Tymczasem grenadyery i wołtyżery Oudinota, postąpiwszy na prawo Sasów i zbliżywszy się do Wagram, zmyleni białemi ich mundurami, poczęli do wsi strzelać tak, że nim dowódcy omyłkę spostrzegli, nie tylko wielu Sasów, którzy poznawszy Francuzów, nie odstrzelowali, zginęło, ale reszta się pomieszała i uciekać zaczęła, a ztąd cały ten korpus saski tak się rozsypał, iż go w nocy już zebrać nie zdołano.

Przed samym wieczorem marszałek Davoust postąpił z prawem skrzydłem aż naprzeciw lewego austriackiego i tam zaraz atak rozpoczął. Cesarz, widząc teraz całą armią arcyksięcia przed sobą, rozesłał oficerów do wszystkich korpusów, ażeby stanęły w miejscu i jeść sobie gotowały.

Na kilkunastu bębnach, po trzy jeden na drugim, rozciągnięto namiot cesarski, pod którym cesarz się położył, a my wszyscy w około pod gołem niebem.

6-go lipca o wpół do 4-tej z rana obudzono nas. Lokaje cesarscy przyszli do nas z zaproszeniem na obiad. O kilka kroków od namiotu cesarskiego znaleźliśmy sute jedzenie zastawione na czaprakach rozciągniętych na ziemi i był to obiad cały, jak w Paryżu, zupa, kilkanaście różnych potraw, wszelkie wina, a ponieważ w wilią nikt z nas nie jadł, tylko to,

co miał przy sobie lub co któremu przypadkiem służba cesarska podała, jedliśmy z wielkim apetytem, żartując pomiędzy sobą, że pewnie już nie wszyscy będziemy tak na drugi dzień biesiadowali.

Jeszcześmy po rzymsku przy tym obiedzie leżeli, kiedy Austriacy rozpoczęli atak na Davoustą, a zatem swoim lewem na nasze prawe skrzydło, mocnym działowym ogniem. W tejże samej chwili cała armia nasza stawała do broni i muzyki na pobudkę na całej linii pięknie regimentami jedna po drugiej grały. Wkrótce jednak grzmot dział je zagłuszył. Rozwi-dniało, już byliśmy na koniach, ale nie ruszaliśmy z miejsca. Najpiękniejszy widok, jaki w życiu oglądać mi się zdarzyło, teraz się przed nami rozwinął. Całą armię austryacką, prawe skrzydło od Dunaju, lewe aż po za Wagram, nasze lewe także o Dunaj oparte od Aspern, prawe aż po za Wagram, widać było mniej więcej na milę rozległości. Nasza armia w tym samym była porządku, co w wilią, to jest Massena prowadził lewe skrzydło, po jego prawej stronie stała armia włoska, za nią brygada już tylko saska, bo resztę w tył odesłano, Oudinot trzymał położenie na prawo Wagram, Davoust stanowił prawe skrzydło, dalej jeszcze stała dywizya lekkiej jazdy, a zanim dywizya kirassyerów, gwardya cała za środkiem z cesarzem, a na prawo opodal za Oudinotem dwie dywizye kirassyerów, za gwardyami zaś dwie dywizye Bawarów (trzecia była użytą w Tyrolu), korpus Marmonta i Sasi, których po porażce w wilią porządkowano. Zapewnie cesarz na te korpusy rachował, jeźliby arcyksiążę Jan się zbliżał i dla tego je opodal za armią zatrzymał.

Atak austriacki na nasze prawe skrzydło pod Davoustem był tylko udanym, bo prawdziwy i największymi siłami skierowano na nasze lewe pod Masseną.

O 6-tej z rana na całej milowej przestrzeni z obu stron artylerya tak mocno grała, jak jeszcze nigdy nie słyszałem. Ogień dział wzdłuż obu linii było widać od lewego skrzydła nad Dunajem aż do Oudinota po prawej stronie Wagram na zupełnej płaszczyźnie, a u marszałka Davoustą na wzgórkach. Cesarz za środkiem, to jest za armią włoską, stał nieporuszony na siwym koniu z perspektywą w rękę, obok niego tylko Berthier, a zaraz za nim dwóch z nas, za nami zaś

dwóch chasserów, jeden z mapami, drugi perspektywą dużą. Skoro cesarz jednego z nas wysłał z rozkazem, zaraz drugi nadjeżdżał w jego miejsce, wszyscy bowiem oficerowie ordonansu i adjutanci Berthiego stali w tyle około 150 kroków, dla tego, żeby tylu oficerów razem nie ściągnęło na ten punkt strzałów, które donosiły i przносиły.

Obie linie coraz się bardziej zbliżały do siebie. Około 8-mej prawe nasze skrzydło pod Davoustem znacznie było postąpiło naprzód, a lewe austriackie pod Rosenbergiem już się rejterowało. Przeciwnie prawe austriackie nad Dunajem postąpiło. Tam arcyksiążę Karol skierował główny atak. Po najmocniejszej kanonadzie wysunęły się na Massenę głębokie kolumny piechoty i tak ostro na jego korpus uderzyły, iż tenże przed przewyższającymi siłami cofać się musiał w kierunku Enzersdorf. Austriacy spiesznym krokiem za Masseną posuwali się, a na ich lewej stronie ku nam ukazała się liczna kawaleria austriacka dla zabezpieczenia ich flanki. Czoło tej jazdy, ośm regimentów huzarów, dragonów i kirassyerów (ułani rozwinęli się naprzeciw nas) uderzyło na dywizyą Lassala lekkiej jazdy, która od rana wiele ludzi straciwszy, musiała się rejterować. Jenerał Lassale zginął w szarży. Widocznem było, że nieprzyjaciel większą część sił swoich na nasze lewe skrzydło skierował i nie mniej nie zamysłał, jak odciąć nas od naszych mostów i jednym zamachem zniszczyć lub zabrać całą armią. Ale tym wielkim swego prawego skrzydła ruchem zanadto rozściagnął linią i środek osłabił.

Cesarz widząc korpus marszałka Masseny cofający się i już w nieładzie, puścił się galopem ku niemu. Spotkaliśmy marszałka Massenę przy ostatniej jego rejterującej się kolumnie, siedział w kocyku, bo był zasłabł, ale pomimo tego w najgęstszym był ogniu. Cesarz dał mu tylko taki rozkaz: Cofaj się aż do mostów, jeżeli Austriacy nie staną, za godzinę złożą broń, jeżeli dalej postąpią. Poczem skrzył konia i znów galopem powracał na miejsce. Ruszał wzdłuż linii kawalerii Lassala, która co chwilę do frontu stawiała, jadąc pomiędzy linią a flankierami.

Pomiędzy tą jazdą a korpusem włoskim stała brygada saska kawalerii, która się rejterowała, bo traciła bardzo dużo ludzi od kul i już od kartaczy. Cesarz ją zatrzymał, stanąć

do frontu kazał, dobył zegarek i rzekł do dowódcy: Proszę was tylko stać pół godziny w tym ogniu, za pół godziny ustanie. Potem ruszył na dawne miejsce. Ztąd dał następujące rozkazy: Gwardyi polskiej i za nią chasserom kazał pójść kłusem naprzód przed lewe skrzydło armii włoskiej, artyleryi konnej gwardyi kłusem się rozwinąć za niemi na lewo i dać ognia w flankę Austryakom posuwającym się za Masseną. Macdonaldowi posłał rozkaz uformować kolumny i ruszyć naprzód w lewo Wagram, za nim posunął dwie dywizye kirassyerów, posławszy do Davousta po trzecią, aby i ta z niemi poszła. Kiedy oddawał tę całą kawaleryą pod rozkazy marszałka Bessières, koń tegoż uderzony został kulą armatnią w łopatkę; myślano, że marszałek na miejscu zabity, ale tylko mocną kontuzją odebrał. Gdy marszałek z koniem się powalił, cesarz tylko odwrócił swego i kazawszy przywołać generała Nansouty, powtórzył mu to samo polecenie, które był dał marszałkowi Bessières. Skoro Macdonald środek linii austryackiej przełamał, dokończyć zwycięstwa dwoma dywizyami, a trzecią, która za niemi zaraz przybędzie, uderzyć na lewo na kolumny posuwające się za Masseną. Dodał, że te kolumny wnet nad Dunajem rejterować się będą i że wesprze go kawaleryą gwardyi.

Gdy artylerya gwardyi w przeciągu mniej niż pół godziny kilkanaście razy z 60-ciu dział dała ognia, coraz mniej gęste strzały artyleryi austryackiej od tej strony słyszeliśmy. Widać także było, iż Macdonalda nic nie wstrzymało, bo już daleko się posunął, a kirassyery za nim.

Cesarz na mnie skinął i kazał mi zawieźć rozkaz chasserom gwardyi, aby gwardyą polską wspierali, a tej, aby szarżowała na wszystko, co ma przed sobą. Kiedy mi to zlecenie dawał i gdy prawą ręką unosiłem kapelusz nad głową, jak to był zwyczaj przy odbieraniu rozkazów od cesarza, kula działowa uderzyła mi w kapelusz i o kilkanaście kroków porwała. Cesarz się rozśmiał, powiedział mi: Dobrze, żeś nie wyższy, — a potem dokończył rozkazu, ażeby od gwardyi polskiej jechał do Macdonalda i doniósł mu, że austryackie prawe skrzydło nie tylko już stanęło, ale rejterować zaczęło, a zatem niech pędzi wszystko, co ma przed sobą. »Zostań z Macdonaldem, dodał w końcu, i potrójnym galopem (był to wyraz jego za-

miast prędko) powracaj mi opowiedzieć, co będziesz widział.« Kapelusze mi podał mój kolega, który zsiadł z konia, okurzył go, nie było znaku kuli, musiała już być słaba. Przytoczyłem tu to małe zdarzenie dla tego, że żart cesarza w chwili tak stanowczej najlepiej jego zimną krew maluje.

Dojechałem do chasserów i do gwardyi polskiej, oddałem generałowi Krasieńskiemu rozkaz cesarza, poczem zaraz ona przypuściła szarżę na ułanów Schwarzenberga i dragonów la Tour. Nie byłem przy tej szarży, bo dążyłem dalej naprzód za Macdonaldem, ale później się dowiedziałem, że się powiodła. Przy tej szarży zdarzył się wypadek, którego mógł pułk o klęskę przypisać, gdyby nie przytomność Kozietulskiego. Dwa pierwsze szwadrony komenderował grosmajor Delaitre, Francuz, drugie dwa podpułkownik Kozietulski. Delaitre miał wzrok krótki, nosił okulary. Widząc austriackich ułanów gotujących się do ataku i przeceniając ich siłę, chciał się zbliżyć do szarsarów, którzy byli w tyle, zakomenderował: *Demi tour à droite*, jako starszy dla całego pułku. Spozrzegł niebezpieczeństwo Kozietulski, iż Austriacy wpadną na nich z tyłu, dał więc natychmiast tę samą komendę, a miał śliczny i donośny głos i ogromne zaufanie w pułku. Tak nasze ułany zrobiwszy dwa razy zwrot, znaleźli się znów frontem do nieprzyjaciela, zrównali się i w tej chwili Kozietulski: *Do ataku broń! i marsz, marsz!* zakomenderował. Szarsza się powiodła. Delaitre szlachetnie Kozietulskiemu podziękował.

Zabrano ze 150 ułanów, kilku oficerów, a między nimi pułkownika księcia Auersberg, ale też oficerowie nasi przyznawali, że łatwo ich było brać, bo ułani poznawszy rodaków, brać się dawali; inaczej, w jednej szarszy na polu bitwy, pomiędzy dwoma liniami, a zatem na krótkiej przestrzeni, jeden regiment nie jest w stanie wzięść 150 kawalerzystów do niewoli, do tego pogoń musiałaby być dłuższa, albo nieprzyjaciel przyparty do jakiej zawady.

Położenie obu armii było teraz zmienione: nasze lewe skrzydło zupełnie w tyle, nasz środek prawie trzy ćwierci mili naprzód, pomiędzy lewym skrzydłem i środkiem artylerya i kawalerya gwardyi, prawe zaś nasze skrzydło także znacznie naprzód wysunięte.

Arcyksiążę Karol, widząc zapewne, że chociaż się jego atak prawem skrzydłem na Massenę udał, to skrzydło to może być przez nasz środek od armii odciętem, musiał dać rozkaz odwrotu. Nie trzeba zapominać o tem, że kto chce oskrzydlić nieprzyjaciela, sam oskrzydlonym być może, bo poddaje zawsze bok jeden, czyli go odsłania. Miał wprowadzić arcyksiążę za środkiem mocną rezerwę, która Macdonaldowi dała wiele do czynienia, ale czy arcyksiążę ją ochraniał, czy też śmiało postępowanie naprzód Macdonalda zaimponowało mu, dość, że gdym dojechał do Macdonalda, ten powiedział mi, że ani razu Austriacy nie wytrzymali ataku na bagnety i widziałem też, jak wciąż się rejterowali, chociaż powinni byli koniecznie tam na środku stanąć i pozycją utrzymać, dopóki prawe skrzydło, które już teraz ztamtąd widać było w odwrocie, nie wycofało się. Macdonald wciąż parł naprzód, nieprzyjaciel zatrzymał go usiłował ogniem działowym.

Pozostałem przeszło godzinę przy Macdonaldzie, spodziewając się zawsze, że coś stanowczego cesarzowi przywiezę, ale wiedząc, że czeka na wiadomość z tej strony, powróciłem, zdałem mu raport, mianowicie o tem, że ztamtąd widać już było kolumny austriackie rejterujące się nad Dunajem, czego z położenia, na którym stał cesarz, trudno było dostrzedz, bo artytylerya nasza, kawalerya nasza i nieprzyjacielska zasłaniała całą lewą stronę i tu jednak słyhać było pomiędzy działowym i ogień ręcznej broni, posuwający się od Enzersdorf ku Stadelau, co dowodziło, że Austriacy się cofali. Wkrótce także powrócił od Masseny kolega mój z raportem, że Austriacy w rejteradzie zupełnej i że Massena za nimi postępuje. Było to około 6-tej wieczorem. Myślę, iż cesarz nie spodziewał się, żeby arcyksiążę Jan dał się być złudzić komedią, którą kilka batalionów marszem niby na Komorn odegrało i mniemał, iż przybędzie na pomoc arcyksięciu Karolowi. Dla tego to trzymał 40,000 wojska, to jest gwardyą, Bawarów i Marmonta w rezerwie.

O 6-tej godzinie ogień na całej linii oddalił się i kule już nawet się do nas nie przytaczały, choć grzmiał równie mocno, jak przed godziną.

Około 7-mej kazał mi cesarz znów do Macdonalda pojechać i dopiero, jak tenże już obozem stanie, powrócić. Nie było

więc pilno tam jechać, wszystkie moje konie były pomęczone, puściłem się więc klusem i widziałem, jakie mnóstwo zabitych leżało po polu i w życie, które gdzieś niedzieś jeszcze stało niepotratowane. Spotkałem także wielu rannych, którzy podnieść się nie mogli i na mnie przejeżdżającego o ratunek wołali. Tu i owdzie chirurgowie pomoc im nieśli, ale wszystkim dać rady nie mogli. Gdy przemieniałem konia, służący cesarski napełnił był mi winem butelkę oplataną, którą miałem w jednym olstrzu, sądząc, że w Niemczech dosyć jednego pistoletu. Zsiadałem więc kilka razy i dawałem z niej napić się kilku zgłodniałym, a przytem rozdzieliłem między nich kawałek chleba i szynki, które mi włożył w kieszeń od czapraka.

Zajechałem do Macdonalda, wymijając wszystkie trzy dywizye kirassyerów, które spokojnie za piechotą maszerowały.

Macdonald zaraz mi oświadczył, że bardzo niekontent z kawaleryi i polecił mi, żebym od niego powiedział cesarzowi, iż gdyby powinność swą była wypełniła kawalerya, która za nim szła, mielibyśmy 30,000 niewolnika.

Skoro się ściemniało, piechota stanęła obozem naprzeciw Stammersdorf. Powróciłem do cesarza dopiero o 10-tej. Zastałem go przy kolacyi z generałem Berthier, już pod namiotem porządnie postawionym, nie na bębnach, jak w wilią. Zdałem raport i powtórzyć musiałem to, co mi Macdonald o kawaleryi powiedział. Cesarz nic na to nie rzekł.

Koledzy moi także byli przy kolacyi i mnie się jeszcze jeść dostało. Porachowawszy się, jeden tylko z nas zginął, Alfred de Noailles, i jeden ranny. Koni połowa zabitych była.

Pozbyliśmy się także nazajutrz jednego kolegi, księcia Salm-Kyrbourg. Ciotką jego była księżna Hohenzollern Sigmaringen, która wychowała księcia Eugeniusza Beauharnais i jego siostrę, królową Hortensyą, wtedy, gdy matka ich opuściła. Księżna Hohenzollern oddawna bawiła w Paryżu, i za to wychowanie pasierbów cesarza miała przystęp i wielką łaskę. Ona to podobno uprosiła cesarza, ażeby młodego Salm-Kyrbourg wziął na oficera ordonansu. Ten nie miał więcej jak lat 20, był bardzo próżny, nosił gwiazdę, wielki order bawarski i wielką wstęgę brał na siebie często przy najmniejszej okazji, a jako księżę udzielnny Rzeszy niemieckiej rościł sobie prawo, aby każda warta przed nim pod broń występowała i oficerom na warcie, gdy koło niej

przejeżdżał, tłumaczył swą godność. Ci oczywiście z niego się śmiali. W batalii pod Wagram cesarz go raz wysłał z rozkazem, a miał zwyczaj nowemu oficerowi ordonansu zawsze kazać powtórzyć głośno dane sobie zlecenie, ażeby się przekonać, czy go dobrze zrozumiał. Otóż podobno Salm coś tak połałamucił, czy też źle któremuś marszałkowi rozkaz oddał, że nazajutrz musiał odjechać, ale m nie wiadomo, czy go cesarz, oddalił, czy też jemu samemu ta służba się nie spodobała, dość żeśmy go już więcej nie widzieli. W jego miejsce wziął cesarz Wattevillea, który już był doświadczonym oficerem. Tylko w tym jednym przypadku miał cesarz oficera ordonansu, który poprzednio nie służył w żadnej z trzech broni. Najwięcej ich brał z artyleryi i inżynieryi. Adjutanci generałów także powinni byli dwa lata przynajmniej poprzednio służyć w regimencie, ażeby nabrali doświadczenia i byli zdolnymi dobrze oddawać rozkazy i raportować to, co spostrzegą.

O 12-tej w nocy wielka powstała wrzawa i krzyki na prawo za marszałka Davousta korpusem i nas przebudziła. Cesarz wsiadł na koń, toż i my wszyscy, i wysłał z nas kilku w tę stronę. W pół godziny lub trzy kwadransy jeden po drugim wracał i raportował, że z tej strony mnóstwo żołnierzy naszych bez broni ucieka i wszyscy mówią, że ztamtąd idzie arcyksiążę Jan. Ale cesarz, którzy z rana zaraz po przejściu mostów wysłał był w tym kierunku dywizją lekkiej jazdy ku rzece March (Morawa) z tej strony Presburga właśnie dla obserwacyi, jeżeliby arcyksiążę Jan się zbliżał dla połączenia się z arcyksięciem Karolem i mając gwardyą całą tuż za sobą, był spokojnym i położył się spać. Pokazało się, że tę wrzawę wszczęli żołnierze, którzy rozbiegli się w nocy, szukając żywności dla siebie i dla koni, a napotkawszy żołnierzy bawarskich, którzy tego samego szukali i posłyszawszy ich mówiących po niemiecku, zwrócili się i rozniesli popłoch, który aż do nas doszedł. Za godzinę wszystko się uspokoiło. Wypływa ztąd przestroga, że w nocy w pobliżu nieprzyjaciela nie można dozwalać żołnierzom rozchodzić się po żywność. Jeżeli jest konieczność, to jest, jeżeli żołnierz nic nie ma z sobą, należy w tym celu potworzyć porządne oddziały pod dowództwem jednego starszego oficera. Pod tym względem zawsze był wielki nieporządek w armii cesarza. Jeden tylko

korpus Davoust'a stanowił wyjątek i odznaczał się karnością i ładem.

Po batalii wojsko potrzebowało spoczynku niezawodnie, ale nie mniej zdziwiłem się, że nazajutrz rano 7-go cesarz nie kazał zaraz za nieprzyjacielem maszerować, co zwykle bywało. Około 8-mej z rana dopiero wsiadł na konia i kazał tylko nam dwóm, Fodoasowi i mnie, jechać za sobą, prócz nieodstępnego mameluka Rustana i dwóch chasserów. Jechał wolno przez pobojowisko. Mnóstwo naszych trupów leżało, ale spotkaliśmy także jeszcze żyjących, ciężko rannych, cesarz kilka razy się przy nich zatrzymał, wina czy wódki i po kawałku chleba dawać im kazał Rustanowi, który ten prowiant dla cesarza zawsze miał przy sobie. Zajeżdżały po rannych ambulanse i widać było wiele opatrujących chirurgów. Wkrótce Rustan na zapytanie cesarza odpowiedział, że już wszystko rozdał, co miał. Wtedy cesarz ruszył galopem i przejechał z pół mili odległości do Macdonalda. Ten, ze swego biwaku zdaleka widząc go przybywającego, siadł na konia i podjechał naprzeciw niemu. Cesarz schwycił go za rękę, przyłożył na serce i rzekł: Macdonald, tutaj powracasz, mianuję cię marszałkiem. Było bowiem od lat kilku nieporozumienie między nimi, podobno od czasu procesu jen. Moreau. Jechali razem przed front regimentu, jeśli się nie mylę, nr. 10-ty piechoty liniowej. Macdonald opowiadał cesarzowi, że to ten pułk tak dzielnie szedł w wilią na bagnety przeciw rezerwie austriackiej, że przez półtorej godziny wszystkie regimenta austriackie, które mu czoło stawić i zatrzymać go chciały, przewracał. Cesarz rozkazał, ażeby ten regiment nosił napis na swych goudonach (małe chorągiewki na drążkach do równania) jeden przeciw dziesięciu — un contre dix.

Od Macdonalda pojechał cesarz do Stammersdorf, gdzie przedpocząły nasze stały. Jest to pierwsza stacya pocztowa od Wiednia na drodze do Brenna i Pragi, leży na wzgórku, z kądem rozległym w około widok. Cesarz zsiadł tam z konia i perspektywą patrzył na wszystkie strony. Po kilku minutach spostrzegł mały oddział jazdy, a przy nim pieszych żołnierzy, przybliżających się coraz bardziej do nas. Nareszcie stanęli przed nami. Był to oficer z plutonem od strzelców konnych, wysłany na patrol przededniem, a ci kilkunastu pieszych byli

Polacy dezterterzy austriacy, którzy, jak mówił oficer, przybyli do niego z krzaków bez broni machając białą chustką. Oficer od chasserów powiedział cesarzowi, że to Polacy. Cesarz więc kazał mi ich wybadać, z jakiego są regimentu, jakiego korpusu, gdzie był ten regiment w wilią, dokąd pomaszerował? Na pierwsze pytania odpowiedzieli, ale nie wiedzieli, dokąd ich korpus pomaszerował, ponieważ w nocy w pierwszym lasku się schowali. Mówili przytem, że jeszcze dużo być musi tak chowających się, bo się często z innymi Galicyanami drugich regimentów znawiali, ażeby do Francuzów uciec. Kazał ich się cesarz zapytać, czy chcą służyć? Natośmy (rzekli) przyszli do Francuzów, bo wiemy, że mają polskie regimenta z sobą. Nie było jednak żadnego, prócz gwardyi konnej. Cesarz mi się zapytał, który z oficerów polskich, przybyłych od armii polskiej i znajdujących się jeszcze w Wiedniu lub przy głównej kwaterze, jest najstarszym. Odpowiedziałem, że generał Bronikowski, ale zarazem dodałem, iż on teraz nie zostaje w czynnej służbie, tylko jako przyjaciel towarzyszy księciu Józefowi Poniatowskiemu, służył wprawdzie za Kościuszki, ale myślę, że terażniejszej formacyi piechoty nie zna. Rzekłem nakoniec, że jest w gwardyi polskiej podpułkownik Henryk Kamiński, uczony oficer i służył poprzednio w piechocie. Wiedziałem, że on był się poróżnił z generałem Krasińskim i że chętnieby gwardyą opuścił. Wspomniałem cesarzowi, że przebywa w Wiedniu oficer z gwardyi szlacheckiej galicyjskiej, która służbę przy cesarzu austriackim pełniła i niedawno rozpuszczoną została dla tego zapewnie, iż jej nie ufano, że znam tego oficera, że się nazywa Krasicki i że, jak mi się zdaje, służba mu nie jest obcą. Cesarz kazał chasserom wynieść stolik z domu pocztowego i kilka krzeselek. Papier, atrament i pióra każdy z nas miał w matelzaczkę. W tem to miejscu w Stammersdorf 7-go lipca 1809 podyktował mi cesarz dekret formacyi 4-go regimentu nadwiślańskiego piechoty (były już bowiem trzy w Hiszpanii) i mianował w nim jen. Bronikowskiego szefem, podpułkownika Henryka Kamińskiego pułkownikiem dowódcą, a porucznika Krasickiego do pierwszej kompanii. Na miejsce do formacyi przeznaczył Augsburg. Wkrótce potem zebrało się do 3000 dezterterów, oficerów do nich przysłano z załkadu, który Legia nadwiślańska miała w Sedan.

Zaraz potem cesarz wysłał Fodoasa po sztab główny. Gdy przybyły szwadrony służbowe, które zawsze opodal za cesarzem maszerowały, wsiadł na konia, i czasem galopem, czasem stępo, ażeby szwadrony służbowe dochodzić mogły, przybyliśmy do Wolkersdorf, o dwie mile dalej na drodze do Brenna. Tam obszerny jest zamek, i gdy główny sztab przybył około 2-giej godziny z południa, główna kwatera założona została. Naokoło stanęła cała gwardya, a korpus marszałka Davousta tegoż dnia przeszedł na drogę ku Brennu i posunął się przed nas. Lewe skrzydło marszałka Masseny pomaszerowało na Stokerau. Jenerała Marmont mianował cesarz także marszałkiem. Pomaszerował on z Bawarami przed nami. Armią włoską wysłał cesarz nad Marchią naprzeciw Presburga dla stawienia czoła arcyksięciu Janowi, który dopiero teraz posuwał się dla połączenia z arcyksięciem Karolem. Było to trzy dni za późno. Dowiedziawszy się zapewne o batalii pod Wagram, zatrzymał on się nad Marchią.

W Wolkersdorf dopiero cesarz się dowiedział z raportu przysłanego Masseny, że on ma główną armią austryacką arcyksięcia Karola przed sobą, że tenże rejteruje się z Stokerau na Znaim, a zatem do Czech i że korpus Rosenberga tylko, który w bitwie pod Wagram lewe austryackie skrzydło tworzył, cofa się na Brenno. Wysłał więc marszałka Davousta za Rosenbergiem do Nicolsburg, Marmonta zaś małą drogą na lewo przez Laa ku Znaimowi. Sam poszedł z całą gwardyą za nim. Z Laa wysłał mię do Marmonta, którego zastałem już naprzeciw Znaimowi w bardzo dobrej pozycji, w której właśnie był atakowanym przez całą armią arcyksięcia Karola, bo stanął na jej boku i z położenia swego działami bił w kolumny austryackie rejterujące się na Znaim. Arcyksiążę Karol musiał zatem w prawo część wojska swego rozwinąć i starał się spędzić Marmonta z tej pozycji i byłby zapewne tego dokazał, gdyby w czasie ataku nie była Marmontowi przybyła z Laa w pomoc dywizya jego francuzka, która zajęła miejsce już chwiejących się Bawarów. Od rana samego deszcz lał, a zatem ułatwiał atakującym wzięcie pozycji, bo ogień karabinowy broniącej ją piechoty był niegęsty, ale dywizya francuzka, z Illyryi przybyła z Marmontem, mężnie wytrwała i nieprzyjaciela nie dopuściła na górę. Marmont odesłał mię z rapor-

tem do Laa, prosząc Cesarza o pomoc. Puściłem konia tyle ile mógł wyskoczyć i wkrótce stanąłem u cesarza, któremu zastałem w ciepłej kąpieli bardzo cierpiącego na kurcze. Kazał mi na kawałku papieru położenie Marmonta skreślić; ale kiedy ołówkiem przed nim nad wodą oznaczałem położenie Marmonta i Austryaków, schwycił za ołówek i mówiąc, że zna miejscowość i że tylko stanowiska obu wojsk mam mu wskazać szybko na papierze, który na książce byłem położył kreślić zaczął, wydobywając wciąż rękę z wody, pomacał papier i rysować dalej nie mógł. Kazał mi więc iść natychmiast do Berthiera, aby bez zwłoki ruszył z całą gwardyą pod Znaim, a mnie przemienić konia i na powrót udać się do Marmonta, by mu oznajmić, że gwardye do niego maszerują.

Przybywszy do Marmonta, zastałem go w tej samej pozycji, francuzka dywizya w pierwszej, a Bawary w drugiej linii, oprócz tego jedna ich brygada na lewym skrzydle, gdzie mniej było niebezpieczeństwa. Już ogień był uciął, Austryacy atakować przestali i widać było opodal kolumny ich maszerujące ściśniętym szykiem ku Znaimowi i ogrom bagażów na polu jeszcze dalej po lewej stronie tych kolumn. Deszcz wciąż padał, ale już nie tak mocno jak z rana, więc jeszcze lepiej wszystkie ruchy całej armii arcyksięcia Karola widać było. Maszerowała na Znaim w kilku kolumnach bardzo ściśniętych. Część kawaleryi już była Znaim minęła i rozwinęła się przed nami, ale naprzeciw prawego naszego skrzydła, gdzie stała dywizya lekkiej jazdy francuzkiej. Obie kawalerye stały spokojnie naprzeciw siebie i nic nie przedsiębrały. Ziemię tak deszcz rozrobił, iż trudno byłoby odbyć szarżę na niej.

Okolo 4-tej z południa usłyszeliśmy ogień działowy od strony drogi z Stokerau do Znaim. Była to tylna straż arcyksięcia Karola, która ucierała się z przednią strażą Masseny, postępującego ku Znaimowi. Marszałek Marmont kazał zaraz dać ognia z baterii najwyżej stojącej, co jednak nie miało zapewne skutku, bo Austryacy stali bardzo daleko, ale uczynił to, ażeby przednia straż Masseny dowiedziała się, że tu na boku armii austryackiej stoimy.

Okolo 6-tej godziny przybył Berthier i kawalerya lekka gwardyi. Cesarz także powozem nadszedł, wysiadł, perspektywą w kilka minut rozpoznał położenie i zawołał: »En

avant.« Już się rozpoczął ruch illyryjskiej dywizyi, już zaczęła zchodzić z góry na Znaim, gdy oficer od jazdy przybiegł z wiadomością, że książę Jan Lichtenstein do naszej jazdy przybył i prosił, aby oznajmiono cesarzowi, iż jest do niego od cesarza austriackiego przysłany. W kwadrans potem przyjął go cesarz w swoim namiocie, który ustawiono na najwyższym pagórku wśród drzew wiśniowych, bardzo pięknych. Po kwadransie rozmowy wyszedł Berthier z namiotu i wysłał rozkaz zatrzymania wszystkich ruchów.

Skoro książę Lichtenstein wyszedł z średniego namiotu, w którym był z cesarzem i Berthierem, do namiotu pierwszego w którym my staliśmy ściśnięci, bo było w nim ze sześciu generałów naszych, począł witać każdego z nich po nazwisku, musiał bowiem ich znać z poprzednich wojen, a witał bardzo uprzejmie. Udał się następnie z Berthierem do jego namiotu, który stał przy cesarskim o sto kroków. Po drugiej stronie stał taki sam jak Berthiego, oba mniejsze niż cesarski z trzech złożony jak już opisałem. Ten trzeci był przeznaczony dla podszefa sztabu, generała Monthion, który tam stał z mnóstwem oficerów do sztabu głównego należących. W namiocie Berthiego spisano artykuły zawieszenia broni. Podpisali je tylko Berthier i Lichtenstein. Zarazem kilka kopii przepisano i opatrzone temiż podpisami, a wnet potem wysłano z niemi oficerów ordynansu do korpusów odległych. Mnie cesarz zawoławszy, oddał jeden egzemplarz zawieszania broni i kazał jechać do Iglau, głównej kwatery arcyksięcia Karola, ażeby tenże dał rozkaz do wojsk austriackich przepuszczenia mię przez Brenno, Ołomuniec, Kraków do Warszawy, ostatnie bowiem wiadomości ztamtąd były, że Austriacy opuścili Warszawę i rejterowali się na Sandomierz.

Zawieszenie broni stanęło 12-go lipca. W ostatnim artykule było powiedzianem: »Co do armii w Polsce i Saksonii, wojska staną i zatrzymają się w tych samych położeniach, w jakich się znajdują.« Nie było jednak wysłowionem wyraźnie, czy mają zatrzymać położenia zajmowane w dniu zawieszania broni, to jest 12-go lipca, czy też w dniu odebrania wiadomości o niem. Cesarz prócz tego kazał mi powiedzieć księciu Poniatowskiemu, że jeśli tą razą nie uczyni jeszcze dla Polski tego, czegoby życzył, to z przyczyny, iż nie

może zrażać Moskwy, ale że pamiętać będzie szczerą pomoc, którą mu Polacy dali, a zwracając uwagę na ostatni artykuł, rzekł: Jeżeli książę Józef od 12-go postąpił dalej, to niech tłumaczy artykuł, jak gdyby w nim była mowa o pozycyi, zajmowanej w dniu odebrania wiadomości, jeżeli zaś musiał się cofnąć, to niech żąda powrotu na położenie w dniu 12-tym trzymane.

Ruszyłem z Septeuilem, który miał zawieść zawieszenie broni korpusowi saskiemu i westfalskiemu pod Dreżno. Przyjechaliśmy do wedet austriackich. Przed laskiem stały wedety piesze. Jedna krzyknęła do nas: Wer da? Ale Septeuil bardzo z temperamentu żywy, spał ostrogami i puścił cwałem konia, mówiąc: Nie trafi. Mój koń porwał się także. Wystrzeliły do nas dwaj piechury i chybiły, a my przelecieliśmy, ale na placówce powstali Austriacy, słysząc wystrzały i zatrzymać się musieliśmy. Od placówki odjeżdżał właśnie jakiś generał ze sztabem. Zatrzymawszy się i poznawszy nas po mundurach, kazał nas przepuścić. Od jego sztabu przyjechało do nas dwóch oficerów, jeden od huzarów, drugi od ułanów. Powitali nas dobrą francuzczyzną i jeden z nich zaraz mi się zapytał o generała Krasińskiego, Kozietulskiego i kilku oficerów z gwardyi polskiej. Zapytałem go, kto on jest, że go Polacy interesują, odpowiedział, że i on i brat jego też ułan Polak i że ich nazwisko Wojna. Byłem wówczas młody, żywy, nieprzyjemne mi wrażenie znaki austriackie na rodakach zrobiły, i zamiast odrzec na zapytanie, zawołałem: Toście powinni być z nami, nie tutaj. Ujrzałem łzy w oczach Wojny. A jednak nic złego nie zrobił, że służył w Austrii, kiedy tam ojciec jego był osiadłym. Młodzież powinna służyć, gdzie może, naprzód, ażeby nie była nieczynną, a powtóre, aby się czegoś nauczyła. Może tego wówczas jeszcze tak dobrze nie rozumiałem.

Dojechaliśmy razem do głównej kwatery. Jenerałowi Wimpfen, szefowi sztabu księcia powiedziałem, z czym i gdzie jadę. Napisał mi natychmiast rozkaz do Rosenberga, aby mię przez Brenno i Ołomuniec do armii arcyksięcia Ferdynanda przepuścił. Septeuil pojechał na Pragę, a moja droga nazad do Znaim na Brenno wiodła. W Znaim wzięłem pocztarski wózek i naizajutrz przed Pohobitz stanąłem. Niedaleko tego

miejsca spotkałem nasze, a później austriackie przedpocztę. Huzar węgierski zjechał z górki na drogę i zatrzymał mię, przybył zaraz podoficer, który umiał po niemiecku i rozmówiwszy się zemną, ruszył zaraz do placówki, zkąd oficer przyjechał i zabrał mnie z sobą. Rotmistrz dał mi podoficera, który towarzyszył mi aż do obozu Rosenberga pod Medryce. Na stacyi poprzedniej spostrzegłem z daleka mnóstwo kręcących się oficerów, więc stanąć kazałem, dobyłem kilka sztuk austriackich pieniędzy i prosiłem podoficera, żeby był tak grzecznym zapłacił pocztę do stacyi najbliższej a mnie obudził, skoro bryczka zajędzie, gdyż mi się bardzo spać chce i pragnąłbym się zdrzemnąć na dawnej bryczce, nim nową zaprzęga, niech przeto postyilion zostawi ją ze mną przed pocztą, a sam tymczasem popasa. Udawałem, że śpię, bo spać nie było można, tak ta bryczka żelazna była krótka, a przytem słoma spodem z niej się wytrzęsła, ale chciałem uniknąć opowiadania o zawieszeniu broni tym wszystkim oficerom, gdyż już musiałem być to samo powtarzać i temu, który mię eskortował na placówkę i rotmistrzowi. Potem jednak jeszcze na obszerniejsze wystawiony byłem zapytania od generała Rosenberga, czy też jego szefa sztabu, bo nawet się nie spytałem, z kim miałem zaszczyt mówić.

Nareszcie stanąłem w Brennie, zaprowadził mię oficer do gubernatora, ten zwał się Łazański ale na me zapytanie, odpowiedział, że nie umie po polsku. Właśnie był obiad, prosił mię siąść do stołu, przy którym wielu znajdowało się oficerów, musiałem więc znów opowiadać o bitwie pod Znaim i o zawieszeniu broni. Zaraz po obiedzie zajechała bryczka pocztowa. Siadłem do niej z oficerem austriackim, bom prosił był gubernatora, aby mi dał oficera któryby mi ułatwił drogę, gdyż za wiele czasu traciłem na tłumaczenie się każdemu dowódcy pojedynczych oddziałów wojska. Dał mi oficera bardzo grzecznego, pana Bredow, z którym się tak zaraz na pierwszej stacyi po koleżeńsku poznałem, że mu mogłem bez urazy oddać pieniądze i prosić, aby się trudnił na pocztach zapłatą i napiwnem postyilionów.

Stanęliśmy pod Olomuńcem około 12-tej w nocy, bramy były zamknięte. Pan Bredow poszedł do warty, ale nim powrócił, wyszły ze dwie godziny, które przedrzymałem. Powrócił

z pocztą nową, która znów ze dwie godziny przez pola w około miasta nas obwoziła. Nie wiem, czy ten miał taką dyspozycją z Brenna, czy też komendant w Ołomuńcu był tak ograniczonym, iż się bał oficera francuzkiego przepuścić przez miasto, i to w nocy, kiedy niczego dostrzedz nie można.

Nareszcie 15-go około 11-tej stanęliśmy w Wadowicach, gdzie była główna kwatera arcyksięcia Ferdynanda, który też zaraz przybył, bo dopiero miał ją zająć i prosił mnie na górę, gdzie mu oficer kwatere pokazał. Arcyksiążę przeczytał zawieszenie broni; skoro mu je oddałem, prosił mnie z sobą na śniadanie, zapytał zaraz o moje nazwisko i powiedział mi, że bardzo się czuł nieszczęśliwym, gdy go przeznaczono przeciw Polakom, bo to naród, za którego sprawiedliwą sprawę raczej wolałby walczyć. »Tak, jak chętniebym się był bił przeciw Francuzom, którzy nas gnębią, tak niechętnie szedłem przeciw Polakom, których sprawę uważam za sprawiedliwą i też nic mi się w Polsce nie udało.« Przy śniadaniu był tylko z nim pułkownik Neuperg. Zastępował on szefa sztabu, który albo był chorym, albo był zginął. Musiałem opowiadać arcyksięciu całą batalią pod Wagram, o której wiedział, ale bez szczegółów, a o Znaimskiej potyczce jeszcze wcale nie słyszał, więc jeszcze więcej o szczegóły się wypytywał. Ogółem więcej Neuperg mówił, niż książę, i zdawał mi się fanfaronem. Arcyksiążę skromny, prosty i dobrze wychowany.

Po śniadaniu i po wszystkich objaśnieniach, o które mi się pytał, chciałem pożegnać arcyksięcia i prosiłem go, ażeby mi dał ordonansa, lub oficera, lub nareszcie rozkaz na piśmie, iżby mnie jego posterunki do Krakowa przepuściły. Sam mi był na początku oznajmił, że książę Poniatowski tegoż dnia jednocześnie z Moskalami, czy też nieco po nich zajął był Kraków. Teraz ociągał się i zatrzymywał mnie, aż nareszcie na moje naleganie i przedstawianie, iż cesarz Francuzów nie pozwalał mitrzyć swym oficerom, choćby nawet dla przyjemności i zaszczytu, jakimi mnie arcyksiążę obdarza, otwarcie mi powiedział, że nie może mnie puścić dalej, lubo widzi podpis szefa sztabu arcyksięcia Karola, aż dopiero, gdy przybędzie oficer z głównego sztabu arcyksięcia i przywiezie mu także rozkaz zawieszenia broni.



W cztery godziny po mnie przybył nareszcie oficer od arcyksięcia Karola z temi samemi, co ja poleceniami, poczem natychmiast arcyksiążę Ferdynand mnie pożegnał; oficer, którego mi miał przydać, już był wykomenderowanym, wózek pocztowy także już od dwóch godzin stał w pogotowiu. Arcyksiążę, żegnając mnie, dodał jeszcze: »Widzi Pan, że nie wątpię, iż prawdę mi mówisz, bom wszystko Panu do dalszej podróży przygotować kazał, ale bez rozkazu od mego przełożonego przepuścić nie mogłem, — proszę wstąpić do mnie, jak Pan będziesz wracał.«

Ruszyłem zaraz z przydanym mi oficerem. Na polu w lewo za miastem wchodziły właśnie do obozu dwa pułki kirasyerów, wydały mi się w bardzo dobrym stanie. Za nimi szedł regiment huzarów. Uważałem, że regimenta kirasyerów słabe, huzarzy liczniejsi. Piechota stała obozem i ognie już paliła. W Izdebniku stał ostatni szwadron huzarów, tam mój oficer rotmistrzowi się zameldował i wkrótce minęliśmy ich ostatnie wedety. W pół godziny potem ku Mogilanom w prawo drogi głównej ujrzelśmy chłopów ścieżką prowadzących kilku żołnierzy z piechoty austriackiej, których, odebrawszy im karabiny, prowadzili ku Mogilanom, a zatem nie do austriackiej, lecz do polskiej komendy. Już też widać było ułanów naszych na wzgórku Mogilan. Spozrzegłem, że widok ten zmieszał nieco mego towarzysza. Wkrótce też ułan z naszego 6go regimentu stanął cwałem przy naszej bryczce; już był wieczór, spuściłem płaszcz z ramienia, ażeby poznał mundur francuzki. Chciałem mego towarzysza pożegnać i zostawić na ostatnim posterunku austriackim, ale mnie prosił, czyby się ze mną nie mógł dostać do Krakowa i znów ze mną powrócić, jeżeli mi to zawadzać nie będzie. Chętnie na jego żądanie przystałem, przypuszczając, że on ma na to od arcyksięcia pozwolenie. Ale przyjechawszy przed Podgórze, gdzie dowodził pułkownik Dziewanowski, nie chciał go tenże przepuścić do miasta. Musiałem go więc tam u niego pozostawić i pożegnać.

Trudno byłoby opisać uczucia, które mną owładnęły, gdy się zbliżał do Krakowa, uwolnionego z rąk obcych. Zaraz od przedmieścia Podgórze wszędzie było widać na ulicach żołnie-

rzy prowadzących się pod rękę z mieszczanami i ściskających się z nimi. Cieszyłem się także, że zobaczę Wielopolskich, krewnych mojej matki.

Stanąwszy na rynku, rzęśisto oświetlonym tak, jak całe miasto, dowiedziałem się, że książe Poniatowski jest na balu, który urządziło dla niego miasto na wielkiej sali w Sukienicach. Wolałem udać się do jego mieszkania pod Krzysztoporami i przez oficera, którego tam zastał, oznajmiłem mu, że przybyłem od cesarza.

Przyszedł niezwłocznie. Przez dwie godziny musiałem mu opowiadać bitwy pod Wagram i pod Znaim, a on znowu był łaskaw opisać mi w szczegółach marsze na Kraków, a wreszcie wejście jego tegoż samego rana do miasta. Arcyksiąże Ferdynand posłał był do niego parlamentarza, prosząc go o dwa dni spokojności, to jest jakby o 48 godzin zawieszenia broni, ażeby mógł wszystkich chorych i bagaże wywieźć z Krakowa. Książę chętnie na tę propozycją przystał, aby miasto przez gwałtowne zajęcie nie ucierpiało. Zatrzymał się więc dwa dni o pół mili przed Krakowem. Po upływie dwóch dni, to jest w dzień mego przybycia, wojsko stanęło pod bronią w paradzie i książę z całym sztabem na czele, bez żadnego oddziału przed sobą, wolnym krokiem do miasta maszerował. Lecz przybywszy naprzeciw Floryańskiej bramy, spostrzegł Kozaków w bramie i postawionych tak, jak gdyby wejścia bronić mu chcieli. Arcyksiąże Ferdynand bowiem, przymuszony opuścić Kraków, dał o tem znać księciu Galicynowi, który z 30,000 wojska przymaszerował był do Tarnowa, niby w aliansie z Napoleonem, ale nie szczerze, ponieważ nie tylko się nie bili z Austryakami, ale wyraźnie z nimi się znosili. Arcyksiąże tedy uwiadamiając Galicyna, że Kraków opuścić musi, proponował mu zapewne, iżby go obsadził. Galicyn przysłał z Tarnowa forsownym marszem brygadę lekkiej jazdy i pułk kozacki. Ponieważ poprzednio zrobił układ z księciem Poniatowskim, że wojsko polskie postępować będzie po lewym a moskiewskie po prawym brzegu Wisły, wskutek którego to układu książę cofnął był oddział, który już był zajął Lwów, więc wchodząc do Krakowa wódz moskiewski, zrywał przyjętą umowę. Dla tego też książę Józef, wezwawszy do-

wódcę Kozaków w bramie do ustąpienia i otrzymawszy od niego odpowiedź, iż tego uczynić nie może, gdyż ma rozkaz tam stać, dobył pałasza i ze sztabem puścił się galopem w bramę pomiędzy Kozaków, a piechota nasza krokiem podwójnym ruszyła za nim tak, że Kozacy do murów bramy zostali przyściśnięci. Na rynku stał maryampolski pułk huzarów, który żadnego oporu nie stawiał i wojsko nasze weszło całe do miasta. Huzary moskiewskie do domów na jednej stronie rynku się ścisnęli i tak krwi rozlewu unikniono.

Po rozmowie, około dwóch godzin trwającej, poszedł książę się położyć do drugiego pokoju, a ja w pierwszym za jego pozwoleniem na kanapie przespałem się kilka godzin. Raniuteńko poszedłem do generała Dąbrowskiego, który miał kwaterę w domu pani Michałowskiej, z domu Wielopolskiej. Tam zastałem generała Mielżyńskiego, który mi dał koszulę do przemiany, wsiadając bowiem w Znam na bryczkę, nie miałem czasu zabrać mych rzeczy. Zastałem tam także księcia Henryka Lubomirskiego, z którym później poszedłem do pani Wielopolskiej, starościny Lanckorońskiej i do margrabiów Wielopolskich. Tu przyszedł po mnie oficer od księcia Poniatowskiego z prośbą, abym się zaraz do niego udał. Zastałem u księcia generałów Fischera, Roźnieckiego i Sokolnickiego, jako też sztabowych oficerów. Książę właśnie był z przedpocztów odebrał list od arcyksięcia Ferdynanda z wezwaniem, aby ustąpił z Krakowa, ponieważ artykuł zawieszenia broni opiewa, iż korpusa w Polsce mają stanąć w miejscach, które zajmowały 12-go. Bardzo tem ci panowie byli pomieszani i niepewni, co czynić wypada. Książę raczył się do mnie odezwać, prosząc o zdanie, ponieważ jako byłem blisko przy układach o zawieszenie broni, tak też może lepiej wiedzieć powinienem, jak przy cesarzu wspomniany artykuł tłumaczono. Odpowiedziałem: Mnie się wydaje, iż Kraków jest tak ważnem stanowiskiem, że książę nie możesz go opuszczać bez wyraźnego rozkazu od cesarza. Nie chciałem wspominać, jaką rzeczywiście dał mi cesarz instrukcyą w tym względzie. Mógłbym o niej przemilczeć, gdyż mi on nie nakazał wyraźnie powtórzyć jej księciu. Wolałem przeto od siebie tylko tę uwagę uczynić, bom widział, że i tak książę mniej się waha, niż przytomni generałowie. Kazał zaraz książę napisać do cesarza z zapytaniem, ale gdy mu przyszło na myśl,

iż jego oficera nie przepuszczą Austriacy prostą drogą na Ołomuńiec i Brenno, zapytał się mnie, czy mogę zaraz wracać do cesarza. Przystąpiłem na to, prosząc go tylko, aby kopią zawieszoną broni przy sobie zatrzymując, posłał oryginał przezemnie przywieziony Galicynowi do Tarnowa. Nie miałem wprawdzie na to rozkazu od cesarza, lecz gdyby cesarz o przybliżeniu się Galicyna był wiedział, byłby niezawodnie jemu także jeden egzemplarz wręczyć polecił. Książę kazał natychmiast kopię napisać, a z oryginałem adjutanta swego do Tarnowa wysłał.

Siadali właśnie do stołu, alem ja prosił księcia, aby mi wolno było pójść na obiad do mojej siostry ciotecznej p. Wincentowej Wielopolskiej. Tam za staraniem jednego z adjutantów księcia zaszła po mnie bryczka. Wyjechałem około 3-ciej z południa, a około 8-mej stanąłem u arcyksięcia Ferdynanda w Wadowicach.

Po drodze spotykałem korpusa austriackie w obozach między Izdebnikiem a Wadowicami, a więc już się posunęły były ku Krakowu. Powiedziałem arcyksięciu, że gdyby chciał wejść do Krakowa, książę Poniatowski broniłby miasta i miałby pomoc całej ludności, a mieszkańcy, jeżeli nie na polu, to z domów dobrze bronić się będą. Przyjęli oni tak swoich, że niezawodnie wzięliby się bardzo szczerze do obrony. Zresztą mowa tylko być może o obronie Podgórze, ponieważ dalej nigdyby się arcyksiążę nie dostał, bo w najgorszym przypadku, po wyparciu z Podgórze, Polacy oczywiście znieśliby most na Wiśle. Dodałem, że i tak mi się wydaje, iż prawdopodobniej będzie rozprawa z tej tu strony Wisły, bo książę Poniatowski uważa układ z księciem Galicynem za zerwany przez przybycie Moskali do Krakowa, a więc swój korpus na prawym brzegu rozłożył. Zresztą wiozę list do cesarza z zapytaniem od księcia, który oczywiście bez wyraźnego rozkazu z Krakowa nie ustąpi. Arcyksiążę nie zdawał mi się z tego być niekontent, ale widziałem z daleka, że się Neuperg na to dąsał.

W pół godziny zaszła z poczty inna bryczka i dalej ruszyłem. Znów w Ołomuńcu czekałem dwie godziny przed Glacis, gdzie stała warta. Przybył nareszcie oficer z pocztą i znów mię obwiał w około miasta; — tą razą był dzień,

więc gdyby kto mógł tak prędko powziąć o fortyfikacjach twierdzy zupełne wyobrażenie, to łatwiejby mu to przyszło, jadąc w koło miasta, jak przez miasto. Jadący też ze mną oficer przyznał mi, że ostrożność ta była źle wyrachowana. Ołomuniec, tak dawna forteca, że zapewne cesarz, który już był w tych okolicach w roku 1805-tym, dokładny jej plan mieć musiał.

Na ostatniej stacyi Stammersdorf nie znalazłem już wózka. Wygodnie mi przeto było, że nie miał żadnych rzeczy z sobą.

Wsiadłem na konia i tem prędzej przez mosty i Wiedeń zajechałem do Schoenbrunn. — Gdzie wojsko polskie? — zapytał mnie cesarz. — W Krakowie. — O, jak matka, ojczyzna się raduje! (*comme la mère patrie se rejouit!*) — te były słowa, któremi na to ozwał się do mnie. A potem wypytywał się o wszystkie szczegóły, ale gdy mu powiedziałem, że brygada moskiewska weszła była do Krakowa, zwrócił całą swą mowę na korpus Galicyna. Musiałem mu wyznać, że u Galicyna nie byłem, tylko przez oficera posłałem mu zawieszenie broni. Rozgniewał się szczerze i kazał mi iść do kozy, kilka razy powtarzając: Kiedy wysyłam oficera, to na to, aby wszystko widział, a osobliwie w tym przypadku mogłeś się domyśleć, jak interesującym dla mnie byłby raport o korpusie moskiewskim.

Poszedłem skonfundowany na górę. Tak byłem zmęczony, że zaraz zasnął. Nazajutrz dopiero o 10-tej, gdy jeden z moich kolegów przyszedł zawołać mnie na śniadanie, przypomniałem sobie, że w kozie i prosiłem go, ażeby się zapytał generała Savary, zastępującego Caulincourta, który przynajmniej co do administracyi był naszym przełożonym, czy jestem w areszcie prostym, czy forsownym. Zapytał się jen. Savary cesarza i wnet ów kolega, Talhoust, powrócił do mnie z uwiadomieniem, że cesarz zniósł mój areszt. Areszt prosty był taki, że broni nie oddawało się i nie wychodziło się tylko na obiad lub śniadanie. Areszt zaś *forcé* zależał na tem, iż oddawało się pałasz i nie wolno było całkiem wychodzić.

W drodze bardzo mało jadłem, ale i do Schoenbrunn przybywszy zupełnie jeść nie mogłem tak, jak gdybym przełknąć nie mógł. Zapewne życie przez kilka miesięcy nieregul-

larne, jedzenie najczęściej zimne po drodze, osłabiły żołądek. Musiałem poradzić się Iwana, zwyczajnego doktora cesarza. Znalazł on nietylko żołądek, ale i piersi osłabione. Kazał mi zawsze przed jedzeniem wypić filiżankę rumianku, a później, skoro żołądek się ustali, brać kuracją osłego mleka, którą po zawartym pokoju odbyłem w Paryżu.

Bawiliśmy jeszcze w Schoenbrun cztery tygodnie podczas układów o pokój. Życie było zwyczajne. Najznaczniejszym z tego czasu wypadkiem był zamach na życie cesarza przez niemieckiego studenta, ale nie Austryaka. Przybył on z Północnych Niemiec do Schoenbrun w tym zamiarze. Wcisnął się pomiędzy widzów, którym nie broniono wchodzić na dziedziniec dla przypatrywania się parodom codzień przed pałacem odbywającym się. Żandarm gwardyi schwycił go w chwili, kiedy wysuwał się z pomiędzy tłumu ku cesarzowi, rękę prawą trzymając za surdudem na piersiach. Znaleziono przy nim i odebrano nóż długi. Student przyznał się, że chciał cesarza zabić jako tyrana Niemiec. Rozstrzelano, czy też powieszono go po kilku dniach indagacyi.

Powróciliśmy do Paryża. Po sześciu tygodniach odzyskałem zdrowie zupełnie i odjechałem do Rambouillet do cesarza. Tam on bowiem przebywał po rozłączeniu się z cesarzową Józefiną i po postanowieniu wejścia w powtórne śluby w nadziei, że Francyci da następcę tronu.

Było nas w Rambouillet dwóch na służbie. Jednego dnia kazał cesarz zawołać nas obydwóch. Do mnie rzekł: Wysyłam cię z misją do Petersburga, a ciebie (dodał, obracając się do Fodoasa) do Madrytu. Dziwnem mi się wydało, że mnie chce cesarz do Rosyi wysyłać i odważyłem się zrobić mu tę uwagę: Mnie, Najjaśniejszy Panie, Polaka do Petersburga? Masz racją, — odpowiedział, — więc jedź do Madrytu, do mego brata. Zaczem dał mi całą instrukcyą, którą sekretarz Fain był napisał, tylko nazwisko kazał odmienić, a potem cesarz dał mi jeszcze ustnie dodatkową instrukcyą.

Powróciłem do Paryża po rzeczy, bo tak pilnie nie było, ale jeszcze tejże samej nocy wyjechałem. Z Bajonny, Wiktorii, Burgos i Madrytu przesłałem raporta sztafetami wojskowemi wprost adresowane do cesarza o siłach wojsk naszych.

Króla Józefa uwiadomiłem, że cesarz już teraz nie przybędzie, lecz życzy sobie, aby poruszenia naprzód rozpocząć kazał. Armia hiszpańska zbliżała się bowiem ku Madrytowi. Ale polbitą została pod Occana. Dywizya z trzech regimentów polskich Księstwa Warszawskiego złożona, z 2-go, 7-go i 9-go, zdecydowała tę bitwę. Pułkownikami tych regimentów byli: Potocki, Sobolewski, a 9-go, w którym służyłem 1806/7, książe Sułkowski. Regiment ułanów Konopki wpadł z boku na rejtującą się piechotę hiszpańską. Nie wiem, czy sam ten regiment zabrał tyle niewolnika, czy też wszystkich wziętych Hiszpanów razem prowadzono, dość, że oddział tego regimentu przywiódł blisko 10,000 niewolników z Occana pod Madryt.

Wróciwszy do Paryża, nie zastałem tam cesarza, ale w Compiegne, gdzie czekał na przybycie arcyksiężnej Maryi Ludwiki, z którą w imieniu jego Berthier wziął ślub na granicy austriackiej i wraz z królową neapolitańską, Karoliną Murat przywiózł ją do Compiegne. Cały czas byłem tamże na służbie.

W tydzień po jej przybyciu do Compiegne, ślub ceremonialny odbył się w Paryżu w galerii Luwru z wielkim przepychem. Ogon sukni młodej cesarzowej trzymało sześć pań panujących: królowa hiszpańska, królowa neapolitańska, królowa westfalska, córka króla wirtemburskiego, królowa holenderska, wicekrólowa włoska, córka króla bawarskiego, i Eliza Bacciochi, najstarsza siostra cesarza.

Królowie i księżęta niemieccy wszyscy także byli przytomni w Paryżu, również i król saski, a nasz książe warszawski, najzacniejszy z wszystkich. Bale u dworu, u dygnitarzy państwa następowały codzien, jedno po drugim. Ambasador austriacki, książe Schwarzenberg, kazał salę wybudować w ogrodzie i przepysznie wystroić. Bal się zaczął o 11-tej a około 12-tej zapaliła się gaza, która przykrywała złocistą materję obicia, i wkrótce cała sala stanęła w ogniu. Książe Schwarzenberg i całe poselstwo otoczyli cesarza i cesarzową i wyprowadzili ich szczęśliwie, ale goście, cisnąc się do drzwi, powywracali jedni drugich tak, że kilka dam i poseł moskiewski, książe Kurakin, bardzo się poparzyli. Księżna Schwarzenberg zaraz umarła, wiele innych osób w kilka dni i po tygodniu życie postradało.

Książę Kurakin był to bardzo majątny magnat moskiewski. Wybrano go ambasadorem zapewne dla tego, że miał majątek do reprezentacji. Interesa rzeczywiście odrabiał Nesselrode, którego prawie co wieczór widywałem po towarzystwach. Z nim był przy poselstwie Krüdener, syn sławnej pani Krüdener, i Boutiakin, Ukrainiec, z którymi bardzo dobrze się zapoznałem. Byli oni wszyscy nieprawdziwi Moskale, spokojnie i zdrowo o rzeczach sądzili. Znałem się także z popem ambasady, nie wiem, czy był dobrym teologiem, ale dobrym mi się wydawał człowiekiem, brałem od niego lekcye języka rosyjskiego, przychodził do mnie trzy razy na tydzień. Był to czas, w którym z Moskalami widywałem się więcej, niż kiedykolwiek, i tylko wtedy, a uczyłem się języka, sądząc, że mi się przyda w wojnie, na którą już się zanosilo.

W miesiąc po ślubie cesarz awansował nas wszystkich oficerów ordonansu na podpułkowników i do regimentów przetrzymał, — mnie do gwardyi polskiej. Cesarz nam zostawił prawo, które mieliśmy będąc oficerami ordonansu, to jest, że nam wolno było, kiedyśmy chcieli, wchodzić do niego z rana, w czasie, gdy wydawał rozkazy na dzień bieżący. Otóż odebrawszy nominacyą do gwardyi, poszedłem zaraz nazajutrz do cesarza i prosiłem go, aby mnie rozkazał umieścić w pułku ułanów Konopki. Cesarz zapytał mnie, dla czego. Odpowiedziałem, iż dla tego, że ułani Konopki są na linii bojowej, a regiment gwardyi w Chantilly. Cesarz mi na to: I gwardya bić się będzie, a ciebie chcę mieć niedaleko. Nie było rady, musiałem podziękować i udałem się do Chantilly. Przez cały czas mego tam pobytu generał Krasiński był dla mnie bardzo uprzejmym.

W Chantilly służbę także tygodniowo odbywaliśmy, ale tylko nas dwóch było, Koziatulski i ja, bo w tymże czasie Tomasz Łubieński odkomenderowanym został do Sedan dla formowania nowego regimentu polskiego ułanów, który przybrał nr. 8 w wojsku francuzkiem, a Stokowski dostał pułk Konopki, który awansował na generała. Sześć regimentów przeformował cesarz z dragonów na ułanów, ztąd pułk Konopki przybrał nr. 7, a Łubieńskiego nr. 8.

Zazwyczaj przepędzałem tydzień w Chantilly, a tydzień

w Paryżu, i często nawet w zimie Koziętulski w moim tygodniu mnie wyręczał tak, żem mógł w Paryżu dłużej bawić. Mieszkałem u przyjaciół mych Caramanów, tam miałem konie i rzeczy i kiedy regiment na paradę do Paryża przychodził, wyjeżdżałem tylko naprzeciw niemu do baryery, aby z nim razem maszerować do miasta. Tak przeszła zima 1810/11, ale z początkiem wiosny, gdy mustra i manewry się rozpoczęły, bawiłem wciąż w Chantilly.

We wrześniu 1811 roku wykomenderowany zostałem z 150 naszymi chevauleżerami i 150 chasserami gwardyi do Boulogne, gdzie cesarz miał przybyć i wkrótce też przybył. Stała tam jedna dywizya w obozie tym samym, z którego w r. 1804 ruszyła cała armia, przygotowana niby na statki do Anglii, a ruszyła pod Ulm i Austerlitz, a w r. 1806 pod Jena. Stało także w Boulogne kilka set statków, które do przewozu do Anglii były przeznaczone.

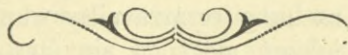
Cesarz odbył manewra z dywizyą, a potem siadł na jeden statek, rozkazawszy mi wziąć z sobą 50 chasserów, a całą flotylę wyjść z przystani na morze. Była cisza z rana zupełna, więc wiosłami bardzo dobrze można było kierować. Ale koło południa powstał wiatr zachodni i pokazały się trzy statki angielskie, jedna fregata i dwa brygi. Rozwinęły żagle i od zachodu tak prędko się posunęły ku Boulogne, że wpadły pomiędzy nasze ostatnie statki i dwa, po 40 ludzi na każdym, zabrały. Byliśmy z cesarzem już w przystani, ponieważ skoro fregata angielska z daleka się ukazała, wiceadmirał dał rozkaz całej flotylę cofnięcia się do portu.

Z Boulogne po 25 koni eskortowało cesarza do Fleesyngi. Tam stało 14 okrętów liniowych i 4 fregaty. Zostaliśmy na brzegu. Cesarz jedną noc przepędził na okręcie liniowym: »Miasto Warszawa.« Nazajutrz oglądał wszystkie okręta, a po obiedzie ruszył do Antwerpii, dokąd przymaszerowaliśmy dwa dni po nim, a po upływie dwóch dni znowu wyszliśmy przed nim do Amsterdamu.

Tymczasem Koziętulski przybył z swym oddziałem, złączyłem się z nim pod Utrecht i jako starszemu, komendę oddałem.

Z Amsterdamu cesarz z szwadronem naszym i drugim chasserów zwiedził zatokę aż do Texel i Helder, z kąd znowu wrócił do Amsterdamu. Myśmy ztamtąd pomaszerowali znów przed nim na Nimwegę do Dysseldorfu, gdzie kilka dni zabawiwszy, wrócił do Paryża, a my także drogą na Akwizgran i Liege. Całą tę podróż, prócz wycieczki do Boulogne, odbył z cesarzową, która wprost z Paryża do Antwerpii przybyła.

Zima 1811/12 przeszła mi tak, jak poprzednia i głównie w Paryżu. Mówiono wiele o wojnie przeciw Rosyi, ale dopiero w maju się zdecydowała i myśmy wymaszerowali na Reims, Verdun, Moguncyą, Drezno, Głogów do Poznania.



## ZIMA PRZED WOJNĄ 1812 ROKU.

---

Zimę z 1811 na 1812 bardzo wesoło przepędziliśmy w Paryżu. Zdaje się, że cesarz po powrocie z Holandyi chciał daleko młodszą od siebie małżonkę bawić i dla tego dzień w dzień bywały bale, to w Tuileryach, to u sióstr cesarza lub u królowej Hortenzyi, która nosiła jeszcze tytuł królowej holenderskiej, chociaż Holandya już do Francyi przyłączoną była, i królestwo to dziwną rachubą cesarza skasowane, --- dziwną, mówię, rachubą, bo jakżeż mógł on się spodziewać w ludziach uszanowania dla monarchy, których dziś wznosił, jutro strącał lub przemieniał na inne trony, jakby jakich urzędników.

Prócz tych balów u rodziny cesarskiej, bywały także u wszystkich ministrów francuzkich i posłów zagranicznych, nawet u posła moskiewskiego, księcia Kurakina, chociaż już bardzo o wojnie z Moskwą mówiono, dla tego, że cesarz Aleksander nie chciał, czy nie mógł dotrzymać układu w Erfurcie z cesarzem Napoleonem zawartego, a którego głównym warunkiem było zamknięcie portów rosyjskich handlowi angielskiemu. Znałem się z kilkoma członkami tego poselstwa. Sam książę Kurakin, bardzo majątny bojar, był tylko dla reprezentacyi. Głową ambasady stanowił Nesselrode, którego prawie codzień widywałem w poufałem i z niewielu osób złożonem towarzystwie. Bardzo on trafnie rzeczy widział i dowodził, że Rosya nie może się obejść bez handlu z Anglią i że zamknąć go zupełnie nie jest w mocy cesarza Aleksandra. Był także przy poselstwie młodszy od Nesselrodego Butiakın, bardzo się zawsze do mnie zbliżał i twierdził, że pochodzi z dawnej litewskiej rodziny, że jego rodzice mają dobra na Ukrainie i więcej

za Polaków, jak za Moskali się uważają. Z młodym Krüdener z tegoż poselstwa dobrze się poznałem. Był to syn sławnej pani Krüdener, protestantki pietystki, która później tak wielki wpływ na cesarzu Aleksandrze wywierała. Zapomnieć o Czerniszewie nie powinienem, bo wtedy on wiele hałasu narobił, przekupiwszy dwóch biednych sekretarzy z ministerjum wojny, którzy mu stan wszystkich korpusów armii francuzkiej wydali. Z tymi Czerniszew tak prędko wyjechał, że rozkaz telegrafem posłany, aby go na granicy aresztować, doszedł, gdy już granicę minął. Zręczny do podobnych rzeczy, tenże Czerniszew, zostawił pomiędzy nami, którzyśmy go chwilę jedną w ogniu w r. 1809 pod Aspern widzieli, smutną i nie-pochlebną dla oficera pamięć.

Nareszcie, kiedy już wzmiankuję wszystkich Moskali, których podówczas widywałem, wspomnieć także muszę popa, który trzy razy na tydzień do mnie przychodził i dawał mi lekye języka rosyjskiego. Musiano, wysyłając za granicę, wybrać popa z najporządniejszych. Miał on dowcip naturalny, ale żadnej nauki, zgoła był we wszystkim człowiek ograniczony.

Nareszcie w kwietniu wojna z Rosyą zdawała się pewną, wymaszerowaliśmy z naszego garnizonu w Chantilly pierwszych dni maja na Reims, Verdun, gdzie bawiący Anglicy tak się zaprzyjaźnili z naszymi oficerami, iż mówili, że życzą zwycięstwa Francuzom, nie Moskalowi, aby naszą ojczyznę odbudowali. Poznałem tam lorda Blanczy, lorda Bogle i innych kilku.

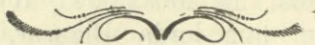
Ztamąd poszliśmy na Longwy do Luksemburga. Jest to bardzo mocna twierdza i wymaga znacznej załogi. Przybył tam do nas generał Konopka. Odtąd kraj bardzo piękny, zwłaszcza koło Trewiru śliczne widoki. Z Moguncyi pojechałem pocztą. W Dreźnie zabrałem siostrę i przybyłem do Turwi, gdzie dziesięć dni zabawiłem. Powróciłem naprzeciw pułku do Głogowy i przemaszerowałem do Wschowy. Ztamąd cały sztab pułku i wszyscy oficerowie przybyli do mego ojca do Turwi, gdzie tańczyliśmy noc całą.

Na początku czerwca przybyliśmy do Poznania. Zdaje się, że było już zapóźno, ażeby w tym samym roku wojnę z Moskwą rozpocząć, tem bardziej, że korpusy zewsząd dopiero się zbierały. Nad Bałtykiem maszerował korpus pruski, a za-

tem tworzył lewe skrzydło armii, zaś prawe stanowił korpus austriacki. Tak późne wybranie się na wojnę i cały rozkład wojsk widocznie wskazywał, że cesarz chciał tylko cesarza Aleksandra i Moskali zastraszyć, wystawiając czterokroć sto tysięcy na ich dwakroć. I dla tego też może Prusaków i Austriaków pozostawił na skrzydłach, a przecież musiał wiedzieć, że na ich szczery współdział w wojnie rachować nie mógł. Żeby był pragnął i miał pewność wojny, byłby ich pewnie trzymał w środku między korpusami francuskimi i polskimi.

Skorośmy przyszedli do Wilna, jawniej się jeszcze okazało, że cesarz nie chciał wojny. Nie przestawał on negocjować z Aleksandrem. W Wilnie dwa tygodnie staliśmy nieczynnie. Dopiero, gdy się cesarz przekonał, że cesarz Aleksander nie zarwie pokoju pod warunkami, jakie mu podawał, zmuszonym się zobaczył do wojny i dał się w tak późnej porze roku wciągnąć w głąb Rosyi.

Po tym wstępie wracam do Poznania.



## WOJNA 1812 ROKU.

Gwardya cała kantonowała w około Poznania, z naszej brygady strzelcy konni stali w Owińskach, my zaś w Murowanej Goślinie. Bywały bale w okolicy, jeden u mojej ciotki w Łopuchowie. Tam odebrałem rozkaz w trzysta koni, 150 strzelców i 150 naszych, w podwójnych marszach rozstawić pikiety od Torunia aż pod Gdańsk. Wymaszerowałem zaraz. Pierwszego dnia stanąłem pod Gniezmem, drugiego za Mogilnem, trzeciego dwie mile za Inowrocławiem. Tu oddział mój prawie cały po wsiach przy drodze został rozkwaterowany. Mnie z kapitanem, dwoma oficerami i jednym plutonem przeznaczono Kaczkowo, gdzie był pałac, ale tylko mała wieś. Przybywszy przed bramę dziedzińca, zastałem furyera, który mi oświadczył, że w pałacu stoi major wyrtemberski z 5-ciu oficerami, kompania zaś ich cała w stodołach i że major powiedział mu, iż nas nie puści tam na kwaterę. Wmaszerowałem w podwórze mimo dwóch Wyrtemberczyków, którzy w bramie z bronią na warcie stali i niby wpuścić nas nie chcieli. Zsiadłem z konia, pluton uczynił też samo, wszedłem do pałacu i do pokoi na dole, gdzie stali ci oficerowie wyrtemberscy. Nosili oni szlify wyższej rangi, niż ta, którą w istocie posiadali, i tak na przykład majorowska szlifa znaczyła kapitana. Wiedząc dobrze o tem, przemówiłem do tego, którego oni majorem dla dodania mu powagi tytułowali: kapitanie i wytłómaczyłem mu grzecznie, że forsownymi marszami idziemy dla rozstawienia pikiet dla cesarza, że jutro o 3-ciej z rana pójdziem dalej, że zatem konie nasze potrzebują wygody i proszę go uprzejmie, żeby nam stajnię napełnioną ich końmi na

tę noc odstąpił, a zresztą niczego nie potrzebujemy i w niczem nie przeszkadzimy. Nie wstał nawet przedemną i kwaśnie odpowiedział, iż tego nie uczyni. A więc (rzeknę) kapitan poszlij ludzi, żeby konie łapali, ponieważ ja je wyprowadzić i popuszczać każę. Wyszedłem i kilku żołnierzom zaraz to uczynić rozkazałem, a sam dowiedziawszy się od furyera, iż pani kasztelanowa Dąbska jest na górze, poszedłem do niej i zastałem ją z córką w ostatnim gabinecie. Bardzo mię uprzejmie powitała, mówiąc: Czemże ja panów przyjmę, kiedy Wyrtemberczyki całą spiżarnią sobie przywłaszczyli, żołnierze ich tam na dole im gotują, a nam tu na górę ludzie nasi ukradkiem prawie chleb przynoszą — mam jeszcze trochę kawy i herbaty i tak od pięciu dni żyjemy, a w ciągłej obawie pożaru, bo oni na dole ogień palą na podłodze i gotują. Uspokoiłem te panie, jak mogłem. Miałem z sobą kuchcika na koniu, który prowadził drugiego konia z jukami naładowanemi wszystkim, co do jedzenia potrzeba i w Inowrocławiu kupić był dla nas mięsa i chleba. A więc (ozwałem się) ja panie proszę na wieszczę.

Wkrótce wszedł porucznik Lubański i raportuje mi, że gdy konie wyrtemberskie z stajni wypuszczono i nasze wprowadzono, kilku Wyrtemberczyków wlaźło na dach słomiany tej stajni i poszycie obdzierać zaczęło i że jeden z naszych chevauleżerów wszedłszy po drabce za nimi, zrzucił jednego z dachu, który się rozbił na bruku przed stajnią i tak zaczął krzyczeć, że kapitan wybiegł z pokoju i z dobytą szablą wpadł na naszego chevauleżera, że wreszcie wachmistrz Smólski, który właśnie w stajni furaż rozdzielał, wyszedł ku niemu, szpadę mu z rąk wyrwał, na kolanie swoim złamał, mówiąc po niemiecku: Naucz się jej pan na co innego używać! — poczem kapitan wrócił ze wstydem do domu i więcej się już nie pokazał.

Po tem zdarzeniu obawiałem się, żeby Wyrtemberczyki, skoro nazajutrz wymaszerują, nie zemścili się na pozostałych tam paniach, albo żeby folwarku nie spalili. Przechodząc przez Inowrocław, widziałem, że tam stoją kirassyery francuzkie, a wiadomem mi było, iż nimi komenderuje generał Sebastiani. Do niego więc napisałem zaraz o postępowaniu Wyrtemberczyków i o naszym zejściu z nimi, prosząc go, iżby

przysłał tu przed 3-cią z rana szwadron na kwatery dla ochronienia mieszkańców od zemsty.

Pani Dąbska od pięciu dni z córką nie opuszczała pokoju. Pozwoliła więc, żeby z nami córka po ogrodzie się przeszła. Wszędzie Wyrtemberczyki budy w ogrodzie pod drzewami porozstawiali, ognie palili i gotowali różne swoje przysmaki tak, że smród wielki rozchodził się na około. Nie było lepiej w pokoju, w którym oficerowie siedzieli. Poczulem tam podobnyż zaduch i smród, znać, że coś tłustego smażyli.

Znalazł się kucharz pani Dąbskiej i wspólnie z moim kuchcikiem wieczereć nam zgotował. Siedzieliśmy przy stole, była może 9-ta wieczorem, gdy wszedł do pokoju Lavoistine, adjutant jen. Sebastianiego. Za ledwie wyszło cztery godziny od wysłania mego listu do jenerała. Lavoistine był to młody oficer, przyjemny i wesoły, znał mię z Paryża, tak się do nas teraz spieszył, że jak mi mówił, w godzinę przeleciał dwie mile z Inowrocławia. Oświadczył mi od jen. Sebastianiego, że przed 3-cią z rana stanął w Kaczkowie szwadron kirysyerów, aby Wyrtemberczyki niczego złego się nie dopuścili i że już posłał raport do marszałka Ney'a, w którego korpusie oni byli. Lavoistine bardzo zmęczywszy konia, został z nami na noc. Bawiliśmy do 12-tej i pani Dąbska zupełnie z strachu się otrzęsała przy wesołości Lavoistina.

Upewniony, że kirysyery przyjdą, kazałem zwołać chłopów, których kilkunastu z okolicy znajdowało się w Kaczkowie, jedni nie chcieli odstąpić swoich wozów i koni w nadziei, że je im oddadzą, drudzy musieli Wyrtemberczykom rąbać drzewo na ogień i różne robić posługi. Kazałem im się rozbiedz po wsiach, z których Wyrtemberczyki byli zabrali konie i bydło, ażeby właściciele tychże przybyli do Kaczkowa przed 3-cią z rana, a wszystko, co im wzięto, będzie im zwróconem.

Pożegnawszy o 12-tej te panie, położyliśmy się spać na dwie godziny, ale już przededniem trębacze z daleka zapowiedzieli nam, że się nasze w tyle stojące oddziały i kirysyery zbliżali. Chłopi z okolicy jeszcze w nocy się zbiegli. Każdy już przy swoim stał i nim na koń trąbić kazałem, wszyscy w cztery strony z wozami i bydłem uciekali. Kapitan kirysyerów naprzód przybył, zameldował się i rzekł do mnie:

Bądź pułkownik pewien, że tu nie złego nie dopuszczę, — i dodał na Wyrtemberczyków epitety, których nie ma potrzeby powtarzać.

Pomaszerowaliśmy do Torunia. Dopiero w Chełmży po-  
paśliśmy konie. Wieczorem w Grudziądzu stanęliśmy. Kraj  
to zupełnie płaski, maszerowaliśmy więc prawie wciąż kłusem.  
Jazda gwardyi najczęściej szła kłusem, kiedy tylko droga  
była równą, nawet kiedy trochę podnosiła się w górę, ale  
z góry zawsze szliśmy stępo, często nawet zsiadaliśmy i pro-  
wadziliśmy konie. Zazwyczaj z miejsca maszerowaliśmy go-  
dzinę stępo, potem stawaliśmy na 10 minut, zsiadali z koni,  
dawali im się wymokrzyć i popregi u kulbak przyciągali, bo  
po godzinie marszu koń cokolwiek brzucha traci i popregi się  
opuszczają, wypada je zatem przyciągnąć. Siadłszy na koń  
znowu i kilkaset kroków odbywszy stępo, puszczaaliśmy w kłus  
kiedy była droga po temu i dwie godziny wciąż kłusowaliśmy.  
Tym sposobem zdołaliśmy podwójne odbywać marsze. Kiedy  
kilka szwadronów razem idzie, należy w marszu kłusem za-  
chować między szwadronami ustępy najmniej po 100 kroków,  
ażeby każdy tak, jak gdyby był osobno, mógł równy kłus mały  
utrzymać i nigdy nie stawać. Przez pochód kłusem nie tylko  
że się na czasie zyskuje, ale i tę osiąga korzyść, że żołnierze  
nie zasypiają tak, jak maszerując stępo, a kiedy jeździec drze-  
mie na koniu, to się kiwa i konia odparza, odsednia.

Przed miejscem, gdzieśmy stanąć mieli, furyery zawsze  
wychodzili naprzeciw nas i rozdawali już po drodze kar-  
teczki kwaterek tak, że żołnierze wprost na kwatery  
konie prowadzić mogli i żaden nigdy w tył nie szedł. Toż  
samo przy wymarszu — wszyscy zbierali się zawsze na  
drodze przed miejscem, gdzieśmy stali, od strony, w którą pro-  
wadził marsz następny tak, że znowu żaden żołnierz w tył  
nie wracał. Z młodymi żołnierzami nie można tego robić.  
Należy z nimi przymaszerować na plac stósowny, tam im  
kartki rozdać i nazajutrz przed wymarszem na tem samem  
miejscu się zebrać. W gwardyi wszystko doświadczeni byli  
żołnierze, można więc ich było pojedynczo puszczać bez dozoru  
i zawsze znaleźli się wszyscy tam, gdzie należało. Oczywiście,  
gdyśmy maszerowali sposobem, jaki opisałem, konie i lu-

dzie jak najmniej się męczyli, każdy tylko tyle drogi odbywał, ileby sam jeden podróżując, odbyć musiał.

Staliśmy w Grudziądzu z godzinę przed wieczorem. Rozebrałem się z munduru, wziąłem surdut i furażerkę i poszedłem ku twierdzy. Kapitan strzelców francuzkich miał kwatery obok mojej, napotkałem go i razem poszliśmy twierdzę obejrzeć, która leży zaraz za bramą na lewo, nad Wisłą. Doszedłszy do glacis (stoku), znaleźliśmy dwóch żołnierzy na warcie, którzy nie chcieli nas wpuścić. Jeden z nich zawołał na podoficera, który zaraz przybył i oświadczył, że do wniścia nieodzownem jest pozwolenie komendanta. Powiedziałem mu, kto jestem, ażeby poszedł zameldować i prosić o pozwolenie wejścia dla mnie i dla kapitana. W pięć minut słyszemy uderzenie w bębny i nadchodzi komendat pułkownik z drugim oficerem. Spozstrzegłem, iż się zdziwił, ujrzawszy nas w surdutaх i furażerkach, bo on sam był we fraku z szlifami i przy broni, ale prosił nas wejść i obiecał pokazać wszystko, co będziemy chcieli. Gdyśmy przechodzili bramą wałową, warta stanęła do broni, a prócz tego spostrzegłem, że się na placu cały garnizon zbiera. Na me zapytanie, po co to stawanie pod bronią, komendat odpowiedział, iż jest rozkaz dany raz na zawsze, aby pod broń występować, kiedy sztaboficer wchodzi, a przeciwnego nie da znaku. Przeprosiłem go bardzo, żeśmy w surdutaх, bez broni, bom nie miał zamiaru zrobić mu wizyty aż nazajutrz, a myśleliśmy, że w czasie pokoju wpuszczają do twierdzy bez pozwolenia. Nazajutrz raniuteńko ubrałem się w parady z jednym oficerem i poszedłem do komendanta; widocznie był z tego bardzo kontent i nadzwyczaj grzeczny.

Forteca tworzy półkole nad Wisłą. Są trzy bastiony i dwa półbastiony oparte o okopy, tworzą fort systemu Montalemberta. Ku miastu jest także okop. Wszystkie okopy bardzo mocne — kazamaty doskonałe. Wszystko to robi z Grudziądza bardzo mocną twierdzę, która zupełnie panuje nad Wisłą. W Kwidzynie byłem 3-go — zastałem tam kilku znajomych Prusaków. 6-go eskortowałem cesarza do Sztumu.

Dogoniliśmy oddział pod Kwidzynie. W Kwidzynie tylko jeden pluton pozostał. Cztery inne, które miałem pod komendą, wyszły do Malborka, Tczewa, Pruszcza i Gdańska.

Wszystkie po przejeździe cesarza i od Torunia i od Gdańska miały rozkaz zebrać się w Kwidzynie.

Regiment nasz z Torunia pomaszerował wprost na Heilsberg do Gąmbina, a myśmy go dogonili dopiero o kilka mil z tej strony Kowna, właśnie, kiedy cesarz przybył od Królewca i zaraz ku mostowi na Niemnie się udał. Nazajutrz przejechał most i my za nim. Koziętulski był tego dnia na służbie, cesarz kazał mu z jednym szwadronem przeprowadzić się przez Wilię, bo się na drugiej stronie pokazali Kozacy. Nasi rzucili się w pław, kilku utonęło, a Kozacy znikli. Trzem szwadronom pod jen. Konopką, który u nas był grosmajorem, to jest tak, jak podpułkownikiem, kazał cesarz przeprowadzić się za Koziętulskim i zrobić rekonesans aż do Czerwonego Dworu nad Niewiażą. Przyjął nas tam pan Zabięto z córką i wieczór z nami w biwaku przepędził. Przeszliśmy przez bród, o kilkanaście tylko kroków od miejsca, gdzie Koziętulski w pław się był puścił, i ledwo czapraki zamaczyliśmy, konie miały tylko wodę pod brzuchy.

Wieczorem powróciliśmy do Kowna. Cesarz wyjechał był do przedniej straży ku Wilnu. My nazajutrz ruszyliśmy za nim i we dwa marsze stanęliśmy w Wilnie. Byłem tam tydzień na służbie. Codziennie cesarz wyjeżdżał i zwiedzał piękne okolice miasta, a korpusa naprzód maszerowały ku Dźwinie. Mówiono bowiem, że część armii moskiewskiej cofnęła się za Dźwinę, że pod Dryssą obóz oszańcowała i że tam cesarz Aleksander granic dawnych cesarstwa bronić zamysła. Druga część wojsk rosyjskich pod Bagrationem rejterowała się na Mińsk ku Dnieprowi. Za nią maszerował król westfalski, ale że się w pochodzie zatrzymywał wbrew rozkazowi, cesarz wysłał go do Cassel, a oddał dowództwo Davoustowi.

W Wilnie dał bal dla cesarza Pac w pałacu swym, w którym mieszkał szef Tyzenhauz.

Choć w Wilnie było wesoło, dochodziły wiadomości o okropnościach wojny, przez niekarność i rozprężenie armii spowodowanych i serce się krwawiło, widząc w tym stanie swój kraj.

Bywałem często u księżnej Gedroié — spotkałem u niej dawną znajomą pannę Zofię Tyzenhauz, u pani Kossakowskiej, Potockiej z domu. Nie sądziłem, że tak długo w Wilnie zaba-

wimy. Manewra tej wojny były dla mnie zagadką tak z jednej, jak z drugiej strony.

Przybyła deputacya od sejmu z Warszawy do cesarza prosić, ażeby zaraz ogłosił przyłączenie Litwy do Księstwa Warszawskiego. Cesarz dał odpowiedź bardzo dwuznaczną, która wielu z nas bardzo zasmuciła. Pozostawała nadzieja, że zmusi cesarza do tego dalszy ciąg wojny. Cesarz oczywiście życzył sobie znieść Rosyą do pokoju i do połączenia się z nim przeciw Anglii. Polskę wskrzeszając, dopiąćby tego nie mógł, bo Moskwa, straciwszy polskie prowincye, już nie mogła postradać nic więcej i przy pomocy Anglii nigdyby pokoju nie zrobiła z cesarzem, ale biłaby się do ostatnich krańców cesarstwa. Cesarz miałby wojnę na obu krańcach Europy, w Hiszpanii i w Polsce. Tym sposobem do swego celu upokorzenia Anglii nigdyby nie doszedł. Byliśmy dla niego tylko dogodnym narzędziem. Przypomniały mi się wtedy słowa naszego naczelnika a zarazem i rada jego: Ucz się przy najpierwszym wojowniku tych czasów.

Z Wilna wymaszerowaliśmy za cesarzem na Głębokie ku Witebskowi. O kilka mil przed tem miastem zaszła krwawa potyczka pod Ostrowną pomiędzy przednią naszą strażą pod Muratem a tylną moskiewską. Jeden nasz szwadron, będący przy Muracie, stracił coś ludzi, bo wiadomo, że król neapolitański ani swej osoby, ani drugich nie ochraniał. Cesarz przybył z nami na pobojowisko już po uciszeniu się dział, któreśmy kilka godzin wciąż słyszeli. Musiała być jazda Murata zmęczoną, bo cesarz kazał naszej brygadzie przejść na przód. Ale i moskiewska musiała wiele ucierpieć, gdyż postępując ku Witebskowi napotykalismy w tylnej straży Kozaków i huzarów gwardyi moskiewskiej, którzy nie stanęli nam nigdzie do szarży, tylko flankierów rozpuszczali za sobą, cofając się. Kilku Kozaków czerwonych padło, bardzo to wysoki i silny lud. Gdyśmy wchodzili do Witebska, już żadnego w mieście nie było. Zrejerowali się przez Dźwinę na drogę do Wielkich Łuk, to jest na petersburską. Mostu na Dźwinie nie znieśli. Zresztą tam brodem przejść można było, a most łatwy do postawienia przy obfiteści drzewa i chałup drewnianych. W pierwszej zaraz wsi dowiedziano się, że armia rosyjska nie ku Petersburgowi poszła, ale się w prawo ku Smo-

leńskowi zwróciła. Korpus Bagrationa rejterując się wciąż przed Davoustem, przeszedł Dniepr pod Roghaczewem. Tam tylko jego tylna straż biła się dobrze z Davoustem i zatrzymała jego straż przednią tak długo, aż cały korpus się przeprowadził.

Cesarz, który żywym marszem z Kowna na Wilno i znów z Wilna na Witebsk, przeciął był armią moskiewską na dwie części, z których jedna z cesarzem pod Barclay de Tolly cofała się na Dźwinę do Dryssy, druga zaś pod Bagrationem na Mińsk ku Dnieprowi, pomiarkował, że tak rozdzielona, nie śmie mu stawić czoła. Postanowił zatem dać czas tym dwom częściom do połączenia się w jedną, bo wiedział oczywiście, że Barclay de Tolly, idąc z Witebska ku Smoleńskowi, a Bagration z Roghaczewa na Mścisław, nie mieli innego celu, jak połączyć się z sobą. Dał im więc czas ku temu. Armia nasza rozłożyła się koło Witebska po wsiach i obozach i odpoczęła.

Wreszcie cesarz odebrał zapewne wiadomość o połączeniu się Bagrationa z główną armią moskiewską, bo z Witebska pomaszerowaliśmy ku Dnieprowi dla zejścia się z Davoustem, który i wojsko polskie miał z sobą. Przebyliśmy Dniepr pod Dąbrowną. Ku Smoleńskowi Dniepr kilka razy się zakręca. Największy zakręt jest ku Katanom. Do głównej kwatery w Dąbrownie przysłała wiadomość, że pod Katanami na naszym lewym boku stoi korpus moskiewski z tej strony rzeki. Cesarz wysłał cztery szwadrony nasze (było nas 6 szwadronów) pod dowództwem Koziatulskiego na rekonesans w tę stronę. Wyszliśmy po północy i przybyliśmy o pół mili od Katan, prowadzeni przez dwóch starych chłopów, którzy jeszcze po polsku umieli. Dopiero o pół mili spotkaliśmy Kozaków. Stanęliśmy za ostatnią wsią i z jednym tylko szwadronem puściliśmy się za Kozakami. Ci się cofnęli na lewo ku Dnieprowi. Słońce wschodziło i dobrze się już na około widzieć wszystko dawało. Spostreśliśmy więc na wzgórzu linią jazdy, a przed nią kilka set Kozaków. Cofnął Koziatulski pierwszy pluton, który już się ucierać z Kozakami począł, i stanęliśmy na linii. Zapewnie Moskale spostreśli także z górki nasze trzy szwadrony i stali spokojnie, ale Kozacy rozpuszczeni przed nami, coraz bardziej się zbliżali i wystrzeliwali z jańczarek, a żeśmy nie tyralierowali z nimi, więc coraz bliżej

nas zaczepiali i nareszcie wyzywali, krzyząc: Lachy! — bo poznali, żeśmy Polacy. Oficer kozacki na siwym koniu podjechał do nas o 100 kroków, może i mniej i zapraszał, dobrze mówiąc po polsku, ażeby się z nim popróbować. Kozietulski nie pozwolił nikomu się ruszyć. Kozak schodzi z konia i woła: Teraz mnie wiaść możecie! Nareszcie odpina popręg u kulbaki, ale przekonawszy się, że nas nie rozdrażni, wskakuje na konia i do swoich odjeżdża. Wystrzelili do nas więcej, niż sto razy, ale ani razu nie trafili. Na linię choć jednego szwadronu Kozacy się nie rzuca, konieczne chcą z rozpuszczonymi ludźmi mieć do czynienia, umieją ich wabić i wtedy tych, co naprzód się za nimi posunęli, wciągają w zasadzkę i biorą do niewoli. Dla tego naszych ludzi żywych, śmiałych a nieostrożnych nigdy nie trzeba na tyralierkę z Kozakami rozpuszczać. Wkrótce, gdy zupełnie rozwidniało, ujrzelśmy z drugiej strony Dniepru całą kolumnę jazdy ciągnącą ku Smoleńskowi, a wnet też Kozacy i huzary, którzy z tej strony stali, za tamtą udali się kolumną. Powróciliśmy do Dąbrowny. Cesarz, który się był spodziewał, że w tem miejscu połączenie wojsk moskiewskich nastąpi i że mu staną do bitwy w okolicy Dąbrowny, Lad lub Krasnego, teraz się przekonał, iż dopiero pod Smoleńskiem połączy się Barclay de Tolly z Bagrationem. Był to 15-ty sierpnia, dzień imienin cesarza i właśnie w ten dzień życzył sobie bitwy.

Poszliśmy więc dalej na Lady, Krasne i stanęliśmy pod Smoleńskiem. O półtorej mili przed tem miastem od strony Mścislawia złączyła się z nami armia polska księcia Poniatowskiego, która stanowiła jak gdyby przednią straż Davousta. Dywizya jazdy pod dowództwem księcia Sułkowskiego bardzo przyjemne na mnie zrobiła wrażenie. Sliczny lud, żołnierska prawdziwie postawa, doskonałe konie. Widziałem tego dnia tylko pierwszą brygadę, którą składali huzary Tułińskiego, srebrne, jak je nazywano dla różnicy od pułku Umińskiego, który miał takie same mundury tylko ze złotem i 5-ty regiment strzelców konnych, bardzo piękny, jeszcze lepsze konie.

Smoleńsk leży na lewym brzegu Dniepru. Od tej strony także rozłożyło się wojsko nasze. Prawe skrzydło stanowił 5-ty korpus polski. Cesarza namioty ustawiono zupełnie na

linii. Za niemi obozem stała cała gwardya. Z przed namiotu cesarskiego widać było cały Smoleńsk, otoczony murami i wieżami, na których dawała się rozpoznać piechota i działa rosyjskie. Przed murami kręciło się mnóstwo Kozaków. Pomiędzy linią francuzką i murami miasta był wielki parów, do którego Kozacy się spuszczaali. Będąc tego dnia na służbie, odebrałem rozkaz od cesarza, ażebym z jednym szwadronem spędził Kozaków za parów, bo się chciał zbliżyć i rozpoznać mury. Jakoż siadł na koń i jechał zaraz za nami. Gdyśmy się spuścili w parów, Kozacy się cofnęli. Wychodząc z parowu na drugą stronę ku miastu rozwinąłem szwadron, bom przewidywał, że Moskale strzelą do nas z murów. W istocie, zaraz puścili na nas kilka granatów, z których jeden pękł w samym środku szwadronu. Kilku rannych przewróciło się, kilka koni z szeregu wyleciało, więc Kozakom zdała się dobra pora uderzenia na nas i tak szybko podskoczyli, że dzidę jednego z nich będącego na przedzie, wprost na mnie wymierzoną, pałaszem z góry na dół ciąłem, ale nie przeciąłem, tylko zesunęła się po łbie mego konia i drasnęła go od uszów do chrapy. Kapitan Skarżyński pałaszem kilku Kozaków pociął. Lance Kozacy mają za długie, nie mogą więc niemi tak zręcznie, jak nasi żołnierze swojemi robić. Szwadron posunął się naprzód i zmusił Kozaków do schronienia się pod same mury. Cesarz za nami zrekognoskował, co chciał, odjechał i zaraz rozporządzenia do ataku powydawał.

Piechota polska z wielką walecznością, mimo gęstego ognia, aż pod mury doszła, ale że nie było wyłomu, do miasta dostać się nie mogła i bardzo wiele ludzi straciła. Rannym w nogę został jen. Chłopicki. Na lewej stronie przypuszczają atak po kilka razy piechota francuzka i podobnie przez mury dostać się nie mogła. Nie rozumiem, dla czego cesarz nie zebrał dział pozycyjnych i wyłomu nie zrobił przed temi atakami, które do samego trwały wieczora. Nazajutrz dodnia miały stanąć baterye do wyłomu, ale przededniem przyszedł raport, że piechota nasza już w mieście. Nie zastała ona już tam Moskali. Zrejterowali się w nocy przez mosty.

Brygada nasza polska 15-go i 17-go pułków liniowych złożona, w nocy dostała się do miasta, znalazłszy kawał muru rozwalonego i belkami tylko założonego, więc tamtędy weszła.

Weszły i dwa działa, któremi dowodził porucznik Chrzanowski. W rozkazie dziennym, czyli buletynie stało, że Francuzi z korpusu Neja pierwsi zdobyli mury i weszli do miasta. Nieprawdą to było; ale cesarz chciał przemawiać do francuzkiej miłości własnej.

Korpus Davousta przeszedł zaraz przez miasto, a potem przez mosty za Moskalami na drogę do Moskwy. Gwardya z cesarzem weszła do miasta. Tu dwa dni staliśmy. Drugiej nocy doszła cesarza wiadomość, że mnóstwo Kozaków, poprzedzając cały korpus jazdy moskiewskiej, zjawilo się od Mścislawia w zamiarze napadu na część armii naszej, która na lewym brzegu Dniepru pozostała. Armia tylko polska zatrzymała się w miejscu, ponieważ najwięcej straciła, wszystkie inne korpusa, prócz gwardyi w mieście, były już na prawym brzegu. Cesarz kazał mnie zawołać i wysłał z jednym szwadronem na rekonesans w stronę ku Mścislawowi, aby się przekonać, czy raport mu uczyniony, że korpus moskiewski z tej strony się zbliża, jest prawdziwym.

Wymaszerowałem z miasta, gdzieśmy na ulicy konie paśli żytem na pniu skoszonym. Ludzie na bruku leżeli, bo brak był słomy. O pół mili stał książę Poniatowski w swym obozie. Spał w budzie, musiałem prosić adjutanta, żeby go obudził, raz żeby mu oznajmić, iż przejdę jego czaty, a po drugie, żeby się dowiedzieć, czy on nie ma jakiego raportu o nieprzyjacielu. Leżał ubrany, więc zaraz z budy wyszedł i dał mi oficera, który mnie przez placówki przeprowadził. Noc była dość jasna. Przybyliśmy do obozu jazdy księcia Poniatowskiego, do dywizyi księcia Sułkowskiego. Ten także już spał w budzie, ale zaraz wstał i gdy mu oznajmiłem, jaki mam rozkaz, zapewnił mnie, że niedawno powrócił patrol z drogi mścislawskiej, że oficer po wsiach rozmawiał z ludźmi, którzy tu jeszcze wszyscy z ruska po polsku mówią i którzy furazę i żywności do obozu nawieźli i że nic zgoła nie słyhać o Moskalach w tej stronie. Zgłodniałe były nasze konie, korzystałem więc z ofiarowanego mi furazu i mogąc bezpiecznie się spuścić na wiadomości oficera naszego, który był z patrolem, popasałem konie, a nadedniem powróciłem do Smoleńska. Dopiero około 8-mej z rana zrobiłem raport cesarzowi, nie są-

dziłem bowiem potrzeby budzenia go wiadomością, że nic nie ma i że raport mu uczyniony był fałszywym.

Wyszliśmy ze Smoleńska około 12-tej. Przyszedł raport od marszałka Davousta, że o półtorej mili na drodze moskiewskiej Moskale stoją w pozycyi i że przednia jego straż, dywizya Gudina, już zaangażowana. Gdyśmy około 4-tej z południa przybyli na pobojowisko, już Moskale byli się cofnęli, mnóstwo trupów leżało, wielu oficerów moskiewskich. Jenerał Gudin stracił obie nogi i umarł. Mówiono, że Moskale dzielnie się bili pomiędzy krzakami sosnowymi. Tę bitwę nazwali Francuzi rozprawą 10-tej wersty, bo taka jest odległość od Smoleńska. Później zaczęła się zwać Walutyną.

Trzeciego dnia po tej potyczce stanęliśmy pod Drohobużem. Kraj cały od Smoleńska dotąd pusty i smutny i krzakami, nie lasami sosnowymi przeplatany. Wielka różnica od Litwy. Tam wioski schludne i porządne rólnictwo, wszędzie widać ślady pługa i rąk ludzkich — tu od wsi do wsi dwie mile. Moskale cofając się, najczęściej wsie palili, a wszystkich mieszkańców przymuszali siadać na kibitki z rzeczami, których bardzo mało mają, z wołami i całym dobytkiem transportowali ich za Moskwę. Gdzie niegdzie chłop powracał. Aż do Mozajska byli tacy, co trochę z ruska, ale po polsku umieli. Kraj taki sam, pusty, rozciąga się aż do Wiazmy. Wokoło tego miasta lepsza trochę ziemia i przed miastem cokolwiek drzewek w ogródkach takich, jak przy naszych najlichszych miasteczkach. Na rynku Wiazmy i przy ulicach kilkanaście murowanych domów o piętrze, to samo w Graczu.

5-go września przybyliśmy nareszcie naprzeciw pozycyi, którą Moskale okopami wzmocnili, a więc widocznem było, że tu bitwę przyjmą. 5-go zaraz korpus piąty, to jest polski, wziął szturmem dużą redutę, która przed frontem całej pozycyi była zbudowaną, jakby wielka placówka. Piechota polska bardzo się przy tym szturmie wślawiła, ale i wiele straciła ludzi.

Namioty cesarskie rozstawiono przy tej reducie. Na lewo jej stanęła obozem w parowie jazda gwardyi, piechota zaś i artylerya za namiotami cesarskiemi. Już ciemniało, gdy żołnierze wbijali kołki do wiązania koni. Od Smoleńska paśliśmy już tylko żytem świeżo koszonem. Na Litwie i Białej Rusi jeszcześmy owies znajdowali i chętnie po wsiach dawali

nam go chłopci. Ale od Smoleńska nie tylko że Moskale wszystko zabierali i mieszkańców przymuszali do uciekania, ale i kraj przez się pusty, dopiero na kilka mil od Moskwy się zmienia. Nie rozumiem, z kąd mogli niektórzy pisarze twierdzić, jakoby stara Moskwa była krajem zaludnionym i lud miał się tam dobrze. To jest nieprawdą. Chłop moskiewski chodzi w koszuli grubej, brudnej, przepasanej słomą lub postronkiem, czasem ma kapelusz słomiany, czasem chodzi z gołą głową, bo dużo włosów i brodę nosi, a wszyscy boso i bez spodni, widać od razu, że to lud nędzny. Mówię to z przekonania osobistego, gdyż robiliśmy kilka razy rekonesanse w bok o mil kilka i po wsiach zastawaliśmy mieszkańców, bo tylko z drogi głównej i około dwóch mil szerokości obok niej Moskale ludność wypędzali przed nami.

Stanąwszy już w nocy obozem, położyliśmy się z Kozietulskim na dwóch czapiakach, płaszczami się przykrywając i zasnęliśmy. W nocy zaczął deszczyk padać, a ponieważ leżeliśmy pod górką, przebudził nas strumyk, który znalazł sobie drogę pomiędzy nami i przemoczył mnie od lewego boku, co bardzo nieprzyjemne uczucie, kiedy człowiek potrzebuje spoczynku. Trzeba było wstać i jużemy do rana nie spali, tylkośmy się grzali przy ogniu, który nasi ludzie zapalili i przy nim sobie gotowali.

Staliśmy tam cały dzień 6-go. Cesarz siadł na konia i przejechał całą linią wedet, rekognoskując położenie nieprzyjaciela.

Przededniem 7-go zaczęły od prawego skrzydła muzyki piechoty grać na pobudkę, jeden regiment po drugim. Wybierano najpiękniejsze kawalki. Wiele się przyczynia muzyka do dobrego usposobienia do bitwy. Że przyjdzie do walki, już teraz nikt nie wątpił.

Skoro rozedniało, przeczytano każdemu batalionowi krótką proklamacją cesarza i zaraz działa zaczęły grzmieć na naszym lewym skrzydle. Był to atak księcia Eugeniusza Beauharnais.

Batalii tej, którą my nazywamy Moskwą, dla tego, że nad tą rzeczką się odbyła, a Moskale Borodino, nie będą szczegółowo opisywał, naprzód, że tak dobrze była tyle razy od-

daną, przez Segura troszkę romansowo, przez Chambraya bardziej wojskowo, przez Buturlina dość sprawiedliwie, jak na oficera przegrywającej strony, -- powtóre, że sam nie mogłem całej linii widzieć tak dobrze, jak w innych bitwach, gdy byłem przy cesarzu, który zawsze stał na miejscu, z kąd najlepszy był widok. Myśmy tu stali cały czas w nizinie i tylko dym na całej linii od ognia działowego widzieliśmy. Raz tylko przez jedną godzinę posunęliśmy się na wzgórze, a to wtedy, gdy kirysyerzy nasi przypuszczali szarżę na piechotę, broniącą środkowej moskiewskiej reduty. Cesarz kazał naszemu pułkowi pomknąć się naprzód i puścić zaraz szarżę, jeśli kirysyerom się nie powiedzie i zostaną odparci. Rozkaz ten dowodzi, że miał do nas zaufanie. Reduta przez kule już tak była poryta, że cesarz dobrze osądził, iż jazda ją odebrać może. Patrzeliśmy tedy na piękny obraz ataku kirysyerów, który wykonały ztery regimenta francuzkie, polski jedyny regiment kirysyerów Małachowskiego i saski Leizera. Kirysyerzy wpadli do reduty i rąbiąc piechotę, jeszcze dalej polecili. Małachowski i Leizer kilka razy ranni, spadli z koni. Po zdobyciu reduty cofnęliśmy się na nasze dawne położenie, gdzie kule nie dochodziły. Tylko przez tę godzinę, w czasie której staliśmy wysunięci ku reducie, kilka kul nad głowami naszymi zawarczało. Cesarza widzieliśmy cały czas przechadzającego się przed swym namiotem na wzgórkach z perspektywą w rękę, ale z tej górkki nie mógł pewnie całej linii widzieć, bo prawe skrzydło (Davoust i ks. Poniatowski) było w lesie i za lasem na starej drodze do Moskwy, a znów lewe pod ks. Eugeniuszem za pagórkami, mógł tylko widzieć korpus Ney'a i jazdę prawie całą pod dowództwem króla Murata.

Co chwila do cesarza przybywali jenerałowie z linii bojowej i jak nam powiadano, zaklinali go, żeby część gwardyi wysłał dla zdecydowania bitwy i odniesienia z niej korzyści, ale cesarz wciąż odmawiał i prócz 60 dział artyleryi, nie z gwardyi nie było w ogniu. Zapewnie cesarz, będąc o 400 mil od Francyi, chciał zachować gwardyę nietkniętą, a ponieważ głównym jego celem było nastraszyć Aleksandra i pokój z nim zawrzeć, pragnął więc, iżby tenże wiedział, że bitwę wygrał, a gwardyi nie naruszył, i w istocie umieścił też po bitwie w buletynie, że gwardya nie była czynną.

Okolo 4-tej z południa przybył oficer ordonansu z raportem, że Moskale się rejterują. Cofnęli się oni w najlepszym porządku za Możajsk i miasto to całą noc jeszcze utrzymali w swem ręku. Przeciw swemu zwyczajowi cesarz nie kazał ich ściagać. Po ruchach cesarza, na któregośmy zdaleka patrzeli, widać było, że był cierpiącym. Raz się przechodził, to znów siadał na polowem krzeselku. Na konia cały dzień nie siadł.

Nazajutrz po bitwie nasz pułk i pułk Holendrów gwardyi pod dowództwem jen. Colberta (Edwarda) wymaszerował w prawo drogi do Moskwy z rozkazem przecięcia drogi z Moskwy do Kaługi. Uszedłszy milę od obozu, poczęliśmy napotykać ludzi po wsiach. W naszym regimencie było wielu żołnierzy i kilku oficerów rodem z Podola, Wołynia i Ukrainy. Ci wszyscy umieli dobrze po moskiewsku, a przynajmniej po rusku. Nasza przednia straż zawsze miała jednego z takich oficerów i kilku z takich żołnierzy przy sobie, więc gdy ludzi napotykali, przemawiali do nich po moskiewsku, a ci z razu nas za jazdę moskiewską brali. Niektórzy wiedzieli, że w ich armii są ułani z zabranych prowincyi, łatwo więc nas za nich poczytywali. W miasteczkach, pod któremi staliśmy, byli różni mieszkańcy, byli i trochę światlejsi, jak chłopi. Na początku, jak wspomniałem, brali nas za wojsko moskiewskie, ale później, gdy usłyszeli nas mówiących pomiędzy sobą nie tylko po polsku, ale z Holendrami po francuzku, domyślali się i my też im nie przeczyliśmy, jakimi żołnierzami byliśmy, a że tam wszystkiego było podostatkiem, więc żołnierze w największym porządku byli utrzymani i mieszkańcy nie tylko nie uciekali, ale przychylnie nam się okazywali. Wielu z nich nawet na swój rząd wyrzekało. Donosili nam także, kiedy się Kozacy pokazali w pobliżu. Stawialiśmy jednak placówki i czaty na okolo, a prawie zawsze z naszego pułku na przedzie a z holenderskiego z tyłu, dodając holenderskiej placówce jednego lub dwóch naszych żołnierzy dla języka. Koło dużej wsi Faminskoi, gdzieśmy dwa dni stali, Kozacy cichaczem krzakami podchodząc, zabrali całą placówkę holenderską, tylko jeden z dwóch naszych żołnierzy przypadł do obozu z tą wiadomością. Jenerał Colbert sam wszedł na konia i z dwoma szwadronami poszedł w pogoń, ale tak prędko Kozacy Holendrów,

których musieli na własnych koniach zostawić, uprowadzili, że tylko ich trop po lasku i dalej po polach widziano. Pogoń pędząc półtorej mili, dogonić ich nie zdołała i powróciła do obozu. Od tego czasu kazał generał wszystkie placówki po połowie z naszych żołnierzy składać i na czatach zawsze jednego naszego przy jednym Holendrze stawiać.

Jenerał Colbert zawsze nocował pod namiotem, który na koniu wożono, a był tak obszerny i wysoki, że około 12 osób w nim stać mogło. Miał dwóch adjutantów Bro i Bragues, którzy ślicznie śpiewali i umieli wszystkie sceny Martina i El-seviou z teatru Vaudeville paryskiego. Co wieczór kilku z nas schodziło się pod jego namiot.

Z Faminskoj do Werci maszerując, napotkaliśmy znowu zabudowania, między innymi rafinerią cukru, gdzie wiele cukru w głowach znajdowało się. Wszyscy żołnierze cukrem się obładowali i wiele go przez kilka dni jedli. Panowała w całym naszym wojsku mocna dysenterya z przyczyny złego jada i zapewne złej wody. W naszym pułku wielu także oddawna na tę słabość cierpiał. Po dwóch dniach tej cukrowej kuracji całkiem się choroby pozbyli.

Tam także jeden patrol nasz schwycił koczyk pocztą jadący na wielkim trakcie z Kijowa do Moskwy. Znajdował się w nim minister Guriew z swym sekretarzem. Jenerał Colbert odesłał ich do cesarza pod eskortą.

Przybyliśmy nareszcie do Podol, wsi na drodze z Moskwy do Kaługi. Ztamtąd udałem się na służbę do Moskwy, aby złuzować podpułkownika Jerzmanowskiego, który był na służbie od Mozajka. W czasie tego osobnego marszu naszego wieleśmy z mieszkańcami obcowali i przekonaliśmy się, że nie byłoby łatwiejszego, jak ten lud, który czuje swą niewolę, przeciwko własnemu rządowi zbuntować, ale pewnie tego środka cesarz użyć nie chciał. W ciągu tego całego marszu przekonałem się, że lud wiejski, chłopci staromoskiewscy nie są tak bogaci, jak o nich Moskale lubią za granicą opowiadać. Mają wprawdzie wiele bydła, a to z przyczyny, że pastwiska tam są bez granic, ale tylko około wsi znać órkę. Może być, że są inne okolice szczęśliwsze, ale właśnie najwięcej słyszałem o tem bogactwie chłopów w okolicy Moskwy, a nigdzie go tam nie znalazłem. Wszelako w kilku wsiach bliżej Moskwy napotka-

liśmy domy ładnie pobudowane i malowane dla chłopów. Były to domy, które bogaci panowie kazali dla chłopów pobudować we wsiach, gdzie sami w pałacach mieszkali. To prawda, że widzieliśmy po drodze wiele pałaców i ogrodów, a bardzo pięknych i gustownych i to budowy w rozmaitych architekturach a wszystkie bardzo dobrze utrzymane. Tam więc, gdzie znajdował się pałac, to i domy chłopskie były dobre i ładne, ale najczęściej zaraz obok we wsi przyległej chaty nędzne, podwórko nie obszerne, otoczone szopkami dla bydła, a nie stodoł. Kominów w domach nie mają, zamiast okien dziury, któremi również, jak drzwiami dym wychodzi tak, że stać w izbie nie można, tylko siedzieć lub leżeć. Pościeli nic, sypiają na ławach, dzieci na piecu. Myśmy do tych domów wchodzili, ale rzecz rzeczywista na takiej ekspedycji zawsze w obozie obok wsi sypiali.

Byliśmy o 7 mil od Moskwy, kiedy to miasto się paliło. W nocy, mimo tej odległości, szeroka łuna ognia była widoczna. Ogień trwał przez kilka nocy. Chłopi z nami patrzeli i zaraz od pierwszego razu mówili, że to Moskwa się pali.

Stanąwszy w Moskwie, zlużowałem szwadron służbowy. Kazano mi w Kremlinie, gdzie cesarz stał, zostawić tylko 25 żołnierzy z oficerem, a z resztą udać się przez Białogród i Kitajgród Twerską ulicą. Dostałem kwaterę w pałacu księcia Łabanowa. Naprzeciwko stał generał Krasiński w domu bankiera Baryszników. Oba te domy były bardzo dobrze urządzone, wszystko znajdowało się w porządku, na dole i na górze w pokojach były wszędzie bardzo wygodne, szerokie łóżka z materacami safianowymi. Z tyłu pałacu znajdowały się oficyny, sypanie, ogród z oranżeryą, na koniec i kawał pola z ogrodem. Front pałacu był w mieście, za pałacem zdało się, żeś na wsi. W dwóch ubocznych oficynach mieściło się około stu Moskali, służących, rzemieślników i chłopów, w których znaleźliśmy pomoc we wszystkim. Byli między nimi szewcy i krawcy, którzy nam się bardzo przydali. Żołnierze dawali im robotę, jakiej potrzebowali. Lud ten bardzo się spokojnie i usłużnie dla nas zachowywał. Na sypaniu było wiele zboża, które dla koni niezmiernie nam się przydało. Mówiono, że się trzy części Moskwy spaliły i tylko czwarta pozostała. Mnie się jednak tyle spalonego nie wydawało, bo cały Kremlin z Bia-

łogrodem i Kitajgrodem, prawie cała Twerska ulica, znaczna część przedmieścia od Mozajska i niemal całe przedmieście Kałużkie nietknięte pozostały.

Tam odwiedził nas pułkownik Morawski i kilka dni zabawił, bo był cierpiący. Caraman wówczas dowodził baterią konną w korpusie Davousta, często bywał u mnie, chociaż stał na końcu przedmieścia Kałużkiego, prawie o milę odemnie. Miałem na ordonansie przy sobie żołnierza Marcina, który dobrze mówił po moskiewsku i za pieniądze wszystkiego umiał dostać.

Gdym przybył do Moskwy, już się nigdzie nie paliło. Wojska nasze stały w domach całych i nigdzie nie było biwaków. Opowiadano mi, co się działo podczas pożaru, który trwał 6 dni. Wielki panował nieporządek. Wszyscy oficerowie się zgadzali, że gdyby byli Moskale pod tę porę choćby z mniejszą siłą uderzyli, to łatwe odnieśliby zwycięstwo. Teraz już wszystko było w porządku. W domach niespalonych i w sklepach spalonych domów znaleziono tyle zboża i różnych wiktuałów, że całe wojsko, jak mówiono, miałoby żywności i obroku na całą zimę podostatkiem. Nieprzyjemne wrażenie sprawiło to, że żołnierze sprzedawali różne rzeczy, w sklepach pobrane. Moi ludzie kupowali od nich wino i różne artykuły do jedzenia. Jarzyn było dość po ogrodach w mieście i blisko miasta. Futer i kożuchów były ogromne składy. Przed wymarszem zaopatrzyliśmy pułk nasz cały w kożuszki. Po siano i słomę wysłano oddziały na wsie okoliczne, naprzód na bliższe, a potem coraz dalej. Założono magazyny dla kawaleryi gwardyi, które miały na zimę starczyć.

Jazda, dowodzona przez Murata, stała o cztery mile od miasta, pod Woronowem. Tam także stał korpus 5-ty księcia Poniatowskiego.

Po upływie kilku tygodni zaczęli Kozacy napadać na nasze furajujące oddziały. Razy kilka byłem wykomenderowany z rekonesansem, lecz skoro kilka szwadronów wyszło w pole, Kozacy się nie pokazywali.

Oficerowie francuscy wynaleźli aktorów francuskich i dawano codziennie reprezentacyą. Sami oczywiście tylko wojskowi na tym teatrze bywali.

Byłem w kilku cerkwiach. Na jednym nabożeństwie słyshałem kazanie. Pop na rząd swój gadał. Myślę, że i to

było urządzonem przez oficerów francuskich i bez wiedzy cesarza, bo byłby on się temu sprzeciwił, gdyż propozycje burzenia chłopów wręcz odrzucił.

Do Moskwy weszła armia 14-go września i bawiła do 20-go października. W tym to dniu rozpoczął się marsz na Kalugę, a od Małego Jarosławia w prawo i odwrót znowu na Możajsk. Rozpoczęliśmy wojnę dopiero na początku czerwca. Gdybyśmy byli wojnę zaczęli dwa miesiące rychlej, byłibyśmy mogli się cofnąć na granicę Litwy jeszcze za najpiękniejszego czasu. Nawet i tak, jak się stało, wszedłszy do Moskwy 14-go września, gdybyśmy po dwóch tygodniach odpoczynku byli z tego miasta wyszli 1-go października, byłibyśmy dotarli do Dniepru za pięknej pogody. Ale cesarz dał się złudzić Moskalom nadzieją pokoju, którego, jak wyżej nadmieniałem, usilnie pragnął. Pomiedzy Kutuzowem a Muratem stało się zawieszenie broni, ponieważ cesarz wysłał generała Lauriston w misyi traktowania o pokój. To zawieszenie broni mogło zostać wypowiedzianem w jednej chwili, bo na trzy godziny przed rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich.

Podczas naszego 5-ciotygodniowego pobytu w Moskwie, Kutuzów pościagał co tylko mógł rezerw i mustrował rekrutów z głębi przybywających. Mówiono także, że 12 tysięcy starych Kozaków z Donu, którzy już byli czas swój odsłużyli, przybyło do armii moskiewskiej, która wzrosła na 120,000, a nasza w Moskwie po stratach pod Możajskiem i w marszach zaledwie 86,000 liczyła.

18-go października odebrał cesarz wiadomość, że Murat zniecierpliwiony tem, iż mimo zawieszenia broni Kozacy napadali po bokach naszych furazerów, wypowiedział zawieszenie i że Kutuzów w trzy godziny potem natarł na niego tak silnie, że byłby zupełnie pobitym, gdyby go książę Poniatowski 5-tym korpusem, to jest polskim nie był wyratował. Znow 5-ty korpus okrył się sławą.

19-go wydane zostały rozkazy do marszu. 20-go wyszła cała armia, oprócz młodej gwardyi, która pozostała z marszałkiem Mortier. Ten odebrał rozkaz wysadzić w powietrze Kremlin i arsenał, w którym Moskale zostawili byli karabinów na 60,000 ludzi. Opuszczając Moskwę, wiedzieli oni, że my ich nie potrzebujemy, ale to dowodzi, że nie śmieli tej broni roz-

dać swojej milicyi, która tylko małemi dzidami była uzbrojoną. Używali tej milicyi, Drużyną zwanej, do strzeżenia magazynów, a podczas bitwy, do odnoszenia rannych. Po upływie czterech dni marszałek Mortier wymaszerował, zasłaniając konwój rannych, prowadzony do Możajska, ale nie prostą drogą, tylko na Wereię.

Od Moskwy aż pod Małojarosławiec szła nasza brygada w ariergardzie, aleśmy pierwszych trzech dni nie widzieli za nami nieprzyjaciela. Nawet kiedy armia włoska zaczęła się bić pod Małojarosławcem, Kozacy nie z tyłu nas się pokazali, ale od prawego boku napadli na główną kwaterę cesarza pomiędzy Borowskiem i Małojarosławcem. Nie było przy cesarzu tylko jeden nasz szwadron pod podpułkownikiem Kozietułskim, który się rzucił przed cesarza na całą zgraję Kozaków. Mówiono, że tych było kilka tysięcy starych, świeżo przybyłych z Donu, i że sam Płatów nimi dowodził. Kozietułski został pchnięty dzidą, która przez ramie przeszła aż do piersi. Jechał więc za nami bryczką, a potem na saneczkach. Pokazały się w rozwiniętej linii grenadyery konne gwardyi. Ta czarna, wysoka linia w niedźwiedzych kołpakach tak Kozakom zaimponowała, że znikli w lasy, ale wpadli wkrótce o pół mili z boku na naszą brygadę. Jenerał Colbert wysłał mię z dwoma szwadronami na przeciw nim. Posunąłem się z 500 kroków naprzód, a że od ich strony wielu żołnierzy z piechoty francuskiej, pojedynczo za swemi pułkami dążących uciekało ku nam, zebrałem ich do stu i w kilku chałupach na mej lewej stronie umieściłem. Flankiery moje zręcznie tak Kozaków pod ogień tej piechoty ściągnęły, że się zmieszali i cofnęli, i cała nasza brygada miała czas sięść na koń.

Jenerał Colbert przysłał mi rozkaz cofnięcia się do brygady, a zostawił tylko szwadron holenderski pod kapitanem. Pomiarkowali zaraz Kozacy, że to Holendry, śmiało do nich atak przypuścili i z trzech stron otoczyli, co widząc jenerał Colbert całą brygadą na nich szarżę wykonał. Zrejterowali się aż na brzeg lasu, ale ztamtąd wypadło ich dziesięć razy więcej. Nasze konie zmęczyły się długą szarżą. Kozacy z przodu i z obu boków na nas nacierali. Straciliśmy ze 20-stu ludzi, a Holendrzy przeszło stu. Stało się to z winy jenerała Colbert, który widząc na przedzie szwadron w niebez-

pieczeństwie, bez rozważań szarżował wszystkim tem co miał. Byłby straty uniknął, gdyby był szarżował tylko kilkoma szwadronami, a drugie trzymał spokojnie i stępo postępował. Nigdy nie należy wszystkiego angażować, a reguła ta powinna być jeszcze ściślej zachowaną przeciw Kozakom. W ciągu całej wojny, idąc do Moskwy i w odwrocie, nigdyśmy takiego nieszczęścia nie doznali. Bylibyśmy nawet stracili daleko więcej, gdyby nie tak doświadczeni żołnierze jak nasi, z których każdy pojedynczo doskonale się bronił.

Holendrzy nie dość zwinni i nie umieli bronić się od Kozaków. Ile razy w odwrocie szli w ariergardzie, zawsze kilku ludzi stracili i Kozacy śmiało na nich nacierali — generał Colbert kazał więc raz szwadronowi polskiemu przemienić płaszcze, oddać białe Holendrom, a wziąć ich granatowe i tak rano, jeszcze szaro było, nieco w tyle pozostać. Czekaliśmy co będzie. Kozacy skoro się ukazali, śmiało i z wielkim animuszem na nich się puścili. — Ale ledwo nasi ku nim z miejsca ruszyli, poznali zasadzkę zaczęli krzyczeć Lachy! Lachy! i uciekli.

Z pod Małojarosławca, cesarz przekonawszy się, że armia Kutuzowa wzrosła w dwójnasób podczas zawieszenia broni, zdecydował się do odwrotu, lecz zamiast wybrać najprostszą i niespustoszoną drogę na Medym, Mścisław do Orszy, poszedł na Borowsk, Wereje, do Możajska gościńcem, którym szliśmy do Moskwy, a więc już spustoszoną do szczytu. Wytłomaczyć sobie to trudno, bo droga na Medyn, nie tylko była niezniszczoną, ale i krótszą. Z tej też przyczyny Kutuzów, nią pomaszzerował, stanął pod Wiazmą, kiedy cesarz z główną armią i gwardyami przeszedł. Pozostałe w tyle korpusa, włoski, Ney i Davousta, musiały przez Wiazmę się przerzynać i wiele straciły. Doszły jednak do nas pod Smoleńskiem, gdzie cesarz dwa dni zabawił, i znów tym samym porządkiem ruszyliśmy ku Orszy. Marszałek Ney w ariergardzie szedł o jeden dzień później. We dwa dni stanęliśmy w Kraśnem. Tam, od Smoleńska zkad przyszliśmy, zaatakowali Moskale naszą młodą gwardyą, a więc przecięli od nas korpus włoski, Davousta i Ney. Cesarz kazał swemu adjutantowi generałowi Durosnel wziąć batalion gwardyi i moje dwa szwadrony, i otworzyć drogę do Davousta. Noc była jasna, Kozacy się przed

nami zaraz cofali, ale uszedłszy milę drogi, spostrzegliśmy ognie obozu moskiewskiego. Jenerał Durosnel osądził nieprzyjaciela za nadto mocnym, ażeby na jego obóz uderzyć. Kazał mi wybrać zręcznego podoficera z dwoma żołnierzami, któryby się bokiem dostał do dwóch naszych odciętych korpusów i powiedział ich dowódczom, że cesarz nie ruszy się z Kraśnego, aż póki oni nie przymaszerują. Powróciliśmy około 3-ciej po północy do Kraśnego. Nazajutrz skoro świt cesarz wyszedł z gwardyą na powrót ku Smoleńskowi, ale o pół mili stanął nad parowem głęboko śniegiem napełnionym, bo usłyszeliśmy mocny ogień działowy i ręczny, który coraz bardziej zbliżał się do nas. Dobrze więc cesarz osądził, że nasze korpusa się przerzynają. Jakoż wkrótce ukazały się naprzód oddziały jazdy nieliczne, a zaraz potem marszałek Davoust z korpusem, ale nader uszczuplonym. Około 12-stej przybył i korpus włoski, który stracił całą artyleryą. Cesarz kazał korpusowi polskiemu, który ani jednego działa nie postradał, oddać 30, to jest połowę dział korpusowi włoskiemu. Korpus polski, z którego wiele ludzi poległo pod Woronowem, miał istotnie dosyć tych 30-stu armat, i doprowadził je szczęśliwie aż do końca chociaż, jak później zobaczymy, dzielnie się bił znowu nad Berezyną.

Czekał cesarz na Neya jeszcze dzień jeden i znów wyszedł na ten sam parów, ale zamiast Neya spostrzegliśmy od Smoleńska głębokie kolumny Moskali, którzy nas zaczęli oskrzydlać od południa, już się nawet ich jazda pokazywała z boku za nami. Liczne tyraliery posunęły się nad parów, który ich od naszych przedzielał. Opanowali nawet na naszym prawym boku z tej strony parowu wioskę z kilkunastu chałup złożoną. Stałem za cesarzem także na prawo z czterema szwadronami. Król Murat przypadł do mnie, kazał mi wziąć jeden szwadron i klusem za sobą maszerować, co trudnem było, gdyż śnieg był głęboki. Stanął z nami przed samą tą wioską, w której znajdowali się Moskale, i kazał mi w nią wmaszerować (entrez dedans). Szczególny to rozkaz dla jazdy, ale trzeba było usłuchać. Tłumaczy to, że król Murat stracił w tej wojnie całą jazdę, którą miał pod swą komendą. Puściłem się więc środkiem wsi. Strzelcy moskiewscy z podwórków wszystkie do nas zbliżka wystrzelili. Spadło mi z koni czte-

rech ludzi, których Murat ma na sumieniu, a rannych było sześciu jak się potem pokazało. Moskale ani uciekali, ani też uciec tak prędko mogli, tylko za płoty powchodzili. Rozumie się samo przez się, że nie maszerowałem wolno przez wioskę, ale śnieg aż pod brzuchy nie pozwalał galopować. Wyszedłem drugą stroną tuż nad parów, i sformowałem szwadron pomiędzy wioską a cesarzem, który stał może o 600 kroków. Wtedy ujrzałem kompanię grenadyerów gwardyi, których cesarz, spostrzegłszy zapewne szalony rozkaz dany mi przez Murata, wysłał ku wiosce. Grenadyery opanowali bez wystrzału wioskę, a Moskale ledwo raz wystrzeliwszy zrejterowali się przed nimi przez parów, częścią wzięci do niewoli. Uwolnili też kilku naszych, którym konie we wsi zabito.

Cesarz stał pieszo na czele gwardyi. Powróciłem na moje stanowisko przy nim, był bardzo rozgniewany na Murata. Powiedział mi żywo »jak mogłeś tego waryata usłuchać.« Granaty poczynały coraz gęściej warczyć i ludzi nam pokładać. Gwardya stała jak mur. Działa nasze nad parowem nawet nie odpowiadały, cesarz nie kazał strzelać mówiąc, że Moskale za naddo z daleka strzelają. Donosiły jednak ich jednorozce. Jeden granat padł blisko cesarza, który go szpicróżgą począł trzepać mówiąc: Już dawno ich nie miałem pomiędzy nogami. Granat pękł, śnieg trochę obsypał cesarza, ale nikt nie był ranny.

Widząc cesarz coraz więcej przybywającego wojska nieprzyjacielskiego, wniósł, że marszałek Ney albo się dostał do niewoli, albo okrąża armią moskiewską, i odwrót nakazał. Maszerowaliśmy ścisłą kolumną, szwadrony służbowe na czele, piechota gwardyi w dwóch kolumnach, artylerya drogą, cała jazda gwardyi w tyle, ale tuż za piechotą i artylerją. Doszliśmy o zmroku do miasteczka Lad, wciąż od południa eskortowali nas Kozacy, za nimi widać było jazdę regularną. Z małych dział kozackich bez ustanku do nas strzelano. Kule dochodziły do cesarza, którego szedł pieszo wśród grenadyerów gwardyi. Musiały nasze szwadrony kilka razy Kozaków odpędzać.

Nazajutrz pomaszerowaliśmy tym samym porządkiem do Dąbrowny. Kozacy w nocy nas alarmowali, czaty nasze stały na około, ale bardzo blisko ostatnich, zewnętrznych chałup

miasteczka, które już zupełnie jest polskie. Mieszkańcy byli po domach i dawali nam co mieli. Wielka bieda ustała. Z Dąbrowny do Orszy marsz już mieliśmy spokojniejszy, nie widać było nieprzyjaciela.

Z Orszy wieczorem wysłał mię cesarz z jednym szwadronem na drogę ku Witebskowi, jak gdyby przewidywał, że z tej strony przyjdzie marszałek Ney. Wróciłem w tę stronę. — Pokazali się jeźdźcy, których przy świetle księżyca poznaliśmy że Kozacy. Na nasz widok uciekli. Uszedłszy dwie mile usłyszeliśmy strzały karabinowe. Jakoż nad ranem spostrzegliśmy naprzód kilku jeźdźców, później piechotę, i wkrótce poznaliśmy naszych. Marszałek Ney nie mogąc się przebić wielkim gościńcem, rzucił się był na północ prowadzony przez chłopą Białorusina, który umiał po polsku. Przeszedł Dniepr poświęcając działa i konie, które nie można było przeprowadzić po słabym lodzie, i wciąż po prawym brzegu maszerując, spotkał się z nami. Sam na nędznym koniu miał tylko kilka set ludzi z bronią i drugie tyle bez broni, którzy ją ze zmęczenia poporzucali. — Ucieszył mi się bardzo i z wiadomości, że cesarz o 3 mile w Orszy czeka — oficerowie opowiadali nam swe przygody w tych kilku dniach przebyte. Znajdowało się przy marszałku kilku oficerów polskich, którym był winien, jak sam mówił, swoje ocalenie.

Gdym do Orszy powrócił, jeden z naszych żołnierzy, który był z oddziałem w nocy na patrolu z drugiej strony miasta, poznał siedzącego z kilku kanonierami przy ogniu mego przyjaciela Caramana w bardzo nędznym stanie. Znali go wszyscy nasi żołnierze, bo często, gdy stał niedaleko, przyjeżdżał do nas. Skorom się tylko o tem dowiedział, ruszyłem zaraz do niego, zastałem go już bardzo osłabionego, ale że nie mogłem długo być oddalonym, wróciłem do Orszy, i zaraz wysłałem do niego ordynansa, który go dobrze znał, z jednym z moich koni. Przybył z nim do mnie w chwili, gdyśmy z Orszy ruszali, i już odtąd całą rejteradę aż do Poznania razem odbyliśmy. Caraman komenderował był baterią konną w korpusie Davousta, którą już w Wiazmie stracił, konia pod nim ubito, służącego z drugimi końmi zabrano, i już od Wiazmy szedł pieszo.

W Orszy także napotkałem mego dawnego kolegę Tasschera, kuzyna cesarzowej Józefiny, który konia straciwszy, musiał iść piechotą. I jemu dałem konia z całym przyborem, tego samego, który pod Smoleńskiem oberwał był dzidą. Miałem koni dziewięć, zostało mi jeszcze siedem, a wszystkie w dobrym stanie, bo żołnierze nasi zawsze w nocy na małych chłopskich konikach, o które postaraliśmy się w marszu i prowadziliśmy z sobą, wyjeżdżali, aby swoich nie męczyć z oficerem do tego wykomenderowanym po furaz do okolicznych wiosek i rzadko kiedy próżno wracali. Razu jednego przyprawdzili nawet kibitki moskiewskie, naładowane owsem i żywnością. Wpadli bowiem do wsi, w której kawalerya moskiewska stała, a nie obawiając się od nas napadu, posta wiwszy konie w stajniach, spała spokojnie po chałupach, tylko przy kibitkach zostały konie. Tak mało się nas obawiała, że żadnych czat nie postawiła. Żołnierze przed zimnem schronili się pod dach bez żadnej ostrożności.

Z Orszy poszliśmy na Borysów drogą prowadzącą przez wielkie bory i w wielu miejscach zrobioną z okrągłych kneblaków sosnowych, które mimo śniegu znać było. Biedy tu już nie mieliśmy. Mieszkańcy, Łotyśze, bardzo nam przyjaźni. Cesarz chciał maszerować przez Borysów wielkim gościńcem na Mińsk, gdzie były znaczne magazyny, ale zaraz pierwszego dnia po wyjściu z Orszy odebrał smutne raporta, że generał Dąbrowski musiał opuścić okolice Bobrujska, party przez armię Cziczakowa, rejterował do Bory-owa, mężnie się bronił, ażeby most na Berezynie ocalić, ale przewyższającymi siłami naciskany, musiał go przejść i spalić, — że nowo uformowana brygada litewska pod jen. Kosseckim została rozbitą i Mińsk przez Moskali zajęty, --- dalej, że Szwarceberg i Regnier przed Tormanśowem się cofnęli ku Warszawie, — że pod Słonimem jen. Konopka nieostrożnie wdał się w bój jednym regimentem gwardyi konnej litewskiej i z połową tego regimentu został wzięty do niewoli przez dywizyą jazdy Czapllica, — a na dobitkę, że marszałek Victor i Oudinot, pobici przez korpus Witgensteina, z Płocka się cofali, i że generał Wrede ustępował przed Steindelem, który z korpusem finlandzkim był nadszedł. Zdawało się więc, że odwrót przez Berezynę niepodobnym się stanie, bo oczywiście planem moskiew-

skim było połączenie korpusów z południa i północy, ażeby nam to przejście zamknąć. I byłoby im się to powiodło, gdyby Kutuzów z armią za nami idącą był wprost na nas natarł, a korpus polski połączony z Dąbrowskim nie zdołał był cudami waleczności pobić Cziczakowa.

Cesarz przybywszy do Borysowa, przekonał się, że tamteży przejście jest niepodobne. Wysłał oficerów inżynierii o dwie mile powyżej Berezyny i mosty rzucić kazał pod Zemlinem. Ósmy pułk ułanów pod Tomaszem Łubieńskim pierwszy się brodem przeprawił i spłoszył kozaków Cziczakowa. Za nim Dąbrowski, dywizya Kniaziewiczza, Zajączka, Legia Nadwiślańska i brygada kirysyerów Berkem przez most co tylko zbudowany przeszli i ruszyli na Cziczakowa w lewo, który z naprzeciw Borysowa, dowiedziawszy się, iż most budujemy, spieszenie maszerował. O pół mili od mostu został on przez nasze wojsko pobity tak, że reszta armii i gwardye spokojnie mosty, już bowiem tymczasem drugi zbudowano, przeszły. Przyłączył się tam jen. Turno do naszego pułku. Bitwa ta, ostatnia w tej kampanii, wygraną została przez samych Polaków. Była przy nich tylko jedna brygada francuzka kirysyerów. Jenerałowie Dąbrowski, Kniaziewicz, Zajączek byli ranni, ostatniemu nogę odjąć musiano. Ponieważ księżę Poniatowski nogę zwichnął, cesarz oddał marszałkowi Ney komendę nad temi wojskami.

Ostatki wojska z mnóstwem rannych i chorych przechodziły rzekę, kiedy marszałek Victor przed Witgesteinem ustępując, do mostów doszedł. Kule moskiewskie już i za mosty pomiędzy rannych donosiły. Cesarz z gwardyą pomaszzerował wąską drogą przez bagna nie zupełnie zamarzniete, po ciasnej grobli, na której kilkanaście mostów było do przebycia, do Małodeczny. Za nami szły korpusa polskie, które Cziczakowa pobiły, a nareszcie marszałek Victor w tylnej straży. Trzeciego dnia przybyliśmy do Małodeczny spokojnie. Tam cesarz zdecydował się pospieszyć sam do Francyi, aby formacye nowej armii przynaglić, ale dopiero nazajutrz z Smorgoni, oddawszy komendę całego wojska Muratowi, wyjechał dwoma powozami, w jednym on i Cauliencourt, w drugim Duroc i adjutant Mouton, a na małych saneczkach przodem Wąsowicz i Rustan, mameluk.

Myśmy poszli do Wilna, ale tam tylko dwa dni zabawiwszy, dostaliśmy się w trzech dniach marszu do Kowna. Wychodząc z Wilna, a widząc straszny nieład i zamieszanie furgonów i powózek, które nie mogły po ślizgawicy na górę ponarską podjechać, a znając dobrze okolicę, skrzyłem z naszą jazdą na prawo i po lodzie na Wilii minęliśmy to niebezpieczne przejście. Za nami i na moje zaręczenie, że tamtędy się przedostaniemy, pomaszzerował i pułk jazdy sabaudzkiej, komenderowany przez księcia Carygnan.

W pochodzie do Moskwy nasz pułk przebył Niemen w sile 915 koni. Daliśmy kadry dla armii litewskiej, kadry na szwadron, który się uformował z ochotników w Gdańsku, a prócz tego wysłanych było trzech naszych kapitanów z Moskwy z kadrami do formowania trzech pułków jazdy, na co nie stało już czasu. Pomimo tych umniejszeń, pułk nasz napowrót Niemen przekraczając, miał jeszcze 422 ludzi i mocniejszym był, niż wszystkie trzy inne konne regimenta gwardyi razem wzięte. Nie rachuję holenderskiego, bo oprócz kapitana Colquhoun i jego brata podoficera, którzy do nas się przyczepili, już od Smoleńska nic z tego regimentu nie widziałem, a przecież nas nie ochraniało. Jak tylko od głównej kwatery przychodziły raporta, że się Kozacy pokazują gdzieś na boku, przychodził rozkaz: »Polonais allez voir.« Więc przepędzenie nocy spokojnej było dla nas rzadkim wypadkiem.

Jaka była dezorganizacya pomiędzy wojskiem Rzeszy niemieckiej, to najlepiej okaże moje spotkanie się z jen. Wrede, dowódcą Bawarów. Było to nazajutrz po przybyciu do Wilna. Mróz dochodził dwudziestu kilku stopni. — Były to najzimniejsze dni w tej zimie. Z rana szedłem do głównej kwatery Murata na zamku, spostrzegam na ulicy człowieka w płaszczu niewojskowym, z zawojem na głowie, ze szpadą gołą w ręku biegnącego szybko, a za nim około 12 lub 15 żołnierzy z karabinami, a bagnety spuszczone jakby do ataku. Spostrzegłszy mnie i poznawszy po mundurze i po czapce, żywym głosem zawołał: Gdzie główna kwatera? Kozacy w mieście, łapią naszych po ulicach, a gwardye nie ruszają się z kwatery! — Przypatrzwszy się dobrze twarzy obwiniejęj w chustki, również jak po głosie poznałem jenerała Wrede, któremu często widywałem w 1809 r. i spokojnie mu odrzekłem: Idę właśnie

do głównej kwatery króla Murata i jeżeli jenerał pozwoli, będę mu przewodniczył, ale możemy iść spokojnie, bramy obsadzone piechotą, a placówki jazdy w około miasta stoją, Kozaków w mieście jeszcze nie ma, zaręczam. Jenerał bądź łaskaw, włóż szpadę w pochwę, ażebyśmy króla Murata nie wystraszyli.

Ogółem francuscy oficerowie wyżsi daleko lepiej zimno i niewygody do końca znosili, jak sprzymierzeńcy i przekonany jestem, że gdyby był cesarz sam kazał swój namiot rozbić wśród wyznaczonego obozu, nie byłiby jenerałowie mogli się oddalać do domów, a za nimi niżsi oficerowie i żołnierze, i porządek mógłby się być utrzymać. Magazyny po etapach przygotowane byłyby porządnie rozdawanemi, zamiast co stawały się pastwą jakby ogólnego rabunku. Co zaś do bitw kilku, które w odwrocie stoczono, za każdą razą Francuzi, choć w mniejszej liczbie, zwyciężko się oparli.

Nasz pułk trzymał się dobrze. Oficerowie spali zawsze przy ognisku wśród żołnierzy. Jeść tak bardzo nie brakło, bo jednak byliśmy blisko głównej kwatery i spotykaliśmy transporta wołów, które były szły za armią. Przyszedszy na noc ułany, zajmowali jakie domostwo, strzegli, żeby je Francuzi dla ogrzania się nie zapalili. W niem zajmował się mój kuchcik Garoliński z kilkunastu ludźmi przygotowaniem, co można było. O mięso i mąkę postarali się żołnierze. Piekł kawałki mięsa i robił z mąki duże kluski, które przypiekał. Brak soli dokuczał nam mocno.

Rano przy wymarszu dostawał każdy taką kluskę ciepłą i kawał wołowiny, który się na dzień cały miało. Garolińskiego strzegły ułany, jak oka w głowie.

Jednego dnia siedliśmy kilku oficerów w izbie, żeby się rozgrzać i czekali na upieczenie kawała wołowiny, — a jak się izba rozgrzała, brzydki smród się rozszedł. Pod kupą słomy leżał zmarzły zupełnie jenerał holenderski.

Brygada cała Neapolitańczyków jeszcze przed Wilnem w jedną noc zmarzła. Wołali o ratunek króla Joachima, pokazywali zmarznięte ręce — wśród nocy nikt się o nich nie troszczył.

Przeszedłszy Niemen pod Kownem, jużesmy nigdzie nie obozowali, staliśmy zawsze po wsiach, dni kilka spoczeliśmy w Elblągu, a wreszcie na Toruń przybyliśmy do Poznania.

Tu król Murat zdał komendę księciu Eugeniuszowi, który wszystko zaraz uporządkował i co tylko niezdatne było do boju, w tył odesłał. Pokazało się, że tylko zostało 10,000, po największej części stara gwardya, kilka kompanii włoskich i 60 Bawarów konnych, których mi przydano, a którzy mi przez miękkość swoją zawadzali.

Wicekról Eugeniusz otrzymawszy wiadomość, że armia moskiewska z Płocka pomaszerowała na Kalisz, musiał opuścić Poznań. Przykro mi było wychodzić z Poznania, z myślą, że już nie tak prędko rodzinne strony zobaczę. O 4 tej z rana ostatnie nasze placówki zrejterowały się przed nieprzyjacielem do miasta, z którego wicekról wyszedł był z korpusem wilią. Jeszcze przededniem wysłałem szwadrony tylnej straży za nim, sam zostałem z kilku naszymi ludźmi i trębaczem na rynku, a 12 Bawarów umyślnie zostawiłem był za mostem, ażeby Kozacy śmieiej i nie w wielkiej liczbie nacierali. Gdy m spostrzegł tych ostatnich cofających się przez most, a za nimi Kozaków i zaraz potem regularną kawaleryą na Szerokiej ulicy, wtedy dopiero z ciężkiem sercem wolno koło trybunału wyjechałem, bo Moskale ujrzawszy kilka polskich chorągiewek na rynku, stanęli. Z 12 tymi Bawarami i 6 naszymi pomaszerowałem za szwadronami. Była 8 ma godzina z rana 12-go lutego 1813 r.

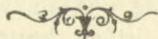
Jużeśmy nieprzyjaciela nie widzieli aż do Magdeburga, gdzie odwrót z Moskwy się zakończył.

Marszałek Bessières, który kawaleryą gwardyi dowodził, wysłał mnie do Frankfurtu nad Menem dla odebrania dwóch tysięcy koni, które książęta niemieccy na umontowanie gwardyi cesarzowi ofiarowali. Przydał mi do tego oficera i po kilku starych wachmistrzów z każdego regimentu. Czynność ta zatrudniła mnie kilka tygodni, ale przy niej odpocząłem, bom mieszkał u mego dawnego kolegi i przyjaciela Taschera, którego cesarz z powodu słabego zdrowia gubernatorem Frankfurtu był mianował.

Książę Dominik Radziwiłł, który ósmym pułkiem ułanów Księstwa Warszawskiego jako pułkownik przez całą rosyjską kampanią komenderował, został grosmajorem w naszym regimentcie, nad którym później pod Lipskiem dowództwo objął. Dano mu na kantonement miasto Grimma, ale wkrótce przy-

maszerował także pod Frankfurt do Friedbergu, gdzie z dywizji generała Dąbrowskiego wybrano 500 najlepszej kondyty ludzi dla naszego pułku, do którego przyłączono także resztę gwardyi litewskiej, która tak wiele pod Słonimem straciła, wraz ze swoim dowódcą jen. Konopką. Tym sposobem zamiast 5 szwadronów mieliśmy 10, ale z tych 6 pozostało w Friedbergu, a 4, te właśnie, co z Moskwy powróciły, już w kwietniu pomaszerowały na Fulde, Wejmar, na linię bojową pod dowództwem Dominika Radziwiłła. Dowodziłem pierwszymi dwoma szwadronami, a Jerzmanowski drugimi.

Cesarz dojechał nas w Naumburgu. Nazajutrz 1 maja mieliśmy małą potyczkę za Weissenfels. Pokazały się na wzgórkach linie jazdy nieprzyjacielskiej z artylerją. Cesarz wysłał marszałka Bessières dla rozpoznania z pierwszym moim szwadronem. Kilka tylko razy Moskale ognia z dział dali. Kula trafiła marszałka w głowę i ta sama mego wachmistrza z prawego skrzydła, Jordana zabiła.



## WOJNA SASKA 1813 ROKU.

---

Wojna saska zaczęła się 1-go maja 1813 roku. Pod miastem Weissenfels padły pierwsze strzały, z których jeden działowy, jak wyżej powiedziałem, zabił marszałka Bessières, który stał 30 kroków przed moim szwadronem, i wachmistrza mego Jordana.

Cesarz oddał dowództwo gwardyi marszałkowi Soult. Tegoż samego dnia pomaszerowaliśmy z cesarzem dalej. Kawalerya i artylerya nieprzyjacielska cofały się przed nami aż za Lützen, gdzie stanęła główna kwatera. My rozłożyliśmy się obozem pod samem miastem. 2-go maja ruszyliśmy ku Lipskowi. Książę Eugeniusz szedł z korpusem przed nami, za nim gwardya, po naszej prawej stronie maszerował korpus marszałka Ney'a i zajął wieś Kaja, za gwardyą korpus marszałka Marmont, a w końcu korpus jen. Bertrand, adjutanta cesarza. Wszystkie korpusa postępowały w ściśniętych kolumnach, dla tego, że nie mieliśmy więcej kawaleryi, jak 200 koni z księciem Eugeniuszem, 1600 kawaleryi gwardyi i 600 dziesiątego pułku huzarów w korpusie jen. Bertrand.

Okolo 10-tej godziny z rana usłyszeliśmy mocny ogień działowy i ręczny za wsią Kaja. Cała armia pruska i moskiewska uderzyły niespodzianie na korpus Ney'a, złożony z samych młodych żołnierzy (premier bon); nie wytrzymali ataku i ognia licznej artyleryi i wieś Kaja opuścili. Cały korpus poszedł w rozsypkę, broń rzucając i okrył pola, na które wmaszerowaliśmy.

Chwila była krytyczna. Cesarz jechał na czele gwardyi, posłał rozkaz księciu Eugeniuszowi, aby rozwinął się w prawo, przez co się do niego zbliżał, a sam zwróciwszy konia, rozkazał nam za sobą kłusem maszerować, za nami zaś piechocie gwardyi (była tylko młoda) i artyleryi. W pół godziny stanęliśmy pomiędzy szosą i wsią Kaja i na przeciwko tej rozwinęliśmy się w jednej linii na polu, po którym jeszcze ostatki młodych żołnierzy Neya uciekały. W jednej godzinie armia cała, 120-tysięczna, maszerując w kolumnach ku Lipskowi, gdzie cesarz spodziewał się zastać nieprzyjaciela, a zatem gotował się ją rozwinąć naprzód przed sobą, została łatwiejszym jeszcze manewrem rozwiniętą w prawo. Wszystkie korpUSA prostym zachodem w prawo przeszły, gwardya tylko skutecznie obrót prawo w tył półgodzinnym marszem, by stanąć w miejscu najbardziej zagrożonem, to jest naprzeciw wsi Kaja, którą nieprzyjaciel obsadził. Skorośmy naprzeciw tej wsi w linii stanęli, przywitano nas nie tylko ogniem działowym, ale i z ogrodów ręczną bronią.

Uciekających żołnierzy marszałka Neya kazał cesarz nieprzepuszczać pomiędzy szwadronami. Musieli się cofać za nasze lewe skrzydło, to jest między nami i nadchodzącą młodą gwardyą. Tym sposobem zamiast rozpierzchać się po całej płaszczyźnie, skupiali się, ażeby tą przerwą ująć przed strzałami nieprzyjaciela. Byli to już ostatni, którzy najdłużej wytrzymałi we wsi, najwięcej oficerów i podoficerów, wszystko starsi żołnierze, łatwiej więc ich było zebrać za nami, bo broni nie poporzucali, jak młodszy, ale ich było nie wielu.

Nadeszła artylerya. Cesarz kazał zaraz dwie baterye na naszym skrzydle odprzodkować, a młodą gwardyę w dwie kolumny za nami uformować. Nieprzyjaciel nie wyszedł ze wsi, obsadzał wszystkie domy, a czarna kolumna jego jazdy stanęła na lewo wsi Kaja tak blisko nas, że łatwo było rozpoznać, że w pierwszej linii szerokiej kolumny znajdował się pułk kirysyerów, a obok niego huzarów czarnych. Słyszeliśmy nawet ich komendy, w chwili krótkich przerw w odgłosie strzałów działowych. Widać także było różne ruchy w kolumnie po za temi dwoma regimentami. Pewniśmy byli, że na nas uderzą i tak liczną jazdą od prawego oskrzydlić spróbują. Gotowaliśmy się ich dobrze przyjąć, ale stracili wiele czasu

na przygotowaniach i korzystna dla nich minęła chwila. Na wojnie dowódzca prędko decydować się musi. Co w tej chwili jest podobnem, za pięć minut staje się nie do wykonania. Decyzya i bystre oko są nieodzownemi warunkami.

Baterye nasze coraz liczniej na linię przychodziły. Cesarz cały ogień na wieś skierować kazał. Moje dwa szwadrony plutonami w prawo posunął. Jerzmanowskiego dwa drugie w lewo, a zrobiwszy miejsce pomiędzy nami, sam do był szpady, stanął między dwoma kolumnami młodej gwardyi, ruszył z niemi na wieś Kaja i bez wystrzału wszedł do niej. Młoda gwardya położyła bagnetami wszystko, co we wsi było. Ogień na nas z ogrodów ustał. Jazda nieprzyjacielska się nie ruszyła. Zmieniło się położenie. Z odpornego przeszło w jednej chwili w zaczepne. Na naszym prawem skrzydle pokazał się w odległości korpus Marmonta. Być może, iż ten widok wstrzymał był tę liczną jazdę nieprzyjacielską od działania, a zdaje się, iż atak na okrążeniu prawego skrzydła francuzkiego, miałyby więcej szansy, gdyby go byli spróbowali, zamiast wszystkiemi siłami bronić wsi Rahna, Kaja i Görschen, które się stały ich grobem.

Wkrótce potem przysłał cesarz po nas i przeszliśmy przez wieś zasłaną trupami i rannymi. W niektórych miejscach leżało kilku jeden na drugim, nieprzyjaciół i Francuzów razem. W jednym spostrzegliśmy zabitego gwardzistę pruskiego, bardzo dużego, a obok jak gdy w jego objęciach małego młodego Francuza. Jenerał Lefèbvre Desnouettes, który na naszym jechał czele, rzekł patrząc na to, że się wydają jakby ojciec z synem. Był to ten sam jen. Lefèbvre, którego w Hiszpanii wzięli Anglicy do niewoli. Powiadał mi, iż osadzony w małym miasteczku w środku kraju, znalazł tam kupca, który mu za 100 gwineów ucieczkę ułatwił i nad morze odstawił, a kontrabandzista przewiózł go spokojną nocą na brzeg francuzki.

Przeszedłszy wieś Kaja, uformowaliśmy się za młodą gwardya, która postępowała za nieprzyjacielem, ze wszystkich stron się cofającym.

Na naszym lewym skrzydle miał książę Eugeniusz trudniejsze zadanie, miał korpus moskiewski pod Witgensteinem przed sobą, który dopiero wtedy rejterować się zaczął, gdy młoda gwardya za korpusem pruskim szybko się posunęła i artytle-

rya z boku mu zaszła. Już się więc cofała cała linia nieprzyjacielska, cofała się i jazda na naszym prawem skrzydle, bo za nią postępował korpus marynarzy pod Marmontem, a dalej w prawo korpus jen. Bertrand, adjutanta cesarza. Nie mieliśmy, jak wspomniałem, tylko 2400 koni w całej armii, cesarz więc nie chciał jej użyć, ażeby jej nie zmniejszać, ale rzecz dziwna, że liczna jazda nieprzyjacielska nic nie przedsięwzięła.

O zmroku cesarz kazał wszystkim korpusom stanąć, ale pozostać pod bronią. Nim zupełnie ściemniało, widzieliśmy, że się jazda nieprzyjacielska zatrzymała, a piechota cofała się dalej.

Skoro noc zapadła, a była ciemna, działa ucichły. Jenerał Lefèbvre Desnouettes przyjechał do mnie i kazał mi z jednym szwadronem pomaszerować z sobą. Posunawszy się przed naszą piechotę, która stała około 1000 kroków od nieprzyjaciela, jadąc z jenerałem o kilka kroków przed szwadronem spostrzegliśmy po prawej naszej stronie jakby linią wojska stojącego. Troszeczkę jaśniej było na samym brzegu horyzontu, mimo więc tak ciemnej nocy, widzieliśmy tę linię. Kazał jenerał stanąć, a ja z porucznikiem pierwszego plutonu, Łęskim, pojechaliśmy w tę stronę, aby więcej pewności nabrać. Podjechawszy może 200 lub 250 kroków bliżej, nie tylko ujrzeliśmy linię, ale i szelest stojącej jazdy usłyszeliśmy. Wolno do szwadronu wracając, a biorąc się nieco na lewo, napotkaliśmy jeźdźca, stojącego przy koniu. Ponieważ tuż koło niego przejeżdżałem, poznałem szyszak rosyjski lub pruski, były bowiem jednakowe. Schwycałem za jego cugle, a on troszkę napiły, ozwał się po niemiecku: »Kto to? (Wer da?) Po tych słowach poznawszy jego narodowość, kazałem mu wsiąść na konia. Łęski jechał z drugiej strony, a ja za cugle naszego jeńca prowadziłem, nie szarpał się wcale, tylko się chciał tłómaczyć, da czego z szeregu wyjechał i zsiadł z konia, ale zaraz go uciszyłem i mimo, że był napiły, zdawał się rozumieć, że musi być cicho. Przybywszy do jen. Lefèbvre, który z adjutantem o 10 lub 15 kroków stał przed szwadronem, zapytałem się tego kirysyera, z którego jest regimentu. Odpowiedział: Z 1-go brandenburskiego kirysyerów. — Gdzie wasz regiment stoi? — Nie może być dalej, jak ze sto kroków, dopiero com szereg opuścił. Skoro te odpowiedzi przetłómaczyłem jenerałowi

Lefèbvre, dobył pałasza i dość głośno powiedział: Ha! ha! chcąc niespodzianie wpaść na nas, szarżujmy na nich, w nocy nas nie porachują! — Wtem cesarz, który z kilkoma oficerami ordonansu jechał za szwadronem, o czym nie wiedzieliśmy, wychylił się z ciemności, usłyszał, co mi Lefèbvre rozkazuje i zbliżając się, zawołał: Lefèbvre! zawsześ ten sam, nieroztropny (toujours fou), niech szwadron stoi. Potem kazał mi jeszcze raz pytać się kirysyera pruskiego; ten czy nas nareszcie poznał i uląkł się, czy też dla tego, że był podpiły, dość gładko odpowiedział, że o północy ma na obóz francuzki uderzyć 20 regimentów jazdy (zapewnie tak żołnierzom było powiedziane). Cesarz rozkazał nam cofnąć się i powróciliśmy z nim za linią piechoty, która wciąż stała pod bronią. Niebawem na całą linią wysłał rozkaz, ażeby przed każdą dywizją cicho jeden batalion o sto kroków się wysunął, uformował w czworobok i ażeby tak wszystkie spokojnie stały.

Przed północą jeszcze usłyszeliśmy łoskot jazdy nieprzyjacielskiej przed nami. Nie trwało to i dziesięciu minut, gdy na prawej od nas stronie jeden czworobok piechoty dał ognia. Wprost przed nami także hałas jazdy słychać było, ale czworobok stojący przed piechotą, znajdującą się tuż przed nami, wcale nie wystrzelił. Od ognia czworoboku na prawo konie nasze tak się postrachaly, że trzeba było szwadrony równać na nowo. Atak jazdy wśród nocy udać się nie może, najmniejsza linia piechoty wstrzyma go i jazda będzie się musiała cofać w nieporządku. Tak też się zapewne z tą moskiewsko-pruską stało. Napady podobne powinny się wykonywać na godzinę przededniem, ażeby potem korzystać z nieporządku nieprzyjaciela, jeżeli się napad udał.

Tą razą cesarz nie mając jazdy poddostatkim, nie mógł kazać rozstawić placówek przed całą linią i wysłać patroli, dla tego całą pierwszą linię piechoty pozostawił pod bronią, a może też był przez szpiega uwiadomionym o zamiarze nieprzyjaciela.

O 2-giej kazał cesarz zmienić pierwszą linię piechoty, bo druga linia i rezerwa były już kilka godzin spoczęły. Druga ta linia stała od 2-giej do rana pod bronią.

My pomaszzerowaliśmy dopiero o 2-giej po północy za cesarzem napowrót do Lützen i stanęliśmy obozem pod mia-



stem, na tem samym miejscu, na którym przebyliśmy noc przeszłą.

Nie długośmy odpoczywali, bo zaraz z rana ruszył cesarz z Lützen i my za nim. Poszliśmy znowu przez wieś Kaja i połączyliśmy się z piechotą, która już była w marszu ku Pegau, prostszym gościńcem do Drezna, krótszym, jak na Lipsk.

W marszu na Drezno codzień wydarzały się małe potyczki pomiędzy naszą przednią a tylną nieprzyjacielską strażą. Kilka razy staliśmy w takim położeniu na wzgórzach, żeśmy z daleka na te utarczki patrzeli. Miały one coś szczególnego, bo z naszej strony tylko sama piechota działała, z nieprzyjacielskiej zaś liczna kawalerya. Piechota francuzka w kolumnach postępowała naprzód z tyralierami przed sobą, których jednak nigdy daleko nie wysyłała, bo tego oczywiście czynić nie mogła wobec licznej jazdy i zawsze chmarami ucierających się Kozaków. Postępowała ona tak naprzód bez ustanku i tylko wtedy, gdy nieprzyjaciel liczną artyleryą pokazywał, kolumna się rozwijała, idąc naprzód niemniej spiesźnie. Pośród batalionami szły działa, które, kiedy położenie sprzyjało, odprzodkowały i dawały ognia, ilekroć nieprzyjaciel z odwrotu zdawał się do ataku przechodzić. Zapewnie daleko lepiej jest mieć i jazdę w przedniej straży, ale ten marsz nasz od Lützen do Drezna i potem aż do Budyszyna (Bautzen) dowodzi, że nie potrzeba w przedniej straży tyle jazdy, ile jej zwykle używają i zużywają. Ponieważ musi być zawsze na baczności, a zatem konie ciągle mieć okulbaczone, bardzo się niszczy, jak to dowiodła dostatecznie wojna w Moskwie. Król Murat miał zawsze liczną jazdę w przedniej straży, a często aby przejść przez las, przed którym cała kawalerya kilka godzin zatrzymaną bywała przez kilkaset strzelców pieszych moskiewskich, na jeden batalion piechoty czekać musiał. — W ciągu tego marszu z Lützen aż pod Budyszyn piechota nasza, ile mogłem się dowiedzieć, chociaż bez jazdy w przedniej straży, ani razu znacznie nie ucierpiała i traciła tylko ludzi od kul, ale nigdzie napady kawaleryi na nią się nie powiodły. Dopiero, że tu wyprzedzę wypadki, aby wszystko razem o piechocie w przedniej straży powiedzieć, po bitwie pod Budyszynem, pod Haynau, bardzo niewłaściwie użyto piechoty w przedniej

straży. Dywizya Maison stanęła przed tem miastem, a nie za miastem, i wystawiwszy w bliskości przed sobą kilka słabych placówek z czatami, złożyła broń w kozły i rozeszła się cała po żywność do miasta. Jazda nieprzyjacielska, poblizkim laskiem zakryta, napadła i porąbała placówki, dostała się do broni w kozły złożonej, straż pobiła i po kilku minutach cofnęła się. Nie wielka była strata w ludziach, ale znaczny zły wpływ moralny. Nie byłoby się to stało, gdyby dywizya była stanęła za miastem, a przeznaczyła jeden batalion do zajęcia ostatnich domów w mieście przed sobą i wystawienia czat i placówek. Kiedy przedniej straży nie wypada stanąć pod miastem lub wsią i położenie zmusza ją przejść przed miasto i stać na polu, trzeba się strzedz dobrze i po żywność, drzewo, słomę rozpuszczać częściami. Ale armia cesarza nigdy się dosyć nie strzegła. Powtarzam, że to nie może być regułą, iż przednia straż jazdy nie potrzebuje, ale tu tak było z konieczności... Lepiej daleko, i tak być powinno, mieć jej tyle tylko, ile potrzeba na placówki, czaty, a zwłaszcza na patrole i rozpoznania. Do tego nie tak licznej potrzeba kawaleryi. Według mego przekonania, większa jej część powinna być w rezerwie, ażeby jej można użyć w bitwie i do ścigania po wygranej. Nie pragnę jazdy ochraniać, owszem radzę używać jej sownie, ale we właściwym czasie i miejscu. Nie chcę, żeby ona podczas bitwy z daleka w tyle stała, niech owszem stoi w pobliżu za piechotą, a czasem i obok piechoty, jeżeli otwarte jest pole, ażeby była gotową rozbić nieprzyjaciela w każdej chwili, skoro się korzystna pora dla jej ataku nadarzy. Prawda, że więcej od ognia straci na linii, niż jeżeli stoi daleko z tyłu, ale doświadczenie uczy, że jazda, która ogień kilka godzin wytrzymała, tem silniej i śmielej idzie do ataku, chociażby dużo już straciła. Nie od kul zatem chcę jazdę ochraniać, ale od szarżowania na próżno. Francuzi oszczędzać jazdy nie umieli. Z wyjątkiem wojny saskiej, zawsze jej zanadto w przedniej używali straży, za mocne rozpoznania i patrole wysyłali, przez co niszczyli wiele koni i dużo ludzi tracili, zwłaszcza przeciw Kozakom, którzy wciąż robią zasadzki i w takiej wojnie są bardzo przebiegli.

Wmaszerowaliśmy bez oporu 8-go maja do Drezna, do starego miasta; most na Elbie był nawpół wysadzonym, a w no-

nowem mieście stali Moskale z działami nad rzeką i strzelali do każdego, co się na drugim brzegu pokazał. Cesarz dał rozkaz swemu oficerowi ordonansu Caraman zaprowadzić baterią gwardyi nad brzeg Elby; przyjemnie było widzieć, jak tenże umiał w rozporządzaniu swoim rozweselić oficerów i kanonierów. Nie wystrzeliła bateria z sześciu dział jak po trzy lub cztery razy, a ujrzeliśmy wielki nieporządek na przeciwnej stronie. W pół godziny znikły działa moskiewskie, a wojsko za niemi.

Na lewo Drezna była inżynieryja francuzka; rzuciła także most pod zasłoną 60 dział, które jen. Drout na wzgórkach koło Prusnitz ustawił. Zaciągnięto tegoż samego dnia bale na most, z którego jeden tylko łuk był wysadzonym. 10-go przeszedł korpus wicekróla włoskiego i pomaszerował ku Budyszynowi. Za nim pospieszył marszałek Marmont. Cesarz z gwardyą dopiero w kilka dni, t. j. 18-go po powrocie króla saskiego, który przed Moskalami do Pragi był się schronił.

W jednym dniu odbyliśmy marsz z Drezna aż pod Budyszyn. Tego samego dnia, 18-go maja, cesarz prawie całą noc jeździł po linii chat naszych, ażeby rozpoznać położenie nieprzyjaciela przez ognie jego biwaków. Myślał cesarz, że on będzie bronił korzystnego stanowiska około Budyszyna, na bo miasto łatwo było do obrony przysposobić. Na lewo są znaczne wyniosłości, a na prawo zaczyna się pasmo pagórków oddzielających Czechy od Saksonii. Cesarz rozporządził wszystko do bitwy nazajutrz i wszystkie razem korpusa postąpiły naprzód, Oudinot na prawo, Marmont w środku na sam Budyszyn, zaś marszałek Ney, który był pomaszerował na lewo do Hoyerswerda, otrzymał także rozkaz przybycia na nasze lewe skrzydło pod Budyszyn.

Maszerowały wszystkie korpusa, gwardye w środku, ale nieprzyjaciela, prócz małych oddziałów ułanów i mnóstwa cofających się Kozaków, nigdzie piechoty, ani artyleryi widać nie było.

Minęliśmy Budyszyn, przemaszerowaliśmy na lewo, przeszliśmy rzeczkę Spreę, prawie suchą, i dopiero o pół mili za Budyszynem ukazały nam się linie nieprzyjacielskie pod Hochkirch.

Już wieczór nadchodził. Z zachodem słońca cesarz wrócił do Budyszyna, gdzie mu na biskupstwie kwaterę przygotowano.

Nam zaraz, skorośmy do miasta za cesarzem weszli, rozdano bilety kwaterunkowe. Stanęliśmy spokojnie po stajniach, rozkubaczyliśmy konie, prócz szwadronu służbowego tak, jak wśród pokoju. Mieszkańcy wszędzie byli po domach i wieczrę nam przygotowali. Raz tylko jeden nam się taka uciecha zdarzyła, tak blisko nieprzyjaciela, ale piechota na pozycyi o pół mili od miasta nas strzegła, a wtedy ochraniano i pielegnowano tę troszkę jazdy, która pozostała po kampanii moskiewskiej.

Zapowiedziano nam w wieczór, ażeby o 4-tej z rana były konie pokubaczone, ale nie ruszyliśmy dopiero o 7-mej za cesarzem i stanęliśmy, cała kawalerya gwardyi, to jest cztery regimenta, w jednej linii na dość wyniosłym położeniu tak, że z Hochkirch nieprzyjaciel mógł dobrze nas widzieć. Stanowiliśmy środek i komunikacją pomiędzy lewym a prawym skrzydłem, ponieważ cesarz posunął korpus Marmonta i kawaleryą jen. Latour-Mauburg ze środka na lewo z powodu, że marszałek Ney z Hoyerswerda doniósł, że zastał bardzo złe drogi i dopiero w południe stanąć zdoła na linii. Cesarz odebrawszy tę wiadomość, wstrzymał atak piechoty, ale działa grały bezustannie i nawet na naszym prawym skrzydle w górach pomiędzy zaroślami szedł z obu stron rześisty ogień tyralierski.

Cesarz przy tej muzyce położył się na płaszczu rozpartym i rozkazawszy się obudzić za dwie godziny, zasnął jak najspokojniej przed nami.

Przez przeciąg tych dwóch godzin na naszym prawym skrzydle po górach grał ogień tyralierski i z dział kilkunastu, które Francuzi wciągnęli na góry. Nieprzyjaciel miał tam więcej armat, bo też mu nie brakło czasu do przygotowania. Na środku przed nami szedł tylko ogień działowy, w dolinie rzadki tyralierski. Dochodziły do nas niekiedy kule z dział pozycyjnych, ale te kilkanaście, które w odskokach do nas słabo się przytoczyły, żadnej nam nie zrzędziły szkody. Jeden granat padł niedaleko cesarza.

Około godz. 1 przybył pułk 7-my ułanów, bardzo piękny. Był to regiment stary polski, który wszystkie wojny włoskie odbył, a teraz ściągnięty z Hiszpanii, został skompletowanym w Sedan z zakładu ludzi tam wysłanych z korpusu polskiego

nad Renem. Pułkownikiem jego był Stokoski, nasz dawny podpułkownik, z rangą jeneralską.

Pozostał on w Sedan dla formowania jeszcze dwóch szwadronów, a tymczasem pułkiem dowodził pułkownik Tański. Stał ten regiment na naszym lewym skrzydle i przedłużył linią jazdy gwardyi.

Jeszcze cesarz spał, kiedy od marszałka Ney'a przybył oficer ordonansu cesarski Berenger z doniesieniem, że korpus marszałka po przebyciu dróg piaszczystych debuszuje naprzeciw prawemu skrzydłu nieprzyjacielskiemu, rozłożonemu na wzgórkach, na którym, jak widać było z daleka, przygotował się polnemi okopami do mocnego oporu. Marszałek Duroc, który chodził obok śpiącego cesarza, nie sądził potrzeby obudzenia go przed upływem dwóch godzin, tak byli wszyscy przyzwyczajeni do ścisłego trzymania się do danych przez cesarza rozkazów. Dobywszy więc zegarek, rzekł: »Za dwadzieścia minut.«

Nie wyszło jeszcze te 20 minut, gdy usłyszeliśmy mocny ogień działowy z pozycyi moskiewskiej na naszym lewym skrzydle. Widać także było nie tylko dym, ale i błyskawice tych dział. Ogień tak od razu szedł ostro, że cesarz się obudził i zawołał: Ney musi atakować! Siadł na konia, porozsyłał oficerów swoich ordonansu do wszystkich marszałków z rozkazem ruchu naprzód, dodając: Za godzinę nasze zwycięstwo! Omylił się jednak w rachubie czasu, bo wyszła godzina, a prawe skrzydło nieprzyjaciela trzymało się w miejscu i ogień nie tylko nie ustawał, lecz zdawał się gęstszym i męszał się z rotowym piechoty. Wysyłał cesarz prawie co 10 minut jednego po drugim oficera, a żaden z nich nie wracał. Stał na koniu cesarz o jakie 50 kroków przed nami. Byłem podjechał blisko, ponieważ z tego miejsca lepiej było całe położenie przed nami widać. Cesarz się obrócił, szukał oczami, a nie widząc już żadnego oficera ordonansu i spostrzegłszy mnie, zawołał: Klaposki (tak on i wszyscy Francuzi wymawiali moje nazwisko) i powiedział bardzo żywo: ruszaj do Ney'a i powiedz mu, niech się spieszy i niech uderzy razem wszystkimi siłami, Marmont już dochodzi do jego prawego skrzydła i wesprze go zaraz.

Zastałem marszałka wśród najmocniejszego ognia, pomiędzy kolumnami piechoty, odpartymi i formującymi się na nowo. Pierwsze, które napotkałem, były wirtemberskie, w największym nieładzie cofające się, potem francuskie w lepszym porządku, ale również rejterujące. Powtórzyłem marszałkowi słowa cesarza. Ney zaklął i odpowiedział: Jedź nazad, powiedz cesarzowi, że nie Prusaków, lecz Moskali mam przed sobą (Dites donc à l'Empereur que j'ai des Russes devant moi. Si j'avais eu des Prussiens il y a longtemps qui j'aurais enlevé la position.) Teraz wezmę do ataku samych naszych (tj. Francuzów), sprzymierzeńców odeślę w tył, nie na Moskali oni.

Jakoż cztery kolumny z rezerwy, sami Francuzi, posuwały się już naprzód i mijały te, które były odparte. Do każdej marszałek Ney nadjechał i powiewając kapeluszem, kilku słowami zachęcił. Z nadstawionymi bagnietami czołowe kompanie grenadyerskie bez wystrzału, krokiem jak tylko mogły najspieszniejszym, maszerowały pod górę. Padało wielu, ale niedługo. Były już może o 200 kroków od wierzchołka i od baterii moskiewskich, gdy ogień ustał. Doszedłszy na sam wierzch, znalazły okopy na przedce wyrzucone, próżnemi. Wjechaliśmy zaraz pomiędzy środkowymi kolumnami na sam wierzchołek, skąd piękny nam się widok przedstawił, — już tylko końce kolumn piechoty moskiewskiej za wsią Weissenberg szarżały. Musiały one już więcej jak od pół godziny zejść z pozycyi. Za niemi działa uchodziły klusem, a na płaszczyźnie między nami a Weissenberg stała w dwóch liniach jazda nieprzyjacielska, jakie 6000 koni, zasłaniając rejteradę artyleryi.

Cofnęli się więc Moskale na czas, ażeby mniej ludzi stracić. Dowodził nimi Wittgenstein i musiał zawczasu osądzić, albo że Francuzi szturmem wezmą pozycyą albo że korpus Marmonta, który się posuwał ku wsi Boschwitz, wpadnie mu w lewą flankę.

W ataku na pozycyą są dwa akta. W pierwszym atakujący wiele ludzi traci od ognia, na który źleby zrobił, gdyby odpowiadał. W drugim, nieprzyjaciel trzymający pozycyą, jeśli przy niej się upiera, traci więcej, ponieważ nacierający żołnierz zdobywszy pozycyą, mimo strat poniesionych, nabiera ta-

kiej moralnej przewagi, że bagnetem przewraca wszystko, co tylko przed sobą zastaje. Moskale odegrali tu dokładnie pierwszy akt, uniknęli roztropnie drugiego. Cofnęli się zawczasu w największym porządku i rozwinęli za sobą liczną jazdę, której my nie mieliśmy czem zaczepić.

Powróciłem do regimentu, który zastałem w marszu za cesarzem ku Hochkirch. Nie sądziłem potrzeby zdawania mu raportu, gdyż wiedziałem, że z miejsca, na którym go zastałem, widział doskonale wszystko, co u marszałka Ney'a zaszło.

Już ciemniało, kiedyśmy do Hochkirch przymaszerowali. Okopów więc, które był tam nieprzyjaciel przedewszystkiem porobił, nie można było dojrzeć. Opuścił je, skoro jego prawe skrzydło się zrejterowało. Stanęliśmy obozem w lewo Hochkirch przy wsi, w której przygotowano cesarzowi kwaterę.

Nazajutrz 22-go maja ruszyliśmy zaraz z rana za cesarzem do Zgorzelic. Uszedłszy dwie godziny marszu, usłyszeliśmy ogień i ręczny i działowy przed nami. Wkrótce przybył do nas marszałek Soult, który po marszałku Bessieres objął dowództwo nad gwardyą i dał rozkaz jenczałowi Walter, dowodzącemu jazdą gwardyi, ażeby z całą pomaszerował w prawo i postąpił na wysokość pagórka, na którym tylna straż moskiewska stała i przejścia przez miasteczko Reichenbach broniła i ażeby przyszedłszy na tę wysokość, zwrócił na lewo i w lewy bok nieprzyjaciela atakując, zmusił go do cofnięcia się. Ruszyliśmy zaraz plutonami w prawo przez pola i kłusem, kiedy tylko można było, uszliśmy z pół mili aż nad rów głęboki, obsadzony drzewami. Tam musieliśmy się zatrzymać i wolno po dwóch się przeprawiać. Skoro moje dwa szwadrony przeprawiły się, generał Lefèbvre Desnouettes, który maszerował na naszym czele, kazał mi ruszyć dalej i spędzić Kozaków, których cały tabun widać było przed nami. Rozwinąłem oba szwadrony i pomaszerowałem stępem ku nim. Kozacy rejterując się, strzelali z janczarek. Postąpiliśmy tak z 300 kroków, podczas kiedy dwa nasze drugie szwadrony pod Jerzmanowskim przez rów się przeprawiały. Przymaszerowaliśmy nad drugi rów, ale mniej głęboki. Kozacy się za nim zatrzymali, gęściej strzelać zaczęli z poza drzewek i bliżej nas dopuszczali, ale jednak, jak w dwóch miejscach poczęliśmy przechodzić, znowu się cofali. Przebywszy ten rów, ujrzelśmy za

Kozakami linią kawaleryi. Wyjechawszy z 50 kroków naprzód, rozpoznałem cztery szwadrony, dwa dragonów w środku, na skrzydłach zaś po szwadronie ułanów.

Skoro oba moje szwadrony przeszły i stanęły w linii, ruszyłem wolno naprzód. Jenerał Lefébvre przypadł do mnie i mówił, żeby już puścić szarżę. Mówił to jednak nie rozkazując, bo dodał, że się spuszcza na mnie. Inaczej, na jasny rozkaz byłbym oczywiście zakomenderował kłusem a potem galopem. Kiedy się komenderuje galopem, to już nie potrzeba marsz-marsz, doświadczenie bowiem uczy, że w boju nikt tego nie dokaże, ażeby tak, jak na mustrze, można było dopiero po galopie linią w marsz-marsz wprowadzić.

Byliśmy jeszcze około 500 kroków od nieprzyjaciela, powiedziałem więc jenerałowi obok mnie jadącemu: Pozwól jenerał, podjadę stępo o 150 kroków i ze stępa zakomenderuję marsz-marsz, a ręczę, że środek rozbiję. Przyzwolił i zwrócił do szwadronów przeprawiających się przez rów za nami.

Maszerowałem stępo pewnie jeszcze ze 300 kroków, zapowiedziawszy obu szwadronom, że na komendę marsz-marsz ruszą cwałem z kopyta, ale lanc nie spuszcza, dopiero po twarzach dragonów. Doszliśmy stępo tak blisko do linii, że słychać było głosy nieprzyjacielskie, zapewne oficerowie do żołnierzy mówili: Szutka (to żart). Byliśmy może o 200 kroków, gdym zakomenderował: marsz i mgnieniu oka byliśmy na ich linii. Kapitan Jankowski<sup>1)</sup> był przy mnie na prawo, porucznik Gielgud<sup>2)</sup> na lewo, tego koń spał się na dragonów i tej samej chwili ugodził go oficer dragoński pałaszem w brzuch tak, że spadł z konia (umarł jednak dopiero w kilka tygodni potem).

Starcie się z linią nie trwało i kilku sekund. Lubo w pierwszej chwili dotrzymani, zaraz się pomięszali i uciekać zaczęli nawet i ułani, którzy nie mieli nikogo przed sobą. Nie widziałem, czy wielu leżało na ziemi, bom prędko przeleciał, ale oba szwadrony nie goniły w porządku, żołnierze prześcigali tych, którzy mieli słabsze konie i kazali im z koni zsiadać. Spostrzegłem wkrótce, że druga linia postępuje ku nam i że wszystko ułani. Zatrzymałem się i ledwie równać zdą-

<sup>1)</sup> Późniejszy jenerał w roku 1830.

<sup>2)</sup> Brat starszy jenerała z roku 1830.

żyłem, kiedy ta linia ułanów szarżę na mnie przypuściła, zanim jeszcze moje szwadrony zupełnie zrównane były. Musiałem zrównać szybko i zakomenderować: naprzód i marsz, inaczej byliby na nas stojących uderzyli, czego nigdy nieprzyjacielowi dopuścić nie należy i dopiero co na dragonach i ułanach okazało się jak źle zrobili, że — choć w podwójnej liczbie — przyjęli naszą szarżę stojąc. Nawet wystrzelili do nas bardzo blisko z karabinów, czegośmy nawet nie uważali, bo taki ogień z konia osobliwie w linii nic nie znaczy przeciw starym żołnierzom. Ruszyłem tedy naprzód stępo, ale zaraz znów zakomenderowałem: marsz-marsz.

Ułani moskiewscy, w galop puszczając, nieco się rozlecieli, jednak tym razem natarcie ich pomieszało nas z nimi, a ponieważ było ich więcej, zapewne bylibyśmy źle wyszli, gdyby Jerzmanowski nie był nadszedł z drugimi dwoma szwadronami. Był to najprzezorniejszy sztaboficer z regimentu, najdoświadczeńszy i zimną, piękną miał odwagę. W samą porę uderzył na naszej lewej stronie, podsunawszy się także stępo bardzo blisko, ażeby tem mocniej uderzyć. Ułani uciekali prawie prędzej, jak byli szarżowali. Zostało kilkunastu w naszym ręku. Niektórzy mocno ranni jęczeli i mówili po polsku. Przykro mię to raziło. Jeden się bronił pałaszem, nie chciał się dać wziąć do niewoli, ale gdy mu nasz chevauleżer powiedział: Bracie, my Polacy, jak i ty — zaraz rzucił pałasz. Pewnie im powiedziano, że my, choć ułani, jesteśmy Francuzami.

W chwili, gdyśmy pomieszani byli z nieprzyjacielem, nie wiem, z kąd się wziął w tem zamieszaniu Kozak stary z brodą, znalazł się pieszo obok mnie, schwycił mi za cugle konia z lewej strony, a prawą ręką jańczarkę kolbą do góry na mnie zamierzył. Podczas tego przypadł oficer ułański i chciał mnie pałaszem ugodzić. Zasłoniłem się moim na prawo. Ale za ledwie Kozak podniósł jańczarkę, padł na ziemię, pchnięty lancą przez chevauleżera Jaworskiego, który krzyż otrzymał za wyratowanie mnie. Spotkałem go później w Maluszynie.

Znikli ułani, wszystkie cztery nasze szwadrony zrównały się. Byliśmy dość daleko od strzelców konnych gwardyi, którzy się przez rowy za nami posuwali, więc jen. Lefévre kazał nam stać. Wtem zjawia się inny pułk ułanów moskiewskich

w miejsce rozbitego, maszeruje ku nam w linii, ale o 500 kroków puszcza się już galop. Jenerał Lefèbvre znów chciał, żebyśmy zaraz szarżowali. Stał bowiem z Jerzmanowskim i ze mną przed frontem. Jerzmanowski znał się z Lefèbvrem bardzo dawno, powiedział mu więc, że nie warto na nich szarżować, bo ruszyli galopem bardzo z daleka, zatem się rozsypią i nie dojdą do nas. Jako też wkrótce linia ich się rozwiódła, kilkudziesiąt wypadło przed drugimi, a większa część widocznie się zatrzymywała. Może tylko kilkunastu o 100 kroków do nas dotarło.

Lefèbvre kazał dwa plutony w tyraliery na nich puścić. Przyprowadziły one sześciu, nie wiem, czy z tych kilkunastu, czy z owych, co słabsze mieli konie. Zobaczyliśmy, że to nie ułani, ale Kozacy regularni ukraińscy. Jeden z nich z ruska prawie dobrze po polsku nam powiedział, że ich jest cztery pułki takie, że nimi dowodzi jenerał Witt, ale że go nie ma w batalii.

Kozaki się rozpierzchnęły i bardzo daleko od nas się zbierały, znać, że to byli młodzi rekruci i pewnie takichże mieli oficerów, a do tego dodać muszę, że niechętnie się z nami bili, gdyż — jak się później dowiedziałem — byli to ludzie, których poprzedniego roku, kiedyśmy szli do Moskwy, obywatele ukraińscy dla nas przygotowali, a skoro się szala przewróciła, ażeby pokryć te przygotowania, ofiarowali z nich cztery pułki cesarzowi Aleksandrowi.

Bądź co bądź, znikły te Ukraińce przed nami i tylko Dońców potem widzieliśmy, ale bardzo zdaleka. Teraz kazał nam jen. Walther, po powinszowaniu mi wykonanych szarży zająć plutonami w lewo i maszerować pod górę naprzeciw pozycyi, z której tylna straż moskiewska broniła przejścia piechocie przez Reichenbach. Dowodził nią jen. Miłoradowicz. Miał on około 40 dział, które prosto w jedyną ulicę tego miasta były tak, że piechota francuska po za domami tylko się skradała. Jerzmanowski lewem skrzydłem naszym pierwszy wszedł na górę i zaraz się formował do frontu, a my rozwialiśmy się po jego prawej.

Skoro się Jerzmanowski pokazał na górze, obrócili Moskale część dział na niego i na moje szwadrony, nim jeszcze się uformowałem.

Jednocześnie pułk huzarów pokazał się na naszym prawem może o kilka set kroków; zaraz więc musiałem odmienić front i maszerować obydwoma szwadronami naprzeciw nim. Ale odmieniając front na prawo, podaliśmy bok tak, iż strzały z pozycyi moskiewskiej nas enfflowały i w 10 minut więcej nam ludzi padło, jak we wszystkich szarżach.

Szwadrony Jerzmanowskiego, przyszedłszy na linię i będąc na lewo bliżej jeszcze dział, więcej traciły, aleśmy zaraz poszli do szarży na huzarów, którzy o jakie 60 kroków od nas zwrócili prawo w tył i poszli w rozsypkę. Oparli się dopiero o linię kiryssyerów, czyli przeszli za nią się sformować. Na nasze miejsce, na pozycyą naprzeciw dział weszli strzelcy konni gwardyi. Dragony i grenadyery konne gwardyi zostali za górką w liniach i jak się później dowiedziałem za górką, za nami więcej stracili ludzi, niż my, co się tłumaczy tem, że Moskale najczęściej odskokami strzelali, kule i granaty uderzały w ziemię przed nami, przeskakiwały przez nas i szły najczęściej za górkę. My przed szarżą staliśmy przez pewien czas, 4 szwadrony rozwinięte w linii, nie na samym wierzchołku, ale troszkę posunięci ku dołowi, była bowiem pomiędzy nami a Moskalami nizina. Dojechałem do Jerzmanowskiego. Ledwie moje miejsce opuścił, kiedy jedna, druga i trzecia kula na nie padły i odskokiem po nad szwadronem przeszły. Strzelcy konne, które nasze zajęły miejsce, gdyśmy poszli na huzarów, także mniej ludzi stracili, jak dragony i grenadyery.

Wkrótce jednak przyszły i strzelcy nam w pomoc. Zapewnie jen. Walther spostrzegł linię kiryssyerów. Przyszły naprzód mameluki, którzy tworzyli pierwszy szwadron strzelców konnych; posunęli się na nasze lewe skrzydło i prosto stępo poszli ku kiryssyerom. Dowódzca tychże nie mógł myśleć, że jeden szwadron uderzy na brygadę, widać bowiem było, że kiryssyery stoją w dwóch liniach. Mamelucy podeszli stępo i o 50 kroków, a może i mniej, dali ognia ze swych szturmaków. Prawe skrzydło kiryssyerów poszło w nogi i pociągnęło cały pułk za sobą. Prawda, że nasze cztery szwadrony posunęły się także ku kiryssyerom, ale nie szarżowaliśmy na nich, ponieważ oni prawo w tył poszli dość nieporządnie ku swojej drugiej linii.

Nam kazano zaraz potem cofnąć się na pierwsze położenie, to jest naprzeciw pozycyi Miłoradowicza. Nasze miejsce zajął był pułk kiryssyerów saskich w żółtych koletach, którego jeszcze nie znał. Musiał on być z rekrutów nowo uformowany, bo oficerowie nie zdołali go utrzymać na tem położeniu i musieliśmy znów ich zastąpić. Teraz działa Miłoradowicza podwoiły ogień dla zasłonięcia jego rejterady. Co tylko stanęliśmy w miejscu Sasów, zaświstał nam grad kul i granatów, lecz mało z nich w nasze uderzyło szeregi. Jeden granat pękł pomiędzy mną i kapitanem Jankowskim, odłamek jeden lekko kapitana w udo, a mnie mocniej w prawe uderzył ramię, ale z konia nie zsiadłem zaraz, dopiero, jak wszystko ucichło.

Dosyć daleko za nami, między nami a piechotą francuską i saską, które przez Reichenbach debuszowały, stała kawalerya jen. Latour-Maubourg. Straciła coś ludzi od dział, ale się do nieprzyjaciela nie zbliżyła.

Miłoradowicz się zrejterował. Działa jego cofnęły się kłusem wśród piechoty. Za nią piechota francuska z Reichenbach debuszowała, tyraliery francuskie już się po górkach uwijali. Wkrótce znikła i piechota moskiewska, kilka dział pod zasłoną jazdy z obu stron odstrzeliwało, kiedy cesarz i my za nim ku Zgorzelicom pomaszzerowaliśmy. Jeden z ostatnich strzałów blisko cesarza ranił na śmierć marszałka Duroc, który umarł w nocy. Cesarz miał zamiar wniknąć tegoż dnia do Zgorzelic, ale gdy marszałek Duroc został tak mocno ranny, rozkazał namioty na tem samem rozłożyć miejscu i tu całą noc prawie przy umierającym Durocu przepędził.

Nam kazano zaraz niedaleko namiotów cesarza stanąć pod łaskiem. Rozłożyła się tam cała kawalerya. Gdym chciałem zsiąść z konia i gdym prawą ręką za kulę kulbaki schwycałem, dopiero wtedy poczułem ból mocny. Nazajutrz nie mogłem się golić, pierwszy raz obcej do tego musiałem użyć ręki, a moją obandażować.

Ale miałem pociechę wieczorem, gdyśmy obozem już stali, że do mnie przyszli jenerałowie francuscy gwardyi, Walther, Lefèbvre, Le Fort winszować mi szczęśliwych szarzy. Najbardziej mię rozradowało, gdy się temi ozwali słowy: »Jeżeli kto waleczniejszy od nas, jeśli kto od nas lepiej się bije, to

wy!« Trzeba mieć wysokie uczucie własnej waleczności, ażeby drugim pierwszeństwo przyznać.

Potyczka ta pod Reichenbach odbyła się 22-go maja, pamiętna z tego, że jazda tak nie liczna przy armii francuskiej, sama prawie w niej była czynną.

Nazajutrz przemaszerowaliśmy tylko przez Zgorzelice i poszliśmy ku Bolesławowi. Obozowaliśmy pod Waldau. 25-go posunęliśmy się naprzód przed Bolesławów, a 26-go przeszliśmy przez Haynau, bo w tym dniu napadła jazda pruska dywizją piechoty Maison, który ją bardzo niestrategicznie postawił całą przed samą wsią Haynau i pozwolewszy złożyć w kozły broń, rozpuścił żołnierzy w tył do miasta po żywność i słomę. Zostali tylko żołnierze na placówce i czatach, około dwóchset i warta pod bronią.

Kawalerya pruska zrobiła zasadzkę, korzystając z lasku, który leży na lewo drogi idącej z Haynau. Ujrzeni zapewnie ztamtąd, że Francuzi w kozły broń złożyli i do miasta rozeszli się. Uderzyli więc, porabiali czaty, placówkę i wartę, broń rozrzucili i znikli.

Nie byłby ten napad mógł mieć miejsca, gdyby był generał Maison zamiast przed, za wsią obóz umieścił, a jednym batalionem obsadził domy ostatnie z drugiej strony od nieprzyjaciela, a nie mając nic kawaleryi, placówki i czaty kazał nie tak daleko od wsi rozstawiać.

Przymaszerowaliśmy w kilka godzin potem i już nie znać nie było, dywizya stała w obozie, brakowało około 150 ludzi rannych i zabitych, broni było niewiele połamanej, armat wcale nie uprowadzono, bo właśnie w czasie napadu żołnierze poprowadzili byli konie do pojenia. Obozowaliśmy tego dnia przed Haynau, a cesarz 28-go tam przybył. Uformował całą piechotę w dwie kolumny batalionowe, to jest na długość frontu jednego batalionu. Jazda i artylerya szły z cesarzem w środku i tak z Haynau aż pod Lignicę maszerowaliśmy przez dwie mile płaszczyny. Bardzo piękny był widok tych 100,000 ludzi w dwóch kolumnach na płaszczynie tak rozległej, że całe dwie kolumny razem można było widzieć. Przymaszerowawszy pod Lignicę, kazał cesarz marszałkowi Soult wziąć kawaleryą gwardyi i obejść miasto z prawej strony,

ażeby zabrać, jeżeli coś nieprzyjaciela jeszcze się ztamtąd rejterować będzie.

Ruszyliśmy w prawo klusem. Wieś długa na południe od Lignicy się ciągnie. Przez nią w poprzek przechodzić musieliśmy. Środkiem wsi płynie strumyk, przejście przez mostek nie szeroki tak naszą kolumnę rozciągnęło, że przeszedłszy dwoma szwadronami i zaraz klusem za wieś, oddaliłem się cokolwiek od kolumny, bom właśnie spostrzegł pojedynczych jeźdźców uciekających. Wyszędłszy na pole, ujrzałem cztery szwadrony stojące w linii. Uformowałem się więc do frontu i ledwie co stanąłem, już cztery te szwadrony były w klusie i na szarżę trąbiły. Ruszyłem stępo ku nim. Ich dowódzca musiał być niedoświadczony oficer, bo ledwo co szarżę trąbić kazał, zaraz potem trąby jego dały sygnał: »Stój!« zakomenderował prawo w tył i zaczął się klusem rejterować a my właśnie wpadaliśmy na nich. Rzecz oczywista, że poszli w rozsypkę. Ludzie na słabszych koniach dostali się nam w ręce i byłibyśmy zabrali ich więcej, ale ich piechota w kolumnie stała niedaleko, jednak nie zatrzymała się na miejscu, owszem nigdy nie widziałem piechoty niemieckiej tak prędko maszerującej. Rejterowali się z Lignicy ku Jaworzcu. Może byłoby się udało zabrać całą tę dywizyą piechoty (tak jeńcy utrzymywali), gdyby prędzej reszta naszego pułku i chassery byli się mogli przez most we wsi przeprawić.

Obozowaliśmy tej nocy na miejscu, gdzieśmy pobrali tych żołnierzy z kawaleryi gwardyi pruskiej. Byli w niej huzary, dragoni i kilku berlińskich Kozaków z dłuższemi, jak Dońce brodami, razem ze 150 ludzi.

30-go maja poszliśmy na rekonesans z jen. Flahaut, adjutantem cesarza, ku Jaworzcu, dokąd maszerował marszałek Marmont inną drogą po naszej prawej stronie. O milę od Lignicy spostrzegliśmy Kozaków przed nami. Jenerał Flahaut, wszedłszy na wiatrak, rozpoznał kilka pułków kozackich, a za nimi wiele jazdy. Miał, jak powiadał, rozkaz od cesarza skomunikować się z Marmontem, ale że widział niepodobieństwo przerznięcia się z dwoma memi szwadronami przez tę całą jazdę, zaproponowałem mu, aby napisał ołówkiem to, co ma powiedzieć Marmontowi od cesarza, a ja wysłę z tem dwóch pewnych żołnierzy, mówiących po niemiecku, którzy w nocy

ostrożnie bokiem się do Marmonta dostaną. Jenerał przyjął propozycyą i wysłałem braci Białkowskich, rodem z Czacza pod Śmigłem, jeden z nich był podoficerem. Dostali się szczęśliwie do Marmonta i na trzeci dzień powrócili z recepiśszą, kiedyśmy stali o dwie mile od Wrocławia, dokąd była weszła nasza przednia straż pod marszałkiem Ney. Cesarz i my zostaliśmy pod Neumark.

Z Neumark rozkazano mi eskortować wielkiego koniuszego Caulincourt do zamku naprzód Leuthen, a potem Pleswitz, gdzie traktował o pokój z jenerałem Szuwałow. Staliśmy na podwórzcu i zsiadliśmy z koni. Z jen. Szuwałow przyszło kilkaset Kozaków, którzy także zsiadli z koni, rozmawialiśmy więc z oficerami, opowiadali nam, gdzie stali w Polsce i zdarzyło się, że wspomnieli o kilku domach mi znajomych. Zapytałem się pułkownika kozackiego, czyby nie był łaskaw oddać na pocztę głównej kwatery moskiewskiej list do mego ojca, który napiszę i zostawię niezapieczętowany. Przyobiecał mi to uczynić, ale prosił, żeby zapieczętować, tylko on adres napisze, a nikt nie otworzy. Wszedłem do pałacu uprosiwszy sekretarza cesarskiego,<sup>1)</sup> który był z Caulincourtem, o papier, napisałem list do ojca. Znajdując się sam na sam z sekretarzem w pokoju (Caulincourt był w drugim z Szuwałowem i Kleistem), pokazał mi on propozycyę do układu cesarza z cesarzem Aleksandrem. Zaraz na wstępie ofiarował cesarz Aleksandrowi całe księstwo Warszawskie i pozwalał, albo żeby przyjął tytuł króla polskiego, albo żeby księstwo Warszawskie wcielił do swego cesarstwa.

Sekretarz cesarski, który miał mnie tak, jak za Francuza, widywał mnie bowiem kilka lat przy cesarzu, ani domyślić się mógł, jaką we mnie straszną rewolucyą sprawił, pokazując mi ten projekt pokoju. Aby nie zdradzić pomieszczenia mego, wyszedłem i tak byłem zamyślony, że dopiero się ocucił, gdy mnie pułkownik kozacki przytrzymał i o list zapytał. Oddałem mu go z konotatką, jaki adres ma napisać. List ten doszedł mego ojca. Kozacy dla nas zawsze byli grzeczni, jakby pamiętali, że niegdyś byli z nami.

Stanęło zawieszenie broni, nie pokój, jak cesarz proponował. Pomaszzerowaliśmy napowrót do Drezna. Tam napi-

<sup>1)</sup> Baron Fain.

sałem prośbę o dymisyą i oddałem marszałkowi Soult. Bardzo był zdziwiony i próbował mię nakłonić do pozostania w służbie. Nie mogłem sekretarza Fain kompromitować i mówić wszystkim o owych propozycjach pokoju, bo mi je pokazał był pod sekretem. Przecież powiedziałem o tem kapitanowi Jordanowi, z którym byłem w przyjaźni, i jenerałowi Chłopickiemu. Ten zaklął po swojemu i powiedział, że wolałby tłuc kamienie, niż dłużej służyć temu człowiekowi. Obaj się podali do dymisyi.<sup>1)</sup>

Skoro mi marszałek Soult nadesłał dymisyą, wybrałem się do Paryża, gdzie stanąłem w domu przyjaciół mej młodości, Caramanów. Tam dopiero, wytrzymawszy dwie tak ciężkie wojny, zachorowałem i leżałem kilka miesięcy. Pewnie mało kto z tych, którzy odbyli wojnę moskiewską, uszedł zgniej febry, która często w rok jeszcze później napadała.

Stanął pokój w Paryżu. Poznańskie dostało się Prusom, ale w niem Moskale jeszcze stali. Wyjechałem z Paryża do Anglii, zamierzając sobie tam zaczekać, aż póki Moskale nie wyjdą z Poznańskiego. Dowiedziałem się bowiem, że gubernator moskiewski przymusza wszystkich Polaków do przysięgi, wolałem unikać tej ceremonii.

Bawiłem w Londynie całą zimę 1814 na 1815-sty. Chodziłem na wszystkie posiedzenia parlamentu. Właśnie obradowano nad prawem zbożowem, które było korzystne, a wtedy konieczne dla właścicieli ziemskich, ale mieszkańcy miast, osobliwie fabrykanci, mocno mu się opierali. Ci spowodowali kilka razy lud stolicy do demonstracyi gwałtownych, po kilkanaście tysięcy ludzi zbierało się, tłukli okna w domach deputowanych, którzy za prawem głosowali, również i w pałacach ministrów. Całe miasto wydawało się w rewolucyi. Jednego razu, chcąc się z bliska temu zgiełkowi przypatrzeć, musiałem się schronić na schódki i wcisnąć w framugę drzwi zamkniętych, aby nie być porwanym przez natłok spolsztwa, które napełniało ulicę, niosąc najprzód różne chorągwie z napisami: Precz z prawem! precz z ministrami! Nieśli potem

<sup>1)</sup> Teodor Morawski, który w swej historii odmawia jenerałowi Chłopickiemu uczucia polskiego i Barzykowski — obydwaj dość skłonni szukać mniej szlachetnych pobudek u ludzi — piszą, że Chłopicki do dymisyi się podał, ponieważ w awansie pominięty został. Powyższe opowiadanie rzecz w innym świetle przedstawia.

(Przypisek wyd.)

Bardetta, ulubieńca ludu, który przeciw prawu głosował. Kawalerya gwardyi i 10-ty pułk huzarów obozowali po ulicach i po jednym szwadronie maszerowali na miejsca, gdzie lud okna tłukł i do domów deputowanych się wdzierał. Zawsze przed szwadronem szedł urzędnik (Constable) z białą laseczką i gdy lud zabierał się do burzenia i czynienia szkody w domu którego ministra lub deputowanego, odczytywał on prawo buntowe (Riot act). Czytał raz i drugi, lud krzyczał tak, że nikt nie słyszeć nie mógł, ale gdy kończył trzeci raz czytanie, już nikogo na ulicy nie było, wszyscy znikali. Wiedzieli bowiem, że po trzecim przeczytaniu kawalerya uderzyłaby na zbiegowisko, gdyby według prawnego wezwania nie rozeszło się. Wieczorem przed parlamentem kułakował lud deputowanych za prawem głosujących, gdy wchodzili do budynku. Musieli najczęściej się wkradać tylnymi drzwiami. Szczególne wrazenie ta wolność na mnie robiła. Idącego do parlamentu na posiedzenie lud każdego niedeputowanego spokojnie przepuszczał. Zapoznałem się z kilkoma członkami i najczęściej obiad z nimi jadałem wieczorem około godz. 7 podczas posiedzenia. Restauracya była dla członków w tymże samym gmachu. Przypadła jednego dnia dyskusya o Polsce. Wiadomo, że Anglia, Francya i Austria chciały pozostawić oddzielny byt Księstwu Warszawskiemu, a nie oddawać tej części Polski pod panowanie rosyjskie. Więc na dzień, kiedy być miała mowa o Polsce, odebrałem formalne zaproszenie, abym był przytomnym obradom. W izbie niższej jest trybuna przeznaczona dla obcych i cudzoziemców, których Speaker imiennem zaproszeniem do wejścia upoważnił. Tą razą nic szczególnego nie powiedziano, tylko stan rzeczy, czyli negocyacye w Wiedniu, były dyskutowane.

Byłem w Bath u siostry Caramana, margrabiny Sommery, kiedy przyszła wiadomość o wyładowaniu cesarza z Elby w Frejus. Znając armią francuską, nie wątpiłem, że prawie cała przejdzie do niego, a że miałem mój powóz i wszystkie rzeczy, jako też trzech ludzi, Polaków, w Paryżu, wróciłem tam, ale wyjechałem 20-go marca z rana a cesarz tego samego dnia przybył do Paryża o 8-mej wieczorem. Widziałem się był z kilku oficerami znajomymi, którzy przed nim w wilią przybyli. Opowiadali mi, jak wszystkie wojska po drodze do niego przechodziły.

W Metz dowiedziałem się, że marszałek Oudinot dopiero co z Nancy powrócił. Poszedłem go odwiedzić, bo zawsze był łaskaw dla mnie. Zostałem go w łóżku. Opowiedział mi ze smutkiem, że prowadził starą gwardyę, której dowództwo oddał mu był Ludwik XVIII, naznaczając Metz na garnizon, bo dostał rozkaz maszerowania do Troyes dla połączenia się z marszałkiem Ney, który był uprosił Ludwika XVIII dla siebie dowództwo nad armią, obiecując święcie zwyciężyć Napoleona. Po drodze usłyszał marszałek Oudinot, że grenadyery cieszą się, że się złączą z swym cesarzem. Pewien więc, że na cesarza nie pójdą, rozkazał kontrmarsz i chciał ich odprowadzić napowrót do Metz. Ale czoło kolumny nie usłuchało jego komendy, grenadyery go otoczyły, zaklinając go, aby ich prowadził do cesarza. On im przypomniał przysięgę złożoną Ludwikowi XVIII. Nic nie pomogły wszystkie jego uwagi co do wiarołomstwa, grenadyery widząc, że on się nie zdecyduje, pomaszerowali dalej, a on smutny powracał do Metz. Gdy jechał koło kolumny, żołnierze go otaczali i upraszali, ażeby z nimi szedł, lecz on został przy swoim, odpowiadając, że przysięgi łamać nie umie, że cesarz od danej sobie uwolnił i że teraz pozostać musi wiernym monarsze Francyi. Minawszy kolumnę gwardyi, napotkał regiment 1-szy huzarów, którego pułkownikiem był jego syn. Kazał mu strąbić oficerów, przedstawił im położenie, przypomniał, że przysięga dla człowieka honoru jest świętą. Oficerowie, pomiędzy którymi wielu było z dawnej szlachty, usłuchali go i spowodowali żołnierzy, że poszli za komendą pułkownika i nawrócili ku Metz. Ale niedługo spotkali 2-gi regiment huzarów, z którym się tak nie udało, owszem oficerowie tego ostatniego żądali od kolegów pierwszego, żeby z nimi maszerowali i połączyli się z cesarzem. Przyszło do szabli, kilkunastu z tej i z drugiej strony oficerów było rannych i skończyło się na tem, że ten drugi regiment pomaszerował za gwardyą a pierwszy powrócił z marszałkiem do Metz.

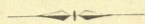
Przytoczyłem to zdarzenie, aby wytłomaczyć po części późniejsze niepowodzenia pod Waterloo. Wojsko, w którym zdania są podzielone, słabem jest, pomimo największej odwagi. Wiadomo, że pod Waterloo, prócz całej brygady dragonów pod jen. Bourmont, kilka baterji zostało zaraz opuszczonych przy

samym początku. Rzecz dziwna, że właśnie artylerya, broń cesarza, była mu najprzeciwniejszą w tej kampanii. Nigdy pochwalić nie można opuszczającego stanowisko w czasie boju. Lepiej mój przyjaciel Caraman zrobił. Jeszcze przed abdykacją cesarza roku 1814 w Fontainebleau, którego już opuszczali ci, którzy mu wszystko winni byli, Caraman przyszedł jeszcze na służbę. Cesarz zdziwiony, bo rodzina Caramanów była zawsze monarchiczną, rzekł do niego: Czemuż nie poszedłeś się nowym panom polecić? Nie, odrzekł, póki mnie wasza cesarska Mość nie zwolni. Chcę Jej dowieść, żeśmy (stara szlachta) warci tych, których wasza cesarska Mość zrobiliś. Je voulais prouver à votre Majesté que nous valons ceux qu' Elle à fait. Cesarzowi się to podobało i dał mu osobne polecenie do Ludwika XVIII. W czasie powrotu cesarza z Elby dowodził artylerją gardes du corps i wymaszerował z nią 19-go wieczorem za Ludwikiem XVIII do Gand. Ludwik odesłał od granicy działa, ale Caraman z nim do Gand pojechał i dopiero z nim do Paryża powrócił. Cesarz, jak wiadomo, tylko 100 dni utrzymał się we Francyi od wyładowania z Elby do wyjazdu do św. Heleny.

Zatrzymałem się w przejeździe w Berlinie, nie widując nikogo. Gdy Moskale z Poznania wyszli, pojechałem do domu



# SPIS RZECZY.



## CZĘŚĆ I.

Wojna w 1807 roku . . . . .	1
Kampania hiszpańska w 1808 roku . . . . .	31
Wojna austryacka w 1809 roku . . . . .	51
Zima przed wojną 1812 roku . . . . .	108
Wojna 1812 roku . . . . .	111
Wojna saska 1813 roku . . . . .	141



Biblioteka Główna  
Akademii Sztuki Wojennej

3671/3 cz.1



13-003671-001-0